

**STANISŁAW  
BRZozowski**

PŁOMIENIE

Stanisław Brzozowski

**Płomienie**

«Public Domain»

## **Brzozowski S.**

Płomienie / S. Brzozowski — «Public Domain»,

Książka przedstawia burzliwe losy młodego polskiego szlachcica Michała Kaniowskiego, buntownika i rewolucjonisty. W warstwie fabularnej stanowi opowieść o niezgodzie na krzywdę, o zaangażowaniu w walkę z niesprawiedliwością i gotowości płacenia za to najwyższej ceny, odzwierciedlającą dzieje rosyjskiego ruchu rewolucyjnego w latach 70. i 80. XIX wieku. Płomienie, nazwane „pierwszą polską powieścią intelektualną”, zostały napisane jako polemika z jednostronnymi Biesami Dostojewskiego. Brzozowski stara się przedstawić panoramę ówczesnych idei, racje zarówno tradycjonalistów, konserwatystów, klerykałów, jak i zwolenników przebudowy społeczeństwa, także radykalnych rewolucjonistów, niekiedy unikając jednoznacznych ocen. Refleksje i dyskusje bohaterów Płomieni na temat kształtu polskości, konfliktów społecznych, ideologii, znaczenia jednostki wobec historii, egzystencjalnych problemów, jakie rodzi materializm, inspirowały kolejne pokolenia intelektualistów i pisarzy, m.in. Miłosza, Kołakowskiego i Tischnera.

## Содержание

Tom pierwszy	5
I. Na zgliszczach	13
1	13
2	16
3	16
4	17
5	18
II. Sielskie-anielskie	20
1	20
2	29
3	38
4	46
5	54
III. Spartakus i Szymon Słupnik	60
1	60
2	66
3	70
4	75
5	79
6	82
Конец ознакомительного фрагмента.	86

# Stanisław Brzozowski

## Płomienie

### Tom pierwszy

Przerzucając stare roczniki rosyjskich pism rewolucyjnych, napotkałem niedawno nazwisko Michała Kaniowskiego. Nie zdążyłem sobie jeszcze uprzytomnić, że jest mi ono dobrze znane, gdy już zarysowała się przede mną cieleśnie niemal ta do żadnej innej, kiedykolwiek widzianej przeze mnie, niepodobna twarz, o łysej głowie, dziwnym wyrazie oczu, wyzierających spod czerwonych, opuchłych, pozbawionych brwi i rzęs powiek. Pamiętam, że kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy – byłem wtedy dzieckiem – wydało mi się, że tak musi wyglądać człowiek odratowany spod gruzów palącego się domu. Przypuszczam, że to brak brwi i rzęs właśnie, co wyglądało, jak gdyby były opalone, doprowadził mnie do tego odczucia – wniosku. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ten dziwny, tajemniczy pan Michał, jak nazywali go wszyscy dorośli, jakby przez wspólną umowę, zniżając głos przy wypowiedaniu jego imienia, był na wpół odratowanym (ledwo, ledwo mógł się poruszać o swoich siłach) pogorzelnem. Zdaje się, że go zapytałem nawet raz o to, gdy mu podałem upuszczoną laskę, a on zaczął ze mną jakąś rozmowę.

Widziałem, jak w bezzębnych oczach pana Michała, które wyglądały tak dziwnie, że służba pomawiała go o dar urzekania – zamigotało coś, miał coś mówić, ale stryjenka Adela, w domu której gościliśmy, przywołała mnie. Pan Michał spojrział na nią, uśmiechnął się i zagwizdał, zdarzało mu się to dość często. Słyszałem także, jak mruczał coś i mówił sam do siebie, chodząc po ulubionej swojej uliczce ogrodowej przed altaną i opierając się ciężko na lasce. W altanie tej spędzał całe dnie w fotelu z książką w ręku. Nie czytał jednak najczęściej, tylko myślał o czymś, patrząc gdzieś przed siebie ponad książkę. Widywałem go za to piszącego.

W wspólnych rodzinnych zebraniach i wycieczkach nie brał żadnego udziału. Instynktem dziecka wyczułem we wszystkich dorosłych jakiś zabobonny, niepojęty lęk w stosunku do pana Michała.

Furman Spirydion, z którym raz wybrałem się w sekrecie przed nauczycielem na nocny połów raków, roztoczył mi kilkoma słowami perspektywę tajemniczej grozy i potęgi.

Siedzieliśmy nad wodą. Spirydion majstrował coś przy ognisku i według zwyczaju rozmawiał w pół sam z sobą, w pół ze mną. Przywykł mówić z końmi i nie był wybredny w wyborze słuchaczy. Opowiadał o stryju Walerym, o starym panu „Ochtawianie”.

– Mądry pan był. Wszystko wiedział. Jak on powiedział: „śpieszyć z sianem”, to choćby była pogoda najjaśniejsza – pewny deszcz. Na chmurach się znał. Tylko popatrzy się – już wie, co z której. A konie jak lubił! Takich koni, jak u nas, w całej guberni nie było. Jak przyjdzie jarmark albo kontrachty<sup>1</sup> kijowskie, panowie zewsząd do nas; bez pana Ochtawiana ani rusz. Nu, gdzie panu Walerkowi do niego. Pan jak pan, ale charakteru w sobie nie ma. Ni, gdzie już jemu! W tym roku, jak panowie w Polsce bunt robili – znaczy polską wojnę, chłopakiem ja w tę porę był przy stajni. Zaczyna się po wsi gwałt. To da sio. „Pańszczyznę wrócą – mówią – albo znowu ziemię panom wezmą...” A panowie radzą, radzą... Co dzień najeżdża ktoś. A pan Ochtawian chodzi chmurny, brwi marszczy: „Nie będzie nic” – mówi. I nic. Sieje, orze, zbiera jak zawsze. Przyjechały raz oficyry z wojskiem, kozakami, popatrzali, popatrzali i pojechali – kłaniali się jeszcze. Silnego jenerała<sup>2</sup> pan w Petersburgu krewnym miał... Ano cóż... Przyjechała i krewna panowa... Pani Florianowej siostra

---

<sup>1</sup> *kontrachty* – dawniej kontraktami nazywano doroczne zjazdy handlowe danej prowincji. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *jenerał* (daw.) – generał. [przypis edytorski]

z detyną<sup>3</sup> Olą... w żałobie. Męża jej gdzieś kozaki, a może i chłopci zabili... Błada taka, wysoka, w żałobie, nabożna pani... Uriadnik<sup>4</sup> najechał i pyta: co, jak, jakim prawem niby ona mieszka, ale pan jemu takie słowo powiedział, że pojechał jak osmalony... A po wsi zaczynają ludzie różnie mówić... Tak i tak... Panów wiązać – powiada – kazano, a najwięcej Niczypor... chłop taki był, w sołdatach<sup>5</sup> służył, strasznie chytra sztuka. Nic... co godzina, to gorzej: straszny krzyk. W karczmie siedzą... Dali do pana znać. Pani, matka ta Olesina, w krzyk: „Zabijają... zabijają...” – a pan nic. Konia siodłać każe... Podali mu konia. A nas strach wziął... pobiegł ja i Tychon – też młodzik wonczas był – osłaniać, żeby gdyby co. Ale jakby my jego osłonili! Podbiegli my do karczmy, aż mnie mrowie przeszło – pan, widzę, w sam tłum na koniu jedzie... A tam gwałt: Niczypor przewodzi, a gada, gada! Podjechał pan, z konia zsiadł, pierwszemu z brzegu potrzymać dał, a strachu w nim żadnego nie widać, ani mu ręka zdrży: jakby nie widział ani słyszał. Z konia, i w sam środek ludzi wszedł, prosto do Niczypora: a ludzie zamilkli i strach było patrzeć, a pan idzie śmiałym krokiem, podszedł do Niczypora i jak go chluśnie w twarz, a później pod brodę, a za szyję ściśnie: „Wiązać go – krzyczy – i do miasta odstawić; naród buntuje, za to my wszyscy odpowiemy. Wiązać i na podwody<sup>6</sup>, a do isprawnika<sup>7</sup> pismo dam”. I zaraz, kto z brzegu stał, wiązać się rzucił, a gdyby nie to, może by jeszcze tego wieczora pod dwór przyszli, kto z widłami, a kto z siekierą... Mądry pan był... charakter miał. Nu? gdzie panu Walerkowi!

– A pan Michał? – zapytałem.

Spirydion dziwnie ręką machnął; głową potrząsł, wreszcie przysiadł się bliżej i zaczął szeptać:

– A o panu Michałku, chłopaczynko, pytać zakazano. I nie słyszeć o nim lepiej, i nie widzieć.

Tak jakbyś go nie znał nigdy... Straszny on... On w Petersburgu samoho<sup>8</sup> imperatora<sup>9</sup> na śmierć sądził... Chował się on przed nimi, chował, ale oni wszędzie za nim: i koleje z nim rozsadzali, i pałac jego cesarski zapalili, i samego wreszcie bombą rozerwali<sup>10</sup>.

– Pan Michał... – zaszeptałem.

– I nie pytaj... Siedzi on teraz, kaleka, i o lasce chodzi, a kto jeho znaje, szczo on myśli?<sup>11</sup>...

I jak jeho tutki szukali. Samoho pana Oktawiana w Kyjewie w tiumie<sup>12</sup> trzymali... A co pomogło: nic. Bo oni jak na niego sąd wydali, w tajemnym narodnym<sup>13</sup> sądzie – to już jemu, petersburskiemu carowi, ani gwardia, ani armaty, ani złote lejbjegieri<sup>14</sup> nie pomogły... I boją się ich oni, boją narodnych sędziów. On, niby pan Michałek, i kaleka, i chory, a isprawnik raz wraz najeżdża, a co z tego? Chto jeho dumkę<sup>15</sup> tajemną znać może? Już koły<sup>16</sup> on ani ojca siwej hołowuszki<sup>17</sup>, ani

<sup>3</sup> *detyna* (ukr.) – dziecko. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *uriadnik* (ros.) – niższy stopniem policjant w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *sołdat* (ros.) – żołnierz, zwłaszcza niższy stopniem; w *sołdatach służyć*: służyć w wojsku. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *podwoda* – obowiązek dostarczenia przez ludność środka transportu (wozu z zaprzęgiem) na rzecz władz lub wojska (daw. także dworu); również: taki wóz wraz z woźnicą. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *isprawnik* (z ros.) – urzędnik stojący czele powiatu (ujezdu) w carskiej Rosji; razem z dwoma asesorami tworzył tzw. niższy sąd ziemski. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *samoho* (ukr.) – samego. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *imperator* – tu: tytuł władców Rosji od czasów Piotra I. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *koleje z nim rozsadzali (...)* i *samogo wreszcie bombą rozerwali* – mowa o serii zamachów na życie cesarza Aleksandra II (1818–1881), dokonanych przez członków organizacji Narodna Wola: w grudniu 1879 dokonano nieudanej próby wysadzenia pociągu carskiego, w lutym 1880 wysadzono w powietrze część Pałacu Zimowego, 13 marca 1881 polski zamachowiec Ignacy Hryniewiecki wrzucił bombę do karety władcy, powodując śmiertelne obrażenia cara. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *kto jeho znaje, szczo on myśli?* (z ukr.) – kto go wie, co on myśli? [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *tiuma* (ros.) – więzienie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *narodny* (z ukr., ros.: *narodnyj*) – ludowy. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *lejbjegier* – żołnierz gwardyjskiego pułku strzelców wyborowych (jegrów) w armii Imperium Rosyjskiego (Lejb-Gwardyjski Pułk Jegrów Jego Wysokości). [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *dumka* (ukr.) – myśl, pomysł; por.: *dumać*. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *koły* (ukr.) – kiedy. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *hołowuszka* (ukr.) – główeczka, głowa. [przypis edytorski]

panieneczki Oleńki nie pożałował, a i za siebie się nie uląkł, to chto jego zmoże. Choć ty i hosudar<sup>18</sup>, i imperator w złoconym mundurze, już ciebie jemu ani ministry, ani jenerały, ani popy i cerkiewne dzwony nie wydrą, jeżeli on już tobie na tajemnym sądzie śmierć zapisał. I nie ma na to nijakiej siły.

Ogień rzucał na twarz Spirydiona, na długie białe wąsy czerwone blaski i pochylony nade mną szeptał on:

– Prawda w nim jest i dlatego nic przeciw niemu. Już on na duszę swoją krew przyjął, a nie za siebie, i zaciął się, i zamknął w sobie, i już ty jeho nie przemożesz... I chodzi on tu, chodzi, całkiem jak jastrząb w klatce: pazury mu połamali, skrzydła poobcinali, a on chodzi, chodzi i dumkę swoją samotną myśli. Po całych nocach światło u niego i siedzi on przed kominkiem albo po pokojach chodzi; a w oczy mu popatrz, strach, taka w nich siła jest. I nie daj Boże jemu co nie w porę zrobić, oczami samymi on ciebie zabije: duszę ci omami, z piersi wyjmie... Isprawnik najeżdża, pyta się, patrzeć każe, aby nie wyjechał gdzie, a sam się on jego boi... w oczy popatrzeć nie chce...

Dziesięć fantazja pracowała. Baczniej jeszcze, niż dotąd, przyglądałem się panu Michałowi i zachowaniu się wobec niego wszystkich członków rodziny. Wydawało mi się ono coraz dziwniejsze. Czułem wyraźnie, że **boją** się oni wobec niego odezwać, roześmiać się. Widziałem, że nikt nie lubi go, przeciwnie, każdy ruch, każdy gest nacechowany był jakąś tajemną obawą dotknięcia się go. Doznawałem wrażenia, że boją się wszyscy istotnie jak gdyby samego spojrzenia pana Michała. I nie tylko spojrzenia. Stryjenka Adela, kiedy podawała mu szklankę herbaty albo podsuwała mu talerz, czyniła to tak jakoś dziwnie, jakby dźwigała jakieś rozpalone i piekące do żywego ciężary. Stryj Walery bladł, czerwieniał się i jękał się, kiedy pan Michał zapytał go o co. Jestem przekonany, że śmierć pana Michała, która nastąpiła jakoś niedługo po naszym wyjeździe, była dla wszystkich tych ludzi prawdziwym wyzwoleniem.

Kiedyś w spizarni, pomagając stryjence Adeli w ustawianiu konfitur, korzystając z jej rozgadania się, po wielu wahaniach się – czułem instynktownie, że każde pytanie dotyczące pana Michała wprawia stryjenkę i w ogóle starszych w zakłopotanie – zapytałem, czy to prawda, że pan Michał cesarza zabił. Stryjenka upuściła łyżkę, która potoczyła się z brzękiem...

– Bój się Boga, serce, nie mów o tym, nie mów o tym, nie pytaj się; złapią cię, badać zaczną, skórę pasami zedrą...

Odebrało mi to ochotę do dalszych pytań, ale stryjenka uspokoić się nie mogła. Kosztowało mnie dużo pracy wytłumaczenie, w jaki sposób doszedłem do tak niebezpiecznej wiadomości, gdyż nie chciałem zdradzić Spirydiona... Stryjenka kilkakrotnie jeszcze powtarzała o owym zdzieraniu skóry pasami.

– I mówić o tym grzech: pan Bóg gniewa się strasznie. Kościołów nie uznają ani, straszna rzecz, w Boga nie wierzą; zamiast Boga, mówią, ma być eter<sup>19</sup>, a człowiek jest tylko gadająca małpa.

Wiedziałem już, że stosuje się to do przyjaciół pana Michała. Nabrał on w moich oczach jeszcze bardziej fantastycznego uroku. Wydawało mi się, że jest on jednym z tych tytanów<sup>20</sup>, których tryumfujący Jowisz<sup>21</sup> – z zapalem studiowałem wtedy mitologię – strącił z niebiosów i przywalił olbrzymimi ciężarami gór... Kiedy chodził po ogrodzie podczas zbliżającej się burzy, gdy stryjenka zamykała pośpiesznie okna w całym domu, aby przeciąg piorunu nie wciągnął, a stryj Walery chował do szuflady biurka srebrny zegarek i klucze – upatrywałem w tej obojętności pana Michała na zwisające ponad głową gromy jakiś związek z jego niewiarą w Boga. Sama niewiara ta przedstawiała mi się w formie buntu i uporu: grzmij tam sobie, ile ci się podoba, a ja Ciebie nie uznaję. I starałem się odnaleźć w twarzy pana Michała ślad jakiejś walki i buntowniczej zaciekłości, ale była ona taka, jak zawsze: tak samo dziwnie nieruchoma, jakby zastygła.

---

<sup>18</sup> *hosudar* (z rus.) – pan; tu: cesarz; tytułem carów Rosji było *gosudar impierator*: cesarz imperator. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *eter* – wg dawnych koncepcji kosmologicznych nieostrzeżalna substancja wypełniająca wszechświat. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *tytani* (mit. gr.) – dzieci Uranosa i Gai, bogowie z pokolenia poprzedzającego bogów olimpijskich; pokonani przez Zeusa i bogów olimpijskich w walce o panowanie nad światem. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *Jowisz* (mit. rzym.) – najwyższe bóstwo rzymskiego panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik gr. Zeusa. [przypis edytorski]

Raz jeden widziałem tylko uniesienie pana Michała. Podczas kolacji przyjechał ksiądz dziekan z sąsiedztwa i opowiadał o „cudownym ocaleniu” cesarza Aleksandra III<sup>22</sup> (przy wymawianiu tych wyrazów uchylał birecika<sup>23</sup> z głowy) z pociągu, który rozbił się. Mówił o tym długo i ciągle wracał; zauważyłem, że w ciągu opowiadania pan Michał raz i drugi zagwizdał, a kiedy wreszcie ksiądz wspomniał coś o tym, że prawdopodobnie był to wypadek, gdyż nie sądzi, aby i dziś byli jeszcze zbrodniarze tak zuchwali, pan Michał nagle na cały głos zwrócił się do Tychona, który kręcił się koło stołu:

– Pomóż mi wstać, głowa mnie rozboleła od trajkotania tego starego osła.

Wszyscy oniemieli; nigdy w życiu nie widziałem tak bezgranicznie zdumionej twarzy, jak wtedy księdza dziekana; napił on się pospiesznie gorącej herbaty i musiał się strasznie oparzyć, gdyż poczerwieniał, oczy mu na wierzch wyszły; stryj Walery pochylił się i zaczął mu coś szeptać. Dziekan kręcił głową z wielkiego zdumienia; niedawno przeniesiono go w te strony i prawdopodobnie pierwszy raz słyszał historię pana Michała. Na mnie zaś cały ten wypadek zrobił niezmiernie wielkie wrażenie. Fakt, że ksiądz, a więc osobę wszędzie i zawsze automatycznie już wystawiającą ręce do całowania i pojawiającą się w domu zwykle tylko w uroczystych wypadkach święconego, wesela, pogrzebu, można nazwać tak całkiem po prostu starym osłem, nabrał w moich oczach znaczenia całej rewolucji. Był to nieomal że większy akt zuchwalstwa, niż nie wierzyć w Boga i nie bać się jego piorunów nawet podczas burzy. Okaleczały, schorowany pan Michał stawał się istotą wprost mitologiczną.

Wyjechaliśmy wkrótce z tych stron. Czas jakiś jeszcze wyobraźnia moja zajmowała się nieustannie osobą pana Michała. Stopniowo jednak brak absolutny związku pomiędzy tą postacią a całym składem i charakterem otaczającego mnie życia powlekał postać tę mgłą fantastyczną i oddalającą. Pan Michał stawał się czymś równie nietutejszym, wyczytanym, niepewnym, jak bohaterowie powieści *Maine-Reide'a*<sup>24</sup> i *Aimarda*<sup>25</sup>.

Wiadomość o jego śmierci była ostatnim głosem o nim z realnego świata. Potem już nie wspominał o nim nikt, nikt się nim nie interesował. Sądzę, że właśnie brak wszelkiego związku pomiędzy panem Michałem a resztą mojego życia i powstającymi w nim zainteresowaniami sprawił, że wspomnienie o nim pozostało nietknięte, jak coś obcego, wtrąconego przez przypadek do mojej pamięci. Nie wiązało się z nim nic, żadna z myśli rozbudzonych przez rzeczywiste, otaczające mnie, współczesne mi życie nie nawiązywała się do tej nieliczącej z niczym postaci. I w ten sposób przetrwała ona, zapomniana i przez to właśnie zmianom nie podległa.

Wspominać, znaczy to wiązać treść przeżyty z wypadkami i wrażeniami nowego, obecnego życia. Wspomnienia nasze rosną i zmieniają się wraz z nami. Pamięć tylko pozornie utrwała, właściwie zaś przetwarza nieustannie: wydarzenie czy osoba, stanowiące przedmiot wspomnień, są jakby rdzeniem tylko, jakby trwałą osią zmieniających się nieustannie krystalizacji. Życie odrywa od nich atomy uczuć i myśli, zastępując je przez inne. Nasza przeszłość jest zawsze tylko terażniejszością naszą.

Wspomnienie o panu Michale było jakby kryształem, do innego świata należącym, żadne powinowactwo nie łączyło go z pozostałą treścią życia i myśli: tkwiło ono w mojej pamięci, niedostrzegane, na jej dnie, a myśli, uczucia przepływały nad nim, jak przepływają fale rzeki nad wbitym w piaszczyste łóżysko złomem granitu. Rzecz dziwna – później nawet, kiedy już poznałem

<sup>22</sup> *Aleksander III Romanow* (1845–1894) – cesarz Rosji, król Polski (od 1881), syn Aleksandra II; wprowadził tzw. kontrreformy, prowadził akcję rusefikacyjną, wspierał nastroje antysemitki, utworzył tajną policję polityczną (Ochrana); w 1888 był celem zamachu przeprowadzonego przez nieznanego sprawcę: eksplodowała bomba podłożona w pociągu wiozącym cara, jednak Aleksander III wyszedł z zamachu cało. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *biret* – kwadratowa lub okrągła, sztywna czapeczka bez daszka, używana dziś jako część oficjalnego stroju duchownych, przedstawicieli sądownictwa, senatu uniwersyteckiego, profesury. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *Mayne Reid, Thomas* (1818–1883) – pisarz amerykański, autor kilkudziesięciu powieści przygodowych z życia Indian i osadników na Dzikim Zachodzie. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *Aimard, Gustave* (1818–1883) – pisarz francuski, autor licznych książek przygodowych rozgrywających się na amerykańskim Dzikim Zachodzie i w Meksyku. [przypis edytorski]

w rysach bardziej ścisłych charakter działalności *Narodnej Woli*<sup>26</sup>, wiedza ta nie ożywiła wcale wspomnień o osobie pana Michała, nie zahaczyła o nie. Dopiero przypomnienie bezpośrednie wywołało pamięć o nim, pamięć całkiem konkretną, nieroztworzoną, nieprzepracowaną przez myśl zamkniętą w sobie, wyłącznie niemal cielesną. Życie duchowe osób znanych nam wytwarzamy sami z zasobów własnego swego duchowego życia. Ale pan Michał pozostawał poza obrębem moich metamorfoz. Toteż gdy przypadkowe zetknięcie odgarnęło fale ni troszczących się o niego myśli i uczuć, wynurzył się on spośród nich taki sam, jakim pograżył go w nie przypadek pierwszego spotkania, świadomość moja i wszystkie jej zdobycze pozostała tak dalece obca temu wspomnieniu, że wysiłkiem woli tylko powiązać mogłem, i to powiązać całkiem zewnętrznym, to, co teoretycznie wiedziałem o *narodowolcach*, z tym konkretnym, przechowywanym bez zmian obrazem pana Michała. Zarysowywał się on przede mną tak samo bezwzględnie inny, nieznan, niezrozumiały i groźny, jaki ukazał się moim dzieciennym oczom: złom zastygłej lawy na kwiecistej, spokojnej łące, pośród lęklwych, oswojonych przez życie i przygarbionych przez nie ludzi – opalony przez pioruny, zwyciężony, lecz nieulekły, okaleczony, lecz nieugięty tytan. Spod opalonych powiek oczy jego wybiegały ponad nasze głowy gdzieś w kraj groźnych pobojozisk; wsłuchiwać się zdawał nieustannie, czy nie wstrząsa podziemny głuchy grom tym zaciszem lęku i małości, na którym wsparliśmy swoje życie.

Teraz rozumiałem już, dlaczego tak być musiało, dlaczego był on pośród nas całkowicie do innego świata należącym.

Zapraǳiałem wiedzieć o nim więcej...

Tak nagle wystąpił on na tle mojej pamięci, chroniącej zjawiska nieznaczące nic i upokarzające pozbawione treści, niby rdzawa plama, niby miecz czy szyszak<sup>27</sup> niespodzianie wśród domowego rupiecia odkryty.

Rodzina pana Michała była poniekąd i moją rodziną. To, co jednak różni jej pozostali przy życiu członkowie opowiadali mi o nim, było tylko różnorodnie załamany w pojedynczych, niewspółmiernych z istotą zjawiska umysłach uczuciem przestachu, obcości, niechęci.

– Zruszczył się – mówili jedni – utracił grunt pod nogami, dla obcej, niezrozumiałej sprawy poświęcił ojca, rodzinę. Ambitny był i zarozumiały, chciał przewodzić, gardził wszystkim swojskim... I krew przelewał, krew: zabójstwo jest zawsze zabójstwem.

– W Boga nie wierzył, siostrę swoją stryjeczną, Olesię, zgubił, z nim uciekła, „na wiarę” z nim „w komunie” żyła, sama prała, wodę nosiła, na fabryce podobno pracowała jak prosta robotnica. I zmarniała dziewczyna. A taka była piękna, taka słodka, taka wykształcona, dobra... I taka patriotka – opowiadała mi jedna z ciotek Oli, siwa jak gołąb staruszka – o wszystkim zapomniała i z nim poszła na nędzę, głód, poniewierkę. I dla kogo, po co? W Tule<sup>28</sup>, podobno, pomiędzy robotnikami ją aresztowali... Ją – kasztelańską wnuczkę. Dziada Moskale na Syberii zamęczyli, a ona przecież tam poszła. A tak nienawidziła ich, tak się trzęsła i bladła, jak opowiadać jej było o Murawjewie<sup>29</sup>, o Wilnie, o cytadeli, o Suworowie<sup>30</sup>, o Pradze, Kilińskim<sup>31</sup>.

<sup>26</sup> *Narodna Wola* a. *Narodnaja Wola* (ros.: Wola Ludu a. Wolność Ludu) – tajna organizacja rewolucjonistów rosyjskich, powstała jesienią 1879 w wyniku rozłamu w organizacji Ziemia i Wola, dążąca do obalenia caratu, zaprowadzenia swobód demokratycznych, rozdania ziemi chłopom, a wielkich przedsiębiorstw robotnikom. Komitet Wykonawczy Narodnej Woli wydał wyrok śmierci na Aleksandra II, po paru nieudanych zamachach car zginął w 1881, a w wyniku licznych aresztowań i procesów organizacja została rozbita. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *szyszak* – rodzaj stożkowatego hełmu bez przyłbicy. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *Tula* – miasto w Rosji środkowej, ok. 200 km od Moskwy, w XIX w. stolica guberni, ważny ośrodek metalurgii i przemysłu zbrojeniowego, słynna także z produkcji samowarów. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *Murawjew*, właśc. *Murawjow*, *Michaił Nikołajewicz* (1796–1866) – ros. działacz państwowy; w 1863 mianowany generał-gubernatorem na Litwie, z nieograniczonymi pełnomocnictwami i zadaniem stłumienia powstania styczniowego; stosował odpowiedzialność zbiorową i terror, zyskując przydomek *Wieszatiel*. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *Suworow*, *Aleksandr Wasiljewicz* (1729–1800) – głównodowodzący (generalissimus) armii carskiej, wybitny wódz i teoretyk wojskowości; walczył przeciw konfederacji barskiej, wykazał się umiejętnościami taktycznymi podczas wojen rosyjsko-tureckich, walnie przyczynił się do zwycięstwa Rosji nad wojskami insurekcji kościuszkowskiej (odpowiedzialny za rzeź ludności Pragi podczas

Niewiele więcej dowiedziałem się i od pana Walerego.

– Pojechał na uniwersytet. W gimnazjum uczył się dobrze, przyjeżdżał, mówił różne rzeczy, tak jak to zwyczajnie młody na wakacjach. Nikt tam na to uwagi nie zwracał tak bardzo. Stryj tylko obruszał się i marszczył, kiedy mu nazwiskami jakichś tam liberałów, czy jak tam, rosyjskich sypał. Liberał – wiedzieliśmy dobrze, jaki jest Milutyn<sup>32</sup> w Polsce liberalny. Liberał, a rządzi się, choć wie przecież, że to rozbój i kradzież; ale jemu już całkiem głowę zatumanili. Mówi jeszcze stryj albo ojciec mój: „Ty jego choć wodą kolońską smaruj, on zawsze dziegciem<sup>33</sup> śmierdzi”, ale... Takiego ci nagadał, że życie niemiłe: i chłop ci zaraz jest, i wyzysk, i uciemiężenie szlacheckie. Stryj jeszcze: „Z rządem się chłopci zwąchali, powstańców wiązali, zabijali”. Ale nic. Tak się już w tym chamstwie<sup>34</sup> rozkochał, że żadnych argumentów nie słuchał. I tak to już trwało z rok może. Już się nawet stryj nie cieszył, kiedy przyjeżdżał. Pojechał, znikł. Poszukiwano go; co kilka dni przez jakiś czas wpadali, otaczali dom, ogród: do góry nogami przewracali wszystko, tak go szukali. Stryja Oktawiana w więzieniu trzymali, myśleli – ukrywa, musi wiedzieć. Sam generał z Kijowa przyjeżdżał. „Pan jako ojciec musi wiedzieć. Pod pana wpływem”. Ale stryj tak grzecznie, jak to on umiał tylko, a spokojnie przerwał: „To ja właśnie cieszę się, że pana generała widzę, człowieka poważnego o dużym stanowisku, to pan może mi objaśnić zechce, dlaczego w szkole rządowej dzieci nasze wiarę tracą, dlaczego przesiąkają obcymi naszym narodowym tradycjom zasadami”. Generał próbował gniewem wykręcić się, ale nieswojo mu było; już potem dano stryjowi Oktawianowi pokój. Statysta<sup>35</sup> on był, po najpierwszych salonach europejskich się obracał. W Hotelu Lambertowskim<sup>36</sup> gościem był, Zygmunta Krasieńskiego osobiście znał.

I tak przeszło parę lat chyba. Aż tu nagle w jakąś noc – po cichu – zjawia się. Popłoch. Przez trzy dni wszyscy na palcach chodzili, odetchnąć głośniejsze nie śmiemy. Zamknęli się ze stryjem Oktawianem w gabinecie – zrazu cicho, półgłosem mówią, potem coraz głośniejsze. Nagle drzwi z trzaskiem się otworzyły – wypadł błady, do ogrodu wybiegł. Stryj dzwoni – wchodzi: błady jak ściana. Myśleliśmy – udar, odratowaliśmy jakoś. Przeszedł tydzień – nowina: Olesi nie ma. List zostawiła, że do Michałka idzie z nim razem „pracować”. Stryj Oktawian w parę dni osiwił. Jego opiece powierzona, jego syn. Co powiedzieć? Dla niego dalsza nawet krewna. Ciotki Emilii, mojej matki siostry, córka. Ciotka Emilia za granicą wówczas była. Myślimy: zawiadamiać czy nie zawiadamiać? Może jeszcze odnajdzie się, opamięta się – wróci. Ale tu sama ciotka przyjeżdża – już wie. Do samej siebie niepodobna, trzęsie się, mówić nie może. Zamknęli się ze stryjem Oktawianem – płaczą. Kilka miesięcy tak ciotka przemęczyła się; przychodziły od Oli wiadomości, ale skąd, gdzie jest – nie wiadomo. Ciotka raz wybrała się do Kijowa. Ale jak tu szukać? Strach, aby policji na ślad nie naprowadzić. Po tygodniu wróciła przybita, zmieniona jeszcze bardziej. Jakoż wkrótce i umarła. Przeszło kilka miesięcy – znowu! Teraz Olesi szukają. Gdzie, jak, o co – nie wiadomo.

---

szturmu na Warszawę 4 XI 1774), pozostał w Polsce jako dowódca wojsk okupacyjnych; brał również udział w walkach drugiej koalicji antyfrancuskiej z rewolucyjną Francją. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *Kiliński, Jan* (1760–1819) – szewc, dowódca cywilnej milicji w insurekcji warszawskiej w kwietniu 1794, pułkownik w powstaniu kościuszkowskim. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *Milutin, Nikołaj Aleksiejewicz* (1818–1872) – rosyjski działacz państwowy, główny autor wielkich reform liberalnych za panowania Aleksandra II: uwłaszczenia chłopów i wprowadzenia samorządów gminnych w Imperium Rosyjskim w 1861; od 1864 sekretarz stanu do spraw Królestwa Polskiego oraz członek (faktyczny współprzewodniczący) Komitetu Urządzącego w Królestwie Polskim, w ramach którego opracował reformę uwłaszczeniową; opowiadał się za zanieśieniem odrębności Królestwa przez likwidację autonomicznych instytucji i rusyfikację administracji. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *diegieć* – gęsta, smolista substancja o charakterystycznym, przykrym zapachu, używana do celów leczniczych oraz do impregnacji materiałów, uszczelniania beczek, jako smar, klej itp., wytwarzana dawniej przez węglarzy przez wypalanie węgla drzewnego w kopcach ziemnych. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *cham* (daw., pogard.) – człowiek niższego stanu, chłop; *chamstwo*: chłopstwo. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *statysta* (daw.) – polityk, osoba biorąca udział w sprawach państwowych, mąż stanu, strateg (dziś: osoba niebędąca aktorem, a występująca w filmie lub sztuce teatralnej w roli podrzędnej). [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *Hotel Lambert* – rezydencja w Paryżu, w XIX w. należąca do książąt Czartoryskich, będąca głównym ośrodkiem Wielkiej Emigracji oraz emigracyjnego obozu politycznego. [przypis edytorski]

W parę lat dopiero wiadomość przyszła: w więzieniu umarła. Ale gdzie, w jakim, nie pamiętam. Stryj Oktawian wtedy właśnie umierał. Męczył się, po całych nocach chodził, na głos gadał, płakał, włosy wydzierał, listy pisał do niego, do Michała, ale gdzie go szukać, gdzie posyłać. I umarł tak, i syna nie widział. Na chwilę przed śmiercią oczy otworzył, ręką zrobił ruch, jakby wołał – ja nachyliłam się, a on tylko wyszeptać zdołał: „Michaś”, błogosławiąc. Majątek przed śmiercią aktem sprzedażnym, notarialnym, mnie przekazał: „Znajdzie się może, czasy się zmieniają – oddasz”. A jemu wprost zostawiać nie można było. Wyrokiem sądów wszelkich praw pozbawiony: cywilna śmierć. Zawiadomienie takie przychodziło. Przeszło parę lat, ani wieści. Nagle bęc... Jakoś o wiosnie, plucha była przekłeta, drogi rozchłapane – nie przejedziesz, wiadomości z miasta żadnej, ani listów, ani gazet: koni szkoda. Aż tu podczas obiadu isprawnik – sztywny, urzędowy. Proszę siadać, przekąsić – nie chce. „Ważna sprawa – mówi. – Nad pańskim domem rozkazano nadzór rozciągnąć... Ja już staroście rozporządzenie dał: gdyby objawił się krewny pański Michał, wiązać, wziąć pod straż, do mnie dostawić. Szanując uczucia rodzinne, panu tej funkcji nie powierzam, choć moglibyśmy żądać. Wobec obowiązku obywatelskiego milknie głos serca”. I dopiero dowiedziałem się, o co idzie. Było to po 13 marca 1881 roku. Nogi, powiadam ci, pode mną się zatrzęsły: „Przepadłem – myślę – jego nie znajdą, mnie wezmą. Kogoś przecież wziąć muszą, samego ce-sa-rza przecież...” Mówię: „Panie pułkowniku, pan przecież mnie zna, nigdzie nie wyjeżdżam, nikt u mnie nie bywa...” „Tak to tak – powiada – ja naturalnie o panu nic, a nad domem to już starosta opiekę weźmie”. Myślę: „Źle”. Powiadam: „Czy na pomnik składek nie ma?”. Ale on tak surowo spojrział: „Nie warci wy mu pomnik stawiać, ręce jeszcze z krwi nie obeschły, a wy ze składką...” Struchlałem: „Toć nie my przecież, on – powiadam – i nas pokrzywdził, wymagal za ojca podpisem sfałszował” – umyślnie już takem powiedział, bo przecież trzeba było dowieść, że pomiędzy nami solidarności żadnej: majątku żeby nie ruszali, bo to placówka narodowa, forpoczta. A jemu wszystko jedno: i tak zabójca, to cóż mu już tam marny wymagal. Trzy miesiące żyliśmy w strasznym niepokoju; no, ale jakoś nic, wreszcie spotykam isprawnika w lecie już. „Za granicę – powiada – zbiegł, ukrył się”. Myślę: „Chwała Bogu – nie wróci. Wie przecież, co go czeka”. Chciałem mu nawet pieniędzy posłać – niechby już tam urządził się wygodnie, żył sobie. Ale to też niebezpieczna sprawa; myślę i myślę... jakby to zrobić? I tak znów parę lat przeszło. Znowu isprawnik nadjeżdża: „Krewny pański Michał w Petropawłowskiej Twierdzy<sup>37</sup>, w bezpiecznym miejscu, a jeżeli kto z rodziny zobaczyć się z nim chce, to się nie wzbrania...” Mówi, a sam oczami świdruje. Ja powiadam: „My go mało znamy, prawie że wcale nie, sympatii między nami nigdy nie było, to i spotkanie nieprzyjemne by być mogło, ale obowiązek chrześcijański pomóc każe, więc jeżeli pieniędzy potrzeba, to gotów jestem na ręce władzy”. Sto rubli isprawnik wziął i wciąż powtarza: „A widzieć się, jeżeli z rodziny kto chce, nie wzbrania się”. Pułapka jawna, po cóż by z taką natarczywością mówił? Powiadam więc: „W każdej rodzinie zdarzają się nieszczęścia, najlepsze wychowanie nie pomoże. Litować się nad zbrodniarzami nawet Bóg rozkazał, ale Michał Kaniowski ojca mojego, a swego stryja – był taki wypadek – ciężko obraził, siostrę moją ciotecznią zgubił, więc właściwie obowiązek honoru satysfakcji by szukać u niego kazał; ale teraz on już wszelkich praw pozbawiony, więc ja to już rozumiem, że on do honorowej rozprawy nie zdolny całkiem, to odpuszczam mu już swoją urazę, pieniędzmi pomoc okazuję, ale widzieć nie chcę...” Isprawnik nawet za rękę mnie uściśnął: „Pozwól pan, że panu powinszuję takich uczuć” – powiada. A ja widzę: udało się. Były podobno podejrzenia, że ta niby sprzedaż majątku pozór tylko jest, ale od tego czasu przestano dochodzić – i kawałek ziemi w polskich rękach został. Tak to dyplomatyzować potrzeba. Nie o mnie przecież chodziło: gdyby można, zaraz byłbym Michałowi majątek oddał. Mnie cudzego nie potrzeba, ale to przecież i narodowa własność. I żalu ja do Michała żadnego nie miałem: jawna rzecz, nienormalny on był, całe życie narwany, a może i całkiem fiksat<sup>38</sup>.

<sup>37</sup> Twierdza Petropawłowska a. Pietropawłowska – twierdza w Petersburgu, najstarsza budowla w mieście, założona przez Piotra I na Wyspie Zajęczej; do 1917 odgrywała rolę więzienia politycznego. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> fiksat (daw.) – wariat. [przypis edytorski]

I sam widziałeś później: na niczym mu u nas nie zbywało, pieniędzy brał, ile chciał, i wcale sporo ich czasami brał, i dokądciś posyłał. A gdyby nie moja na ten czas polityka, to byłiby go pewnie i do nas nie oddali, chociaż już za konającego mieli go i całkiem bez żadnej przytomności. No, wtenczas nie przychodziło mi nawet na myśl, że go oczy ludzkie żywym zobaczą; myślałem: „Męczyć zaczął, aby wydał, co wie, i tak zamęczy bez sądu...” Przeszedł czas; jest wiadomość: wyrokiem sądu na śmierć skazany, a w drodze łaski wyrok na katorgę wieczystą przemieniony. Koniec, myślimy, przepadł już człowiek na zawsze; Adelincia nawet uspokoiła się, w ciągłej enerwacji<sup>39</sup> żyła. Ale nie koniec to był jeszcze. Jużemy i zapominać zaczęli o Michale, kiedy nagle przychodzi wezwanie z guberni: „Chorego umysłowo Michała Kaniowskiego na skutek prośby krewnego jego – takiego to: moje nazwisko wymienione – oddaje się pod opiekę rodziny”. Ja prośby nie podawałem, więc myślę: „Jawna sztuka policyjna”, ale w pół godziny zajeżdża ekstrapocztą<sup>40</sup> jakaś pani w żałobie. Z początku nie bardzo jej dowierzałem, ale tak jej surowo z oczu patrzyło, całkiem mniszka, a o Michale z takim szacunkiem się odzywała i z takim żalem... To dawni przyjaciele Michała urządzili wszystko i prośbę moim nazwiskiem podpisali. „Tak było trzeba – powiadała ta dama – gdyby się byli chcieli przyczepić, mógł się pan wyprzeć, a udało się, to i tym lepiej”. Jakoż<sup>41</sup> pojechałem: oddali go, ani ręką, ani nogą ruszyć nie może, nie mówi prawie, bełkoce coś – trup więcej niż człowiek. Myślałem: „W drodze skończy”, ale dowiozłem jakoś. I powoli, powoli oprzytomniał, do siebie przyszedł. Przed władzami – isprawnik z początku często, później rzadziej najeżdżał – obłąkanego udawał, ale jeżeli prawdę powiedzieć, to myślę, że i w rzeczy samej niedobrze miał w głowie: sam z sobą po nocach rozmawiał na głos; posłuchasz, pomyśleć by można, że dwie lub trzy osoby mówią. Albo jeszcze dziwny miał zwyczaj: stanie przy ścianie i puka w nią. Puka czasami dobrą godzinę. Pism i gazet sobie nasprawdzał na moje imię – rosyjskich najwięcej; tych, co u nas polskich było, nie czytał prawie, jakieś świstki nieznane sobie wypisywał. Czytał i czytał, wypieków dostawał, kłął głośno, ze złości gazetę czasem w strzępy darł, a spytać go o co, to powie coś tak dziwnego, że zrozumieć trudno: krótko tak, urywkowo, zjadliwie. Męczył się bardzo: wyrzuty sumienia widać go gryzły – zawsze to przecież krew ludzka przelana, a i ojciec, Olesia. Z nami rozmawiać nie chciał, w starych papierach się grzebał, pisał coś. Papierzysków po nim masa została.

Bez trudu udało mi się przekonać pana Walerego, że przechowywanie tych papierów może być dla niego w tych czasach nawet niebezpieczne.

W ten sposób doszedłem do posiadania zapisek i notat pana Michała. Pomędzy nimi znalazłem ciągnący się poprzez wiele zeszytów rękopis, stanowiący jedną całość – do pewnego stopnia pamiętnik, to znowu jakby opowieść, wrażenia osobiste, to znowu niby wizja z pewnym wysiłkiem artystycznym odtworzona.

Na luźnej kartce znalazłem ołówkiem pisaną uwagę:

„Odcięty jestem od życia. Zetknięcie ze mną może być niebezpieczne i im żywszy człowiek, tym niebezpieczniejsze; nie wiem, co dzieje się w kraju: czuję pod piaskami krew i płomień. Ale piaski, piaski tłoczą wszystko grubą ławicą. Jeżeli dojdą kiedy te słowa...”

Tu zdanie się urywa.

I w innych rękopisach i papierach znalazłem wskazówki, że pisał pan Michał swoje wspomnienia z myślą, że one mogą być opublikowane.

Oddaję je do użytku publiczności.

Być może uda mi się z czasem uzupełnić ten przez niego samego skreślony obraz ludzi, wydarzeń, uczuć – wiadomościami o nim samym, z innych zaczerpniętymi źródeł.

<sup>39</sup> *enerwacja* (daw.) – rozdrażnienie nerwowe; neuroza. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *ekstrapocztą* (daw.) – bryczka pocztowa specjalnie wynajęta za droższą opłatę, jadąca szybciej niż zwykła. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *jakoż* (przestarz.) – spójnik akcentujący, że coś, o czym mowa wcześniej, jest prawdziwe, zaszło lub spełniło się; i rzeczywiście, i w samej rzeczy. [przypis edytorski]

## I. Na zgliszczach

### 1

Chciałoby się nie myśleć o niczym, przede wszystkim zaś nie przypominać. Zdawałoby się, że to nietrudno: raz na zawsze odwrócić myśl od tego, co nie wróci – oddać się wrażeniu chwili. Jest tyle rzeczy nie związanych z niczym, zwykłych. Jest tyle sposobów uczucia, widzenia, myślenia. Zdaje się, że od każdej chwili można by zacząć całkiem nowy rodzaj egzystencji. Przyjąć się takim, jakim się jest: i tyle.

W pierwszych chwilach, w pierwszych dniach wszystko sprawiało mi przyjemność. Patrzyłem głodnymi oczyma na zieleń trawy, upajałem się szumem drzew. Było mi nieskończenie dobrze: nie myślałem o niczym, przyglądałem się każdej rzeczy i cieszyłem się, że jest. Jest. Mniejsza o to, jakie znaczenie mają dla innych, żywych ludzi pewne jej właściwości. Jedne są im przyjemne, inne wstrętne i odrażające. Życie jest zawsze egoistyczne i jednostronne: ja miałem w sobie sprawiedliwość śmierci.

Gdzieś kiedyś widziałem stary cmentarz. Tak stary, że nie było już na nim ziemi innej prócz tej, jaka tworzyła się z prochów umarłych. Zieleń na tym cmentarzu była nadzwyczajnie świeża i soczysta; w powietrzu brzmiał nieustannie szmer owadów niby jakaś muzyka żyjąca. Rozlegała się wszędzie jednocześnie: w trawie, w powietrzu, brzmiał nią każdy ruch gałęzi czy listków, muskanych przez wiatr. Doznawało się tu wrażenia, że to szmerze życie samo, że to słyszy się jego puls, jego nieustanne drganie: że to dźwięczy i śpiewa samo rodzenie się i umieranie. Myślę, że gdyby cmentarz ten miał jakąś jedną, wielką, czującą duszę, czułaby ona taką nieustanną radość, że jest, jest każde źdźbło trawy, każdy owad. Tym umarłym, którzy tam z wolna stawali się trawą i rojem muszek brzęczących w powietrzu, i szmerem drzew, musiało się też niegdyś zdawać, że ważne, znaczące, dobre jest tylko to, co jest w nich, a poza nimi jest obojętność i martwota. Teraz rodziła się z nich szersza, spokojniejsza mądrość. Tylko nie myślę, żeby im trawy i krzaki szeptały do mogił jakies przypomnienia.

Było mi dobrze, dopóki nie zbudziła się pamięć.

A budziła się ona jakby ze wszystkich stron naraz, ciągle i niespodziewanie: tchnienie wiatru, muśnięcie gałęzi, która nagle zlewała twarz świeżą rosą, świegot ptaków o brzasku – wszystko to nagle wywlekało z duszy jakąś dawno utraconą chwilę, kiedy tak samo zieleniła się trawa, tak samo kwiliły ptaki.

I powstawała ta utracona, pogrzebana chwila, taka żywa, taka na nowo obecna, że słyszałem głosy, czułem dotknięcie rąk, i pozostawałem bardziej opuszczony.

Nie było przed wspomnieniami ratunku!

Włóczyły się po wszystkich zakątkach myślenia i czucia, jak upiory w księżycową noc w opuszczonym zamczysku.

Na wszystko, com widział, patrzeć zacząłem umarłymi oczyma. Wszystko stało się tylko przypomnieniem.

Każda rzecz szeptać zdawała się: już nie.

Cisza stała się głosem pamięci:

Leżę bez ruchu, nie widzę nic, nie myślę o niczym, naokoło ciemno i głucho, we mnie jest cicho, świat i dusza stały się jak próżna, rozwarta mogiła. Nie ma nic prócz tego czarnego czekania. I nagle przypominam sobie... Nie. To staje się samo przez się. Ta cisza staje się tamtą, dawniejszą, kiedyśmy wszyscy, porozdzielani poprzez więzienne ściany, nasłuchiwali szmerów, aby pochwycić to ostatnie, coś od nich usłyszeć mieli... ich kroki, kiedy ich prowadzono na śmierć.

I budzę się, i wiem, że nie doczekam się już nawet tych straszliwych ostatnich kroków, że to już nawet zostało utracone. I staje mi się nagle tak droga ta męka, że wydaje mi się najwyższym

szczęściem czekać z sercem, które bije jak dzwon w płomieniach, to znowu zastyga w lodową taflę, która słucha.

Wstaję, zbolałymi rękami dotykam znużonego ciała i wierzyć się nie chce, że to ja, ten sam, zmęczony, okaleczony, opalona, zwęglona głownia, tułam się tu i że to wszystko było, było...

Zewsząd napływa rój spojrzeń, uśmiechają się do mnie pogaszone oczy; przechodzą przede mną, widzę ich drogie, natchnione twarze. Widzę, zrywam się i wiem, wiem krótką, ostrą wiedzę, jaką się czuje chłód noża wbitego w serce: oni gdzieś gniją w opuszczonych, podeptanych mogiłach, a ja się włóczę po świecie, bezsilny trup, obciążony przekleństwem pamięci.

Modłę się do wszystkich rzeczy, błagając je, aby były inne.

Inne, nie te, jakimi widziałem je **wtedy**.

Przekonywam sam siebie bardzo logicznymi, niezwalczonymi sylogizmami<sup>42</sup>, że żadna chwila nie powraca, nie powtarza się nigdy, że nigdy kąpiący się nie zanurza się dwa razy w jedne i te same rzeczne fale. Ale dla mnie są one zawsze te same, ta sama trawa, to samo światło księżycy, te same promienie słońca.

Świat cały stał się wskrzesicielem upiorów.

Nie ma rzeczy, na której by nie ciążyła przeszłość. Zapach kwiatów rozbrzmiewa nagle w duszy śmiechem Perowskiej<sup>43</sup>, gałąź drzewa trąca mnie i na ramieniu czuję ręce Żelabowa<sup>44</sup>. Tę pajęczynę widziałem już kiedyś: tak samo trzepotała się i brzęczała w niej bezsilnie mucha – i nagle staje mi przed oczyma pomarszczona, brzydka twarz Klemensa<sup>45</sup>, widzę dobrotliwie chytry uśmiech w siwych oczach, rozchylają się zwiędłe wargi, ukazując nierówne, pożółkłe zęby. I nagle ściska serce najśroźszy ból, zamykam oczy, skułam się w sobie i proszę, proszę jak dziecko: odejdz, odejdz. Ola. I czuję, jak kładzie mi na głowę rękę.

Ola, Ola!

Przez długie lata doprosić się nie mogłem pamięci, aby wywołała twój utracony cień, nie mogłem przywołać ani oczu twoich, ani drogich popielatych włosów. Wtedy przecież ja byłem magnat i stać mnie było na łyżę po przeszłości. Otaczała mnie orla gromadka, mieliśmy ręce jeszcze pełne piorunów i w sercach ogień i było nas wielu. Ola, dziś nie przychodź. Ten Michał, twój Michał dawniejszy, Miszuk-Niewidimka<sup>46</sup>, umarł, zginął, jego już nie ma.

I proszę, i błagam, i łzami krwawymi się modłę.

Po co mi księżyc świeci do mogiły?

I po co pada wonny róży liść?

Po co słowika śpiew umarłe budzi serce?...

Odejdz, Ola. I nie przychodź, nie przychodź... Wiem, że znikniesz. A kiedy patrzysz, to twoje oczy mówią tylko: nie ma. To jedno już tylko umięją mówić – twoje miękkie, twoje aksamitne oczy.

A one były blaskiem, poprzez które świeciły dla mnie i słońca, i gwiazdy, a teraz patrzy na mnie z nich śmierć i mogiła, pustka czarna pamięci: Nie ma! Nie ma!

---

<sup>42</sup> *sylogizm* – schemat wnioskowania logicznego zbudowany z dwóch przesłanek i wniosku. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *Pierowska, Sofia Lwowna* (1853–1881) – rosyjska rewolucjonistka, propagatorka i uczestniczka „wędrowek w lud”, skazana w tzw. procesie 193, po ucieczce działała w tajnej organizacji Ziemia i Wola, następnie w Narodnej Woli; współorganizatorka zamachów na cara Aleksandra II, w tym zakończonego powodzeniem ataku z 13 marca 1881; wraz z innymi zamachowcami aresztowana i stracona; żyła w nieformalnym związku z innym działaczem Narodnej Woli, Andriejem Żelabowem. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *Żelabow, Andriej Iwanowicz* (1851–1881) – rewolucjonista rosyjski; początkowo przedstawiciel narodnictwa, prowadził działania propagandowe wśród robotników i studentów, później jeden z założycieli i przywódców Narodnej Woli; uczestniczył w zamachach na Aleksandra II, w tym w pierwszej fazie udanego ataku w marcu 1881; wraz z innymi zamachowcami aresztowany i stracony; żył w nieformalnym związku z inną przywódczynią Narodnej Woli, Zofią Perowską (Sofią Pierowską). [przypis edytorski]

<sup>45</sup> *Klemens, popr.: Klemenc, Dmitrij Aleksandrowicz* (1848–1914) – rosyjski działacz rewolucyjny, publicysta, etnograf; zbliżony do ruchu narodnickiego, następnie członek partii Ziemia i Wola, za działalność rewolucyjną zesłany na Syberię, gdzie zajmował się pracą naukową. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *niewidimka* (ros.) – niewidzialny. [przypis edytorski]

Po spalonym lesie pozostałem nadwęglony, współspróchniały pień: z martwego cielska wyrósł pęk bladych, zielonych listeczków. Są chore, nikłe, ale są, ale szumią: śni się umarłemu drzewu o dębach wiekowych, o sosnach pachnących, o srebrnopiennych brzozach, śnią mu się burze i wichry, orłów krzyk pod czarnymi chmurami.

Zerwijcie zieleń, ogień podłóźcie i popiół przeorcie. I niech przyjdą kruki, by zaśpiewać tę jedyną, tę ostatnią pieśń:

że zastygły już serca płonące,  
że zagasły oczy widzące,  
że męźnych mogiły już w ziemię wdeptane,  
że łąki kwieciste przez śmierć zaorane.

Że tylko śmierć patrzy pustką oczodołów:

Rosły dęby, rosły,  
w niebiosą sięgały,  
dumnymi czołami  
gromom urągały.  
Przyszła śmierć mocarka,  
w pług zaprzęgała woły,  
woły czarne, ślepe,  
w ciężki pług przeznaczęń:  
kędy<sup>47</sup> one przejdą,  
tam już step zwęglony,  
czarny, pusty, bez końca,  
tam już tylko pamięci  
męka niemilknąca.

Jestem przecież w domu, gdzie żyłem wraz z tobą, Ola! Widuję co dzień ludzi, którzy ciebie znali, z którymi ty rozmawiałaś. Otaczają mnie sprzęty i ściany, które pamiętać powinny brzmienie twojego głosu, szelest i dotknięcie twoich sukien – a to wszystko nie przypomina mi nic.

Myszę, że to moja świadomość czuwa z tej strony, przygotowana jest do napaści i rozstawiła strażę.

Wspomnienia podchodzą znienacka: nie słyszę, nie czuję ich zbliżania się, a oto już są koło mnie, już spoczęła na oczach twoja ręka.

O, zawrzyj je.

Tak dobrze byłoby skonać.

A kiedy będę umierał: rozewrze się pamięć jak szereg niezamieszkałych pokojów, pusta, chłodna, milcząca.

Nic... nic...

Patrzą stare sprzęty i milczą...

Na dworze słota jesienna, długa słota.

Zamknąłem się w starej połowie domu. Znam tu każdy mebel, każdy kąt: mógłbym po ciemku, omackiem trafić do każdej potrzebnej mi rzeczy.

Deszcz chlupie o szyby, od czasu do czasu uderzy o nie gałąź drzewa. Stary ogród rozrósł się i wybujał: zaglądają do mnie stare przyjaciółki – lipy, topole, brzozy płaczące. Patrzą. Kiwiają żałośnie

---

<sup>47</sup> kędy (daw.) – gdzie. [przypis edytorski]

swymi bezlistnymi gałęzmi. Pamiętają małego Michasia o jasnej, kędzierzawej główce i niebieskich oczach, widzą teraz nagi, poraniony czerep, cały w zmarszczkach i bliznach.

Deszcz pluszcze i płacze, a stare drzewa stukają w szyby pytając:

Co z tobą? Co z tobą? Gdzieś ty był? Gdzieś ty był?

Myśmy tu stały latem i zimą, w pogodę i słotę, patrzyłyśmy w okna, nasze gałęzie stukały, stukały – biły o szyby, kiedy tutaj umierał stary, siwy pan.

Gdzieżeś ty był, gdzieżeś był ty, samotny, dziwny człowieku?

Chyli się na ręce goły łeb, duszą łzy, pierś rozdziera łkanie.

A deszcz pluszcze, pluszcze.

A gałęzie do okien patrzą i dziwią się:

Jak dziecko płacze, jak dziecko szlocha – stary człowiek, dziwny człowiek – Miszuc-Niewidimka.

## 2

Ho, ho! Jaki ty pan, jaki ty pan, jaki magnat – stary, łysy Miszuc!

Magnat ty, bogacz, szczęśliwy człowiek! Swego szczęścia nie znał, o nim nie wiedział!

Przyszli dobrzy ludzie i powiedzieli, dobrzy ludzie przyszli, pocieszyli.

Dobrzy ludzie serca mają czułe – oni wiedzą: ciężko żyć z ojcowskim gniewem, z ojcowskim gniewem, co się nie odmieni, bo przywaliła go czarna, głucha ziemia.

Dobrzy ludzie myślą: ciężko wspominać w noc, kiedy stare drzewa pukają o szyby, jak się rozstawało na wieki, na odwiecznie głuche nigdy-niespotkanie z tą parą rąk ojcowskich, ciepłych, miękkich, z parą oczu, co ze ściany patrzą z portretu, a siwą, jasną głową, co w samotne nocie tyle czarnych, trujących przemyślała myśli.

Ty – Miszuc, wielki, możny pan. Tyś myślał, że ono się ścięło, stwardniało w kamień w gorzkim, nieubłaganym gniewie, to stare, to zmęczone, to, co już nie bije – serce ojcowskie.

Nieprawdaż, Miszuc, takeś myślał: – to ci ciążyło.

Bo i jakże! Przeciw woli ojca poszedł, ojca zagniewał!

Dobrzy ludzie cię, Miszuc, pocieszyli. Dobrzy ludzie, Miszuc, miękkie mają serca.

Ty się ciesz, Miszuc, ciesz się.

On płakał – słyszysz? On tu chodził, chodził; nocie całe chodził, ręce łamał. Deszcz pluskał, gałęzie stukały – on myślał, że to ty, że to tak, jak wtedy – w tę noc.

On biegł do drzwi otwierać i z gołą głową stał w nocy na wietrze, na deszczu i w czarną noc wołał: „Michaś, Michaś!”.

Ho, ho! Miszuc, jaki ty bogaty! Tobie dobrzy ludzie teraz opowiedzieli, jaki ty masz skarb.

Skarb nie byle jaki!

Wiesz ty, ile lat trwa noc bezsenna, noc na czekaniu spędzona, kiedy się czeka na coś, co nie przyjdzie.

Ty to wiesz, ty to wiesz, Miszuc.

Ty i czarne nocie – to jakby rodzeństwo.

A wiesz ty, ile w taką noc można łez wypłakać?

A każda łza była ciężka, bo płakało nią stare, męskie serce.

A spadała na siwe, srebrne wąsy, ciekła po nich.

Miszuc, Miszuc – tobie darowali tyle łez ojcowskich.

A każdą łzą można się otruć na wieki.

## 3

Stare drzewa szumią, szumią, szumią.

Deszcz o szyby bije niby łyzy.

Cicho... stary zegar szepce, chrapie, stęka.

Napracował się on – nie byle co on mierzył. Mierzył noce, kiedy na wielkim łożu konał stary pan. Stary pan umierał, a wciąż nasłuchiwał:

Podejdzie do okna, zapuka. Stary słuch może zawieść, może nie dosłyszeć.

Zrywał się, siadał na łóżku i słuchał, słuchał, a zegar: cyk, cyk... – mierzył. Mierzył krótkie, szybkie, ostatnie już chwile. Stare serce cicho kołatało.

Jeszcze, jeszcze – nadejdzie, zobaczy, usłyszysz – powiem mu.

Cyk... cyk... – syczał zegar.

Nie wraca, nie wraca nic, nic... Nie wraca, nie wraca nikt, nikt...

Deszcz o szyby chlupał, gałęzie stukały; i mijały chwile: jedna za drugą – szybkie, nieubłagane.

A każda, kiedy nadchodziła, to mówiła: jeszcze – a kiedy mijała, to szeptała: już nie, już nie.

Już nie, już nie – syczał zegar.

A wreszcie przyszła chwila i szepnęła: nigdy – spadła na oczy noc, a na myśli kamień.

Stare serce jeszcze tylko zaszepotało:

Michaś, błogosła...

Oj, bogacz ty – bogacz – Miszuk-Niewidimka. Dobrzy ludzie ci podarowali skarb.

#### 4

I o czym ty tu, staruszk, w długie noce myślał? Coś zrozumiał, po czymś tak płakał? Czy płakało w tobie tylko stare, ojcowskie serce? Czy łamała się duma rodowa? Czyś ty tylko mnie tak oplakiwał, czy z przeszłością całą się żegnał? I cóżeś ty chciał mi powiedzieć, gdybym przyszedł? I kogóżeś ty wołał, kogoś czekał? Michasia Kaniowskiego, swojego Michasia, któregoś na kolana brał, gdyś mu w długie wieczory opowiadał, jak się ojcowie i praojcowie twoi rąbali z Niemcami, Szwedami, Turkami. A gdzieżbyś ty tego Michasia po świecie szukał? To wszystko pogrzebane w jednym starym, wielkim grobie. A otwierać go nie trzeba. Słyszysz, staruszk: nie trzeba. Tak samo ci powiadam, jak i wtedy. Co umarło, nie wstanie, i **dobrze**, że nie wstanie, słyszysz, dobrze. Bo gdyby powstały trupy, odkryłbyś jeszcze na czołach, odartych z ciała, słowo: **hańba**. I ten Michaś, co po zdrajcach, ciemiężcach płakał, co tęsknił do nich, umarł, umarł razem z nimi. Jego Miszuk sobie z sercem wydarł i tam cisnął do wspólnej mogiły. A cóż byśmy mogli sobie powiedzieć ty i **ja** – ja, Miszuk, człowiek, co tyle miał nazwisk, że nie wie, które jest jego. I żał mi ciebie, staruszk, i twojego Michasia żał. Teraz mógłbym już was pożałować, nad wami popłakać. Do niczego innego jużem<sup>48</sup> się nie zdał?

Staję przed twoim portretem i patrzę w twoje oczy. Patrzę w twoje oczy i myślę, odgadnąć usiłuję, z jaką tyś się duszą kładł do grobu? Komużeś ty błogosławieństwo swoje przekazywał? Kogo widzieć chciał: Michasia, co zbłądził, zbłąkał się, w wir wpadł, czy też mnie – Miszuka?

Mnie?

To widzisz, staruszk, teraz ja z tobą mówić mogę.

Michasia nie ma. Miszuka nie ma – obaj oni są już pogrzebani. Teraz staję przed tobą taki sam, jak ty, stary, jak ty, zmęczony, jak ty, opuszczony.

Teraz może my by się i porozumieli. Ale z tamtym, z Miszukiem, o czym byś ty gadał. I chociażby on rozumiał twój stary ból ojcowski, i chociażby samemu w piersi serce tak jak pies szczekało, ostrym zębem rwało piersi, nie ustąpiłby ci on ani jednego słowa, ani w ostatnią twoją godzinę na pociechę twoją wiary by swojej się nie wyrzekł. O czym by wy z sobą mówić mogli? My, ludzie starzy, ludzie, co wszystko swoje potracili, pogrzebali, my już nie znamy żadnych

---

<sup>48</sup> jużem się nie zdał – przykład ruchomej końcówki fleksyjnej czasownika; inaczej: już się nie zdałem, nie przydałem. [przypis edytorski]

walk, żadnych idei, o tym – niech już inni, niechaj żywi myślą. A nam wolno o smutkach swoich, opuszczeniach i sieroctwach porozmawiać.

Tylko jakaż to będzie rozmowa...

Gdybyś ty żył, staruszk, wziąłbym ja twoje ręce i położył na swoją łysą głowę, i zrozumiałbyś, że Michasia już nie ma i Miszuka już nie ma, a jest już niepotrzebna pamięć o tym, jak kiedyś żywi ludzie żyli, jak sobie zatrutymi, ostrymi słowami serca szarpali.

I nagadaliśmy sobie tych słów trujących.

Tylko ty nie myśl, że ja tobie oddam Miszuka i że ja się go dla ciebie wyrzeknę, dlatego tylko, żeś ty synka miał Michasia o jasnej główce i żeś ty po nim w długie bezsenne noce płakał.

Ty biedny i ja biedny, a Miszuka ja tobie nie oddam.

I to bym tylko wiedzieć chciał, czy do Miszuka ty, czy do Michasia wyciągał ręce.

Ale myślę, skądżeby do Miszuka, co ty wiedzieć mógł o nim, wnuk kasztelański?

A ty myślisz może, że ja tu przyszedłem tobie słuszość przyznać, że ja do ciebie wracam, zbłąkany Michałek, przepraszać za to wszystko, co Miszuk nabroił, że ja do starych wspomnień odbywać będę pokutniczą pielgrzymkę.

A jeżeli ty tak myślisz, staruszk, to ty Miszuka nie znasz: nie znasz ty serca jego i Miszukowej **nowej**, mocnej wiary. A Miszukowa wiara jest mocna, bo ona jest, jak czarna ziemia, tak szeroka, bo ona z niej wyrosła, a tyś myślał, że Miszuk ją wyczytał z nowomodnych, złych książek.

I patrzysz ty na mnie, i uśmiechasz się po swojemu, mądrze, pańsko.

Mówisz: I cóż? – Myśli twoje uśmiechają się: – I cóż? Dużo wywalczyli? Szubienicę, katorgę, wieczne więzienie.

Siebie zgubił, Olę zgubił, a przyjaciół twoich rozszarpały już kruki i wrony albo gniją oni za więziennym murem.

I nie będę ci mówił, że mi Miszuka nie żal. I Oli mi żal, i druhów – przyjaciół: orłów i sokołów.

Tylko to ci powiem, że gdyby ode mnie zależało wszystko wrócić, to ja, kaleka, ja, na wół trup, powiedziałbym jeszcze raz: tak trzeba. Tyle jeszcze we mnie z Miszuka pozostało.

Wziąłbym ja gazetę, zaczął ci, staruszk, czytać, co robią twoje hetmańskie, kasztelańskie wnuki – jak łaszą się, jak się korzą... A na Miszuka ty mi nic nie powiadaj.

Patrzysz na mnie ze ściany i pytasz mądrymi oczyma: dlaczego?

A ja siedzę przed tobą i myślę, że był czas, kiedy umiałbym na to pytanie odpowiedzieć – Miszuk odpowiedziałby ci: on wiedział, jak to i dlaczego wszystko to być musiało.

A czegoż ty więcej ode mnie chcesz.

Co mi pozostało? – pytasz.

Umierać, staruszk, umierać.

## 5

Śnieg poprzysypywał wszystko: wyjrzeć poprzez okno, wszędzie biała, równa płachta. I nic...

Puste uliczki ogrodu, drzewa zwieszają nad nimi gałęzie. Nikt nie idzie przez ogród, nikt nie przyjdzie już do mnie, tylko śmierć. Śnieg poprzysypywał mogiły – żaden głos nie odpowiada krukowi i wronom.

Stary Tychon zapalił na kominku ogień.

Z trzaskiem pali się drzewo. Przymykam oczy i śnią się, i śnią się sny bez końca.

A wszystko to było, było. A nie wróci nigdy z tego nic.

Zamykam oczy i nie myślę. I wiem, że kiedy je otworzę, ujrzę przed sobą to samo:

Tam na stoliku leży zwitek papierów. Ta ręka, która je pisała, dawno w jakimś nieznanym śpi grobie.

Wiem, że będę szczęśliwy, jak król, jak bóg, kiedy będę czytać, gdy przemówi ona do mnie z tych wyblakłym atramentem zapisanych kartek.

Ale wiem, że głos zamilknie i zostanę sam.

Tęsknota! Tęsknota.

Niedobrze jest mieć przyjaciół w mogiłach, jak niedobrze...

Tyle słów miłości było w sercu, a ja wam ich nie wypowiedziałem nigdy, kiedyście jeszcze byli żywi.

Teraz to wszystko się budzi.

Wyciągam do was ręce, serce samo szepce coś, uśmiecha się do was, płacze.

Ogień tylko trzeszczy na kominku.

A za oknem cicho... śnieg i śnieg.

Stare gałęzie pochylały się nad uliczką – a po uliczce nie przyjdzie tu już do mnie nikt.

\*

Teraz już wiem, Oleńko, co mi zostało: siądę tu sobie, będę wspominać... Chodzą po starej pamięci drogie cienie jak duchy w księżycową noc...

Złorzeczą wam i urągają, błotem obrzucają wasze mogiły, płatne pismaki znęcają się nad waszymi imionami. Stary Miszuk, ten by was bronił inaczej, a ten, co jest, nic nie może, tylko wspominać, wspominać.

Siądę tu sobie przed kominkiem i opowiem tobie, Oleńka, tobie, staruszkule, samemu sobie: co było, jak było, jak się orle serca łamały, zmagaly, jak je chłoneła noc... A twoich kartek, Oleńka, nie dam, nie oddam nikomu: z sobą je wezmę do trumny. Wiem, że umarłym jest wszystko jedno, ale umierającym potrzeba pocieszenia...

A ja taki sam jestem, taki opuszczony, taki sam...

Taki sam ze swoją pamięcią, niby z opuszczonym domem, po którym włóczą się pogrzebane, umęczone cienie...

## II. Sielskie-anielskie

### 1

Pamiętam jasny wiosenny dzień. Ziemia miękko ugięła się pod kopytami koni. Szły one tuż obok siebie, tak że co chwila ocieraliśmy się o siebie nogą o nogę. Po obu stronach wąskiej dróżki były zarośnięte krzakami i powyginanymi w dziwaczne kształty drzewami jary. Na ich dnie szemrały strumienie. Woda ściekała tysiącami srebrnych języczków i żyłek i napełniała powietrze jakby stłumionym swym metalicznym śpiewem. Od czasu do czasu wpadał w tę płynną muzykę przeraźliwy, ostry głos jakiegoś ptaka. Po błękitnym niebie płynęły białe obłoki. Było nam dobrze i nie chciało się mówić.

Wracając jednak do starych nawyknień, zacząłem:

– Tu dobrze byłoby urządzić zasadzkę.

Adaś spojrział na mnie jakby zdumiony. Potem zaś rzekł:

– Skąd znowu, z jaru byłoby się ciężko wydobywać.

Potem popędził konia. Od wczorajszego wieczora nie zdołaliśmy się jeszcze z nim rozmówić. Odstąpiłem mu lepszego wierzchowca i teraz ciężko mi było go dopędzić.

Z wolna i my, i konie podniecaliśmy się tą gonitwą i tak pędziliśmy po ścieżynce, chłostani przez bezlistne gałęzie. Wreszcie Adaś zatrzymał konia i skoczył na ziemię: tu wpadał do jaru z łoskotem strumień, unosząc w swym biegu olbrzymie, spróchniałe kłody drzewa.

Kiedym nadjechał, Adaś już siedział na pniaku.

Zeskoczyłem z konia.

– Ty wciąż o tym samym jeszcze myślisz? – rzekł.

Zdziwiłem się, gdyż w tej samej chwili poczułem, że spodziewałem się tego pytania. Jednocześnie poczułem także, że nie wrócimy już do dawnych rozmów.

Dramatyzująca wyobraźnia usiłowała już zaklasyfikować sytuację. Co to będzie właściwie: rozłam wewnętrzny pomiędzy dwoma przyjaciółmi, zwątpienie...

Było bowiem dla nas obu od roku wiadomą już rzeczą, że odegramy wielką rolę.

Mazzini<sup>49</sup> i Garibaldi<sup>50</sup>.

Nie mogliśmy tylko w marzeniach nawet zdecydować, komu z nas przypadnie rola wodza, a komu spiskowca.

Zresztą nie mówiliśmy z sobą o tym wyraźnie.

Był to pomiędzy nami pewien rodzaj uczuciowej gry. Bez żadnych umów nie mąciliśmy jeden drugiemu tonu.

Ale Adaś był zawsze bardziej skupiony w sobie i zamknięty. I nieraz już myślałem, jak na polu bitwy po wielkim zwycięstwie, ja, tryumfujący krwią wrogów i miłością ludu okryty wódz, chylę głowę przed nim, samotnym i nieznanym mistrzem. Przed człowiekiem, życie którego będzie: samotność i wieczna tajemnica...

Niedługo potem umrze on. Lub stanie się to nawet przed zwycięstwem. I wtedy ja poprowadzę tłumy na mogiłę, rzucę na nią swój wieniec dębowy i krwawy miecz: *ecce victor*<sup>51</sup>.

---

<sup>49</sup> *Mazzini, Giuseppe* (1805–1872) – włoski rewolucjonista, prawnik i dziennikarz, założyciel i przywódca tajnej demokratycznej organizacji Młode Włochy, razem z Garibaldim walczył o wyzwolenie spod panowania austriackiego i zjednoczenie Włoch. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *Garibaldi, Giuseppe* (1807–1882) – włoski rewolucjonista, żołnierz i polityk, przywódca walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch, bohater narodowy Włoch. Działalność polityczną rozpoczął od wstąpienia do tajnej organizacji Młode Włochy oraz udziału w w nieudanym powstaniu sabaudzkim pod wodzą Mazziniego (1834). [przypis edytorski]

<sup>51</sup> *ecce victor* (łac.) – oto zwycięzca. [przypis edytorski]

Ileż to razy już słyszałem naokoło siebie ryk armat, szcęk broni, świst kul i wołanie tłumu. Marzyły mi się jakieś olbrzymie, bajeczne równiny, na których ścierały się nieprawdopodobne tłumy zbrojnych...

Mój kasztan niósł mnie już nieraz wśród pól brzęczących pochylonymi kłosami, jak gdyby wśród rozstępujących się przed wyzwolicielem tłumów.

Wiedziałem dobrze, że Adaś żyje w podobnym świecie. Słowa nasze poznawały się bez trudu, jak bliźnięta w jednej i tej samej zrodzone godzinie.

Nie widziałem Adasia pół roku.

Miał on wtedy osiemnaście lat, starszy ode mnie o kilka miesięcy.

– Dawnośmy się nie widzieli – rzekł.

Wydało mi się to jakimś uroczystym wstępem.

Czas wykopuje przepaści prędeej, niż się je dostrzega... Usiłowałem odgadnąć, co nastąpi, i szukałem tonu.

W końcu zaś powiedział mi:

– Czyś dowiedział się czego?

Byliśmy przekonani zawsze, że muszą już naokoło nas być elementy spisku, gotowa i potężna organizacja. Nie mogliśmy sobie wytłumaczyć inaczej tej ciszy i spokoju. Tyle krwi przelanej, tyle upokorzeń: i nic. Milczenie i spokój. W tym musi coś być. Jest to groźny spokój przed burzą. I przyglądaliśmy się bacznie spotykanym ludziom. Ten coś ukrywa – myśleliśmy. I nieraz już wyznaczaliśmy znajomym naszym role, o jakich się im nie śniło.

Księdza Kuleszę podejrzewaliśmy wręcz o najgroźniejsze zamiary.

Adaś nawet twierdził, że ma on żołnierskie ruchy.

To będzie Mackiewicz<sup>52</sup> – zadecydowaliśmy.

Byłem przykro zdumiony, raz o późnym wieczorze zaskoczywszy w całkiem niedwuznacznej pozycji naszego Mackiewicza z piękną Oleną, żoną stangreta Mikołaja...

Czy może powstaniec uwodzić córki ludu...

Czas jakiś nawet układaliśmy krwawy dramat.

Co dzieje się w duszy Mikołaja. Jaki bunt, jaki głuchy gniew?

Raz jednak usłyszeliśmy, jak wołał po pijanemu:

– Jak cej ksiądz mnie nie da tutoczki zaraz karbowańca<sup>53</sup>, to ja jemu – ja drogę do dziekana znaju...

I w kilka chwil potem widzieliśmy, jak mający żołnierskie ruchy ksiądz bił białą ręką raz po razie w twarz wyższego od siebie o głowę Mikołaja.

Głowa Mikołaja chwiała się po każdym uderzeniu, a on sam chwycił się księżych ramion i usiłował księdza pocałować w łokieć.

Wypadek ten na jakiś czas zmienił nasz bieg myśli. Była w nim bowiem jeszcze jedna osoba interesująca, Olena.

Jak ona może? Gdy kocha księdza, jak może żyć z mężem?

– Kobiety wszystkie są takie – zadecydował Adaś. – Ja jestem przekonany – dodał – że w gruncie rzeczy one wszystkie myślą o rozpuście.

Tajemnice kobiecej duszy zajmować nas zaczęły w sposób całkiem groźny dla politycznych planów.

– Czy wiesz – rzekł Adaś – że są kobiety, które można kupić?

---

<sup>52</sup> Mackiewicz, Antoni (1826 lub 1828–1863) – ksiądz, jeden z inicjatorów i przywódców powstania styczniowego na Litwie. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> karbowaniec – tu: dawna potoczna ukraińska nazwa rubla. [przypis edytorski]

Czytałem o tym u Szekspira. Scena, w której porwana dziewczyna dowiaduje się, że wystawiona jest na sprzedaż<sup>54</sup>, robiła na mnie zawsze dziwne wrażenie.

– One to czynią wbrew własnej woli...

– Aha, wierz im tam – rzekł Adaś. – ja jestem przekonany, że Bourienka się dziwi, dlaczego ty jej nie zaczepiasz.

Bourienka była guwernantką<sup>55</sup> mojej kuzynki Oli.

Zaczerwieniłem się... Bąknąłem coś, że my nie powinniśmy myśleć o kobietach. Życie nasze musi przejść bez miłości i szczęścia.

– Tak – rzekł Adaś – ale nie można tłumić w sobie namiętności. Namiętność to siła. Zresztą nieraz w obozie powstańców obowiązki adiutantów pełnią młode, zakochane w dowódcy panny.

W rozmowach naszych temat ten zaczął powracać coraz częściej...

Raz w nocy Adaś zapytał:

– Słuchaj, co byś uczynił, gdybyś wziął do niewoli córkę wroga, jakiegoś wielkiego zbrodniarza?

Zapieкло mnie to; takie myśli przychodziły już mi nieraz.

Tych wakacyj odprowadzałem Adasia do Krasnego.

Zmienialiśmy tam konie i popasali.

Potem Adaś miał jechać dalej, ja zaś, popasłszy konie, wracać do domu.

Podczas obiadu wypiliśmy butelkę starego miodu, włożoną nam do koszałki<sup>56</sup> przez Tychona.

Adaś po obiedzie kazał podać kawę i koniak. Wniosła nam to wszystko na tacy młoda dziewczyna o smągłej twarzy i czarnych oczach. Oczy jej nie patrzyły na nas, ale kąciki ust lekko drżały jakby w powstrzymywanym uśmiechu. Ubrana była w biały kaftanik. Gdy stawiała tacę na stół, ręka jej i pierś otarły się niemal o twarz Adasia. Na twarz jego wystąpiły płomienie.

Gdy dziewczyna wyszła, Adaś zwrócił się do mnie:

– Ty wiesz – rzekł – jestem pewien, że ona jest **taka**.

Po obiedzie Adaś odjechał. Mieliśmy jeszcze zostać z godzinę.

Leżałem na brudnej kanapce w zajezdnym pokoju: pałacy niepokój ogarnął mnie. Było duszno. Zasnąłem męczącym snem. Obudził mnie jakiś szmer. Otworzyłem oczy: to dziewczyna sprzątała ze stołu...

– Jak się nazywasz? – spytałem.

– Bejła – odpowiedziała i zaczerwieniła się.

Wstałem z kanapy i drżąc na myśl o własnym zuchwalstwie, położyłem swą rękę na jej plecach.

Dziewczyna stała bez ruchu. Plecy jej lekko drżały pod moją dłońią. Po chwili odwróciła się i oczy jej spojrzały na mnie jakby z drwiącą zachętą i wyzwaniem.

Nie wiedząc, co czynię, objąłem ją i zacząłem całować. Nie opierała się, nagle wyśliznęła się z moich rąk. We drzwiach stał Spirydion, furman.

– Nie możemy jechać, paniczku, trzeba zanocować: Siwka zakulała...

Jakaś dzika radość i strach ścisnęły mi serce.

Czułem, że to zrobię.

Kupię sobie tę dziewczynę i będę ją miał.

W tej właśnie formie skryzalizowała się we mnie ta myśl. Czułem rozkosz w samym przeświadczeniu, że można kupić, mieć jak rzecz to młode, tajemnicze, kobiece ciało. Do mnie będą należały jej usta, jej piersi, cała drżąca, giętka postać.

Jednocześnie czułem podłość tego wszystkiego...

---

<sup>54</sup> u Szekspira (...) porwana dziewczyna dowiaduje się, że wystawiona jest na sprzedaż – Szekspir, *Perykles*, akt IV, scena 2. [przypis edytorski]

<sup>55</sup> guwernantka – prywatna, domowa nauczycielka i wychowawczyni. [przypis edytorski]

<sup>56</sup> koszałka (daw.) – wiklinowy koszyk z przykrywką, służący zwykle do noszenia jedzenia. [przypis edytorski]

Wybiegłem z pokoju.

Miasteczko było małe i błotniste.

Na rynku przechadzało się kilku Żydów. Jeden z nich, spostrzegłszy nieznanego, przystąpił z chytrą miną.

– Panu dobrodziejowi czego nie potrzeba...

Zaprzeczyłem.

– Może tytoniu?

– Nie.

Zniżył głos:

– Może ładnej dziewczyny? Mam bardzo porządne dziewczęta...

– Nic mi nie potrzeba...

– Jak to może być: nic nie potrzeba? Taki młody pan? Jak to może być? Ona jest całkiem porządna dziewczyna.

Z wielkim trudem oswobodziłem się od niego.

Wybiegłem z miasta i wydostałem się na jakieś wzgórze, i usiadłem.

Cóż to jest? – myślałem. – Więc to tak jawnie i systematycznie? Kobiece ciało jest rzecz, którą się nabywa, sprzedaje? Przed chwilą mogłem sobie kupić dziewczynę, której nie widziałem na oczy. I była obowiązana mnie całować, pieścić.

Cóż się dzieje z duszami tych kobiet? Czy one mają duszę? Czy one czują, że są tylko rzeczą? A może one istotnie to lubią. Bejła przecież zaczepiała mnie sama? Cóż to jest kobieta?

Przechodziła przede mną galeria znanych mi postaci, pań z sąsiedztwa.

Czy i one są takie?

Są inne, czy dlatego tylko, że nie ułożyło się im tak życie.

Czy taka pani Henrieta może kochać swojego męża? A przecież ma dzieci. Więc on ze swoim brzuchem, ze swoim czerwonym nosem... Widziałem obraz tak potworny i wstrętny, że dławilem się z obrzydzenia. A jednocześnie było coś słodkiego w tym wpatrywaniu się wewnętrznym w bezgraniczne upokorzenie pięknej pani. Pani Henrieta była naszą pięknnością prowincjonalną. Na wieczorkach tańczących i przyjęciach modliłem się nieraz do jej cudownego wdzięku. Drżałem ze strachu, że zauważy ten mój dziecinny podziw. Teraz upajałem się zatrutą myślą. Twój mąż, pijanica i karciarz, może zrobić każdej chwili z tobą to, co ja zrobię dziś z Bejłą. Zrobię. Było to już we mnie postanowione. Kiedy tak jest, jak jest, trzeba wyciągnąć swoje wnioski. Czułem głęboką, mściwą wzgardę dla kobiety. I jednocześnie myślałem, czy Adaś przeżywa też sam z sobą takie duszne, piekące chwile. Co dzieje się w duszy człowieka? I co to wszystko jest?

Patrzyłem oszołomionymi oczami na brudne miasteczko. Gnieźdzą się w błocie setki ludzi. Biorą się gdzieś po brudnych kątach i piwnicach, płodzą dzieci. Więc to jest życie? A potem przychodzi chwila, gdy zamykają na wieki oczy i wtedy ciska się ich w ziemię na pożarcie robakom. I tak wszystko się kończy. I tak będzie ze mną. Zakopią mnie po prostu w ziemi, zamkną w drewnianej skrzynce. A nad moją głową będzie to samo, to samo bez końca.

Poczułem rozpacz, jakiej nie znałem nigdy przedtem. Silny, przesywający bunt przeciwko śmierci.

Słyszycie! Ja nie chcę, aby to było! Ja nie chcę, aby przyszła ta chwila, gdy będę już leżał – trup – w czarnej ziemi. Nie chcę! Nie chcę...

W kościele zaczęto dzwonić.

Roześmiałem się...

Nieśmiertelna dusza, zbawienie, sąd – cha, cha, cha.

Chciałbym pójść do kościoła krzyknąć: kłamstwo!

Kłamstwo to wszystko – obrazy, dzwony, sakramenty.

A jednocześnie obracał mi się w sercu tępy nóż.

I cóż z tego? I cóż z tego? Czy przez to nie umrzesz? Czy przez to przezwycięzysz śmierć?

Nienawidziłem życia w tej chwili.

Po co urodziłem się, aby teraz żyć i czekać na tę straszną rzecz, która się stać musi?

Po co ja jestem?

Nie było mnie, a teraz jestem i męczę się, i będę się tak męczył bez końca – jak robak wbity na szpilkę. I nie ma ratunku, nie ma nadziei.

Ona jest już i czeka na mnie, śmierć.

Będę leżał na cmentarzu w ziemi.

Nie ucieknę od tego obrzydzenia, zawsze przyjdzie to samo: skostnienie, martwota i rozkład.

I tak jest z każdym.

W tej chwili zapomniałem o Bejle, kobietach, zapomniałem, że mamy stoczyć walkę z wrogiem, knuć spiski...

Po co? Po co? Jestem przecież sam, nędzny, drżący wobec śmierci, która mnie schłonie, rzucony na pożarcie ziemi, kłębiącym się w niej czerwiom.

Taki sam jestem, taki sam.

Z poprzetrącanymi kośćmi, rozbity – dowlokłem się do mieszkania.

Było już późno. Podano mi kolację. Zażądałem wódki, wypilem dwa czy trzy kieliszki. Bejły nie było widać.

Pokój był duszny i brudny. Przez otwarte, na zanieczyszczony rynek wychodzące okna nie wpływało żadne świeże tchnienie. Jałowa nuda kładła się na piersi. Pod wpływem wódki w głowie migotały jakieś strzępy myśli.

Tutaj więc schodzi ludziom życie. To jedyne, po którym nie będzie nic. O czym myśli ten siwy Żyd, właściciel zajazdu. On tu przeżył dziesiątki lat, był młody tu i tu się zestarzał. Tu umrze. A ziemia przecież jest tak wielka. Są kraje nieznanne z innymi ludźmi i innymi widokami. I człowiek tak schodzi w grób, nic nie widząc. Co dzieje się pod czaszką ludzi, którzy tu przeżywają lata? Czy kochała kiedy ta brudna, stara Żydowica w peruce, wpatrzona z taką dziwną bezmyślnością w rozpościerającą się pod samymi oknami jej domu gnojówkę?

I inna myśl, jeszcze bardziej nieprawdopodobna.

Więc i w dniu, kiedy wleczono pomiędzy szeregi kozaków wziętego do niewoli Kościuszkę, więc i w tym dniu, gdy tam w jednym sercu krwawiła się cała ziemia – tu i w tysiącu innych punktów, w sercach tysiacych i milionowych mrowisk ludzkich – było to samo.

Człowiek! człowiek!

Ile pokoleń Murzynów zatłuczono, zaszczuto psami na plantacjach bawełny?

Co dzieje się teraz z człowiekiem?

Tysiące Eskimosów zamarza w swoich śniegowych budach, psy plantatorów tropią za Murzynami, sto tysięcy kobiet wystawione jest na sprzedaż i przechodzi z jednych rąk do drugich. Brudna pleśń myśląca? Jakiż sens ma to wszystko? I czy ma jaki sens?

I najniespodziewaniej roztwierały się przede mną obrazy i przypuszczenia najdziwniejsze.

Mógłbym pojechać do Konstantynopola, przyjąć islam, mieć harem, kupować sobie Czerkieski, Greczynki, Turczynki. Wszystkie wpatrywałyby się we mnie przerażonymi oczami.

Mógłbym być teraz Murzynem, szczutym przez psy.

Mógłbym być pańszczyźnianym chłopem i słuchać pod oknem w wiśniowym sadzie, jak dziedzic gwałci moją żonę...

Kobieta, nagie kobiece ciało, coraz częściej przewijać się zaczęło w mych myślach.

Nie zapalając światła, położyłem się.

Muchy brzęczały nade mną.

Dotknięcie ich przejmowało mnie wstrętem. Jeszcze żyję przecież. Jeszcze jestem człowiekiem, nie kupą gnoju.

I przecież to wszystko, to wszystko, co przesuwają mi się przez głowę niby zbrodnicza bajka, to nie fantazja, nie wymysł – to prawda.

Prawdą jest to skąpane w krwi, dyszące gwałtem, zwierzące istnienie ludzi, niewiedzących nic o sobie.

Chrystus odkupił człowieka!

Ha, ha!

Drzwi skrzypnęły.

– Pan dobrodziej już śpi – zagadnął ochrypnięty głos właściciela zajazdu.

Poruszyłem się...

Żyd zapalił zapałkę i zasłaniając ją dłonią, podszedł bliżej.

Nachylił się nade mną.

– Czy pan dobrodziej nie każe, aby tu przyszła Bejła? O nią już się inni goście dopominali. Ale ja wiem, jaśnie dziedzica z Topolówki syn; taki gość, taki gość! Mój ojciec z jaśnie panem Celestynem jeździł, kiedy on za Napolionem<sup>57</sup> szedł. Handlował, konie dostawiał... Taki pan. Taki pan! – Żyd cmoknął. – I tak zginął... Co to było, jak się o tym jaśnie pani hrabina, jego mamcia, dowiedziała... Ajej! A jaki pogrzeb był! Tego sukna czarnego ile było w kościele... Ajej! Taki pan! A jaki siarczysty był – nu, nu! To ja każę Bejle, żeby przyszła – zakończył najniespodziewaniej.

Milczałem...

W duszy rozrastała się pajęczka pewność.

Przeszła długa chwila.

Drzwi zaskrzypiały znów.

Nie zapalałem światła.

Serce biło drapieźnie i cicho...

Zbliżały się lekkie, ciche kroki. Szła niby obłok gorącej mgły.

Wyciągnąłem rękę: spotkała włosy, opadła na nagie ramiona.

Ciało dziewczyny, gorące, nie do uwierzenia prawdziwe, spadło na mnie. Jej pierś musnęła moje ciało. Miałem ją w rękach swych twór rzeczywisty i dziwny: kobietę.

Okrutna bajka stała się ciałem i krwią.

Zajrzałem w oczy dziewczyny: było w nich jakby zdziwienie.

Ręce moje błądziły po jej ciele, usta bełkotały:

– Bejła, Bejła...

Nie wiedziałem, co czynię.

Inny człowiek, którego nie znał, rzucał się na to młode ciało, wpijał się w nie, chwycił gorącymi wargami jej ramiona, gryzł je z jakimś skowytym. To znowu podnosił się i dźwigał w ramionach dziewczynę, patrzył w nią osłupiałym wzrokiem.

To jest ona – tajemnica myśli najskrytszych: naga kobieta – rzecz.

I zaciskały się znów kurczowo ramiona.

Na dnie duszy coś okrutnego wołało wciąż o nową rozkosz, o nowy dowód władzy nad tym dyszącym ciałem.

Z piersi dziewczyny wydobywał się cichy jęk.

Podnosiła się i siadała.

Oszalałymi ją ta namiętność i szal.

Ile razy musiała ona już leżeć w objęciach coraz to innych ludzi.

Zerwała się i cała naga otoczyła mi szyję ramionami. Zagadką czarnych oczu patrzyła we mnie.

Przez zaciśnięte zęby wyrzywały się niezrozumiałe słowa.

– Ty!

Pociągnęła mnie na swoje piersi.

– Mój miły, mój miły! Ja tobie taka wdzięczna, taka wdzięczna.

I jak spazm płaczu posypały się słowa.

---

<sup>57</sup> *Napolion* – Napoleon (Bonaparte). [przypis edytorski]

– Tyś mnie nie bił, ty mnie nie parzył papierosem po gołym ciele i nie śmiał się, kiedym płakała. Ja się tobie podobałam, jakbym naprawdę była twoja. Tyś na mnie nie krzychał jak na zwierzę.

W oczach jej błyszczały łzy.

Zacząłem jej coś opowiadać. Mówiłem, że ludzie są nieszczęśliwi. Że ja umrę i ona umrze. Że nie wiadomo po co wyłoniła się z brudnej miazgi świata myśl. Mówiłem, że miliony kobiet znajduje się w takim położeniu.

– Mnie namawiają, żebym jechała do Rygi – mówiła mi – ale boję się. Różia jeździła do Odessy. I jak wróciła!... Śliczna dziewczyna była. A teraz co. Szkielet – taka chuda, i kaszle. A co opowiada. Pięciu, sześciu gości co noc. A w dzień, jak się trafi. A najgorsi to są marynarze. A ja się dowiedziałam, że Ryga także port. Ale pewnie trzeba będzie jechać. Tu też źle. I nic nie można zebrać. Ach, żeby pojechać do dużego miasta. I mieć tylko jednego kochanka. Ale musiałby być pan, chodzić w cienkiej, pachnącej koszuli.

I tak siedzieliśmy przy sobie otuleni kołdrą, na wpół nadzy. Przez otwarte okno dolatywały dźwięki harmoniki. Ktoś pijany śpiewał ochryplym głosem. Nagle rozległ się krzyk.

Bejła drgnęła...

– To krzyczy Lia – rzekła. – Ją dzisiaj Jankiel do stanowego<sup>58</sup> prowadził. On, jak jest pijany, zawsze harapnikiem<sup>59</sup> bije. – Plecy jej drżały wstrząsane nerwowym dreszczem. – On i jeszcze jeden akcyzny<sup>60</sup>. Zamkną okiennice, spuszcza rolety. Każą się rozbierać i gołej tańczyć. Jeden gra na harmonii, a drugi tańczy, a nie, to albo papierosem skórę osmali, albo harapnikiem. I żeby zapłacić choć! Ale! – Wydeła pogardliwie usta. – Co on da, co on może dać? A akcyzny jest żonaty. I raz żona go złapała tak u stanowego z Rózią; ona wtedy jeszcze do Odessy nie jeździła. Wpada i łup go w pysk, a potem Rózię. Pazurami jej całą twarz rozdrapała, a później, tak jak była, golusienką z domu wypędziła na ulicę. Gorącą wodą oparzyć ją chciała... Myślę, że pojedę do Rygi. Tam, mówią, dom taki, gdzie same generały chodzą. I nie biją. Gospodyni nie da palcem tknąć.

– I po co to? – pytałem.

– Co po co?

– Życ po co. No, i cóż z tego będzie, tak czy owak, tu czy tam, zestarzejesz się, zniszczy cię to życie. I co?...

Nie mogła zrozumieć.

– Czasami dorobi się która, a czasami oficer się zakocha, do domu weźmie. A zresztą co? Jak ja teraz mogę inaczej. I tak przynajmniej nie gotuję, nie piorę, nie biegam z koszami po mieście. Gdybym ja jeszcze suknię miała. Do Rygi trzeba suknię: ot, taką z dekolte – pokazała – jedwabna suknia i rękawiczki, i buciki.

Zarzuciła mi ręce na szyję i siadła mi na kolanach.

– Ja ciebie pieścić, całować będę i wszystko, co chcesz, możesz ze mną robić, wszystko, co chcesz. Ale daj mi pieniędzy, daj mi dużo pieniędzy. Dziesięć rubli dasz? Co dasz?

Sięgnąłem do szuflady.

Pieniądzy nigdy mi nie skąpiono. Zgarnąłem, co miałem. Było tego pewnie ze trzydzieści rubli.

Bejła nie liczyła; poczuła w rękę, że jest dużo: więcej niż dziesięć rubli.

Z gardła jej wydarł się dziki, ptasi krzyk.

Zerwała się z moich kolan i naga tańczyć zaczęła przede mną jakiś dziwny, namiętny, szalony taniec.

Kręciło mi się w głowie.

---

<sup>58</sup> *stanowy*, właśc. *prystaw stanowy* (z ros.) – okręgowy urzędnik policji w Rosji carskiej, sprawował władzę nad stanem, okręgiem policyjno-administracyjnym złożonym z kilku gmin; 2–3 stany tworzyły powiat (ujezd). [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *harapnik* – harap, bicz z krótką rękojeścią i długim plecionym rzemieniem. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *akcyzny* (z ros.) – w carskiej Rosji urzędnik skarbowy zajmujący się dochodami z akcyzy. [przypis edytorski]

Kiedym się obudził, Bejła spała. Leżała na wznak z rękami złożonymi pod głową. Wydawała mi się odrażająca, bezwstydna. Nie mogłem zrozumieć, jak mogłem znieść obok siebie to rozpasane, zbrukane ciało. Wstałem i zacząłem się ubierać. Bejła otworzyła oczy i popatrzyła na mnie, nie poznając. Nagle przypomniała sobie. Schwyciła ze stolika pieniądze i zaczęła naciągać koszulę...

– Ty powiedz – mówiła – żeś mi dał trzy ruble. Inaczej odbiorą mi. – I wybiegła z pokoju.

Z ciężką i mętłą głową wracałem do domu, z poczuciem, że się dopuścił jakiejś zdrady.

Przez kilka dni nie miałem odwagi poruszać myśli, którymi zwykle żyłem. Nie czytałem ulubionych książek. Myśli snuły się, bezwładne i nudne. Nad wszystkim innym dominowało poczucie upływu czasu. Przechodziły chwile bezlitosne, a przecież każda z nich unosiła cząstkę mojego życia. Mijały, puste i na wieki stracone.

W bibliotece mojego ojca wpadły mi w rękę *Myśli* Pascala<sup>61</sup>; zaczytywałem się nimi teraz. Te potężne, jak skaliste szczyty, aforyzmy wyrażały to, co się działo we mnie. Nie mogłem się zdobyć tylko na rozpacz wiary. Na próżno przypominałem sobie to, co Pascal mówił o duchowym automacie. W ciągu nocy klękałem i klęczałem godzinami całymi na zimnej podłodze. Powtarzałem słowa pacierza i tworzyłem własne rozpaczliwe, namiętne modlitwy. Ale na dnie duszy wiedziałem, że nie będzie z tego nic, co więcej, czułem, że gardziłbym sobą, gdybym uwierzył. Czułem, że byłby to upadek. Ale ludzie żyją przecież – myślałem. Starłem się przekonać sam siebie, że nedorzeczną i upokarzającą jest ta moja straszliwa, przesywająca na wskroś, jak oszczep, obawa śmierci. Tyle razy marzyłem przecież, że umrę na polu bitwy. Było to na próżno. Wtedy nie pojmowałem śmierci. Teraz stała ona przede mną i patrzyła oko w oko. Jednocześnie zaś rozwinęła się we mnie cicha, przeraźliwa pogarda życia. Myśl, że co noc ciała ludzkie dyszą w namiętym szale – napełniała mnie odrazą. Miłość, życie wydawały mi się nudną i cikliwą komedią. Z wolna wracałem do swoich dawnych marzeń. Czyniłem to teraz jednak bez wiary już i ze złym sumieniem.

I dlatego z pewną trwogą myślałem o spotkaniu z Adasiem, i dlatego bałem się, aby spotkanie to nie odebrało mi samej możliwości marzenia. Wmawiałem sam w siebie, że goręcej niż kiedykolwiek myślę o życiu walki i zmagania się z najeźdźcą.

Na dnie jednak leżała ławica obojętności.

Polska, niepodległość – i cóż? Czy zmienisz się ty? Czy zmieni się ksiądz Kulesza, stryj Florian, drżący przed swoją kucharką i bity przez nią? Czy życie ludzkie przestanie być tym, czym jest: potworną, cuchnącą nedorzecznnością?... Czy nie tak samo rozplynie się bez śladu, zginę na zawsze pod ciężarem mogilnej ziemi? Czy zmieni się cokolwiek bądź z tych rzeczy?

Nie. Wszystko pozostanie tak samo bezlitośnie bezcelowe.

Ale gdyby mi odebrano i te marzenia, pozostałaby już tylko nieznośna, naga pustka.

Jednocześnie zaczęło mnie drażnić wszystko, co jeszcze przed kilkoma miesiącami przyjmowałem z dobrą wiarą.

Nad łóżkiem moim wisiał stary ryngraf<sup>62</sup> z Matką Boską Częstochowską. W dawniejszych moich robinsonadach wojowniczych odgrywał on zawsze wielką rolę. Teraz patrzyłem nań z gniewem. Po co trzymam tu tę blachę?... Puste wydawały mi się wszystkie patriotyczne westchnienia ciotki Emilii. Te wszystkie odsieczki wiedeńskie, Grunwaldy, Jadwigi i święte Kingi.

Pamiętam, z jakim zdziwieniem spojrziała na mnie Ola, kiedym raz w braku innego audytorium wypowiedział jej, co myślę o książkach, któreśmy niedawno jeszcze czytali razem.

– Nie ma co się rozrzewniać nad tymi niedołączkami i mazgajami, przez nich jesteśmy na dnie. Kto kazał królowi Janowi chodzić pod Wiedeń? Papież? Co jemu do papieża? Kościuszkowi powinien być rozdać ziemię chłopom, szlachtę wywieszać, byłby wypędził Moskali. I po co nam każą myśleć o tym wszystkim? Po co nam nie dają żyć?

---

<sup>61</sup> Pascal, Blaise (1623–1662) – fr. matematyk, fizyk i filozof religii; po 1654 porzucił nauki ścisłe na rzecz filozofii i teologii; powstały wówczas jego najslawniejsze dzieła: *Myśli* i *Prowincjałki*. [przypis edytorski]

<sup>62</sup> ryngraf – medalion z godłem państwowym bądź wizerunkiem Maryi, zwykle w kształcie tarczy lub półksiężyca. [przypis edytorski]

Dziewczynka uciekła i odtąd, ile razy matka jej przy mnie zaczynała jakieś ze swych ulubionych opowiadań, patrzyła na mnie jakby z prośbą czy strachem.

W parę dni, spotkawszy mnie, powiedziała:

– Mama nie ma nikogo, tatuś zginął za ojczyznę, więc nie trzeba jej martwić. Mama już stara i nie ma nic prócz pamiątek. Jak ja dorosnę, wszystko oddam chłopom.

Wtedy ja jednak nie miałem czasu zwracać uwagi na Olę.

Myśli moje wszystkie pochłonięte były przez jedno: Bóg i śmierć.

Miewałem chwile, kiedy wszystkie zwątpienia moje wydawały mi się tylko moją winą, kiedy lękałem się, że spotka mnie za nie kara.

Nie umiałem już wierzyć, ale nie umiałem też sobie wyobrazić świata bez Boga i zbawienia. Pozostawała pustka, ból i strach.

Toteż drgnąłem, kiedy Adaś w lesie zapytał mnie krótko:

– Czy ty jeszcze wierzysz w Boga?

Nie podniosłem oczu i odpowiedziałem sucho:

– Nie.

Adaś wstał i przeszedł się nerwowo po polanie, w końcu rzekł:

– Jakich ja ludzi poznałem, jakich ludzi. Wiesz, Karakozow<sup>63</sup> wcale nie za wyzwolenie włościan strzelał do cesarza. On był socjalista.

Pierwszy raz wtedy w rozmowie, nie w książce, spotkałem ten święty wyraz.

A Adaś mówił. Mówił, że ludzie schodzą całymi pokoleniami w mogiłę, tam oczekując poza grobem sprawiedliwości i nagrody. Czują więc, że tutejsze życie jest niedorzecznością. Inaczej nie wierzyliby, że istnieje, że potrzebne jest inne.

– Czy rozumiesz, od czasu, jak człowiek istnieje, ludzie giną z tym przekonaniem, że to, co pozostawiają za sobą, to nie było życie, czują, że nie żyli, że zostali oszukani o życie całe. I cała historia to jest takie schodzenie w grób zamęczonych, oszukanych milionów. I człowiek śmie się nazywać rozumną istotą.

Teraz zaczęliśmy mówić na przemian, wyrwaliśmy jeden drugiemu zdania, myśli, zwroty.

Trzeba walczyć o to, żeby człowiek już tu żył, aby nie przeciekało mu szczęście i życie pomiędzy palcami, aby je miał.

– Czy ty rozumiesz – wołał Adaś – dlaczego musiały upadać nasze powstania? Chłop był nawozem wdeptanym w ziemię. Czy mu nie wszystko jedno było, co z niego wyrośnie? I czy nam nie wszystko jedno? Ojczyzna to taki przypadek, jak i wszystko inne. Człowiek wyrodził się ze zwierzęcia. Popowstawały różne jego odmiany. Cóż z tym wspólnego ma rozum? Czy czytałeś Darwina? To wszystko kłamstwo, co oni tu śpiewają, że jego nikt nie uznaje. Cały świat już przyjął jego naukę. To my tylko w Polsce chcemy ocalić się wężaniem kadzidła. A w Europie powstało olbrzymie stowarzyszenie międzynarodowe dążące do tego, aby świat należał do pracujących.

I jedna za drugą wybiegały z ust jego idee, jedna od drugiej śmielsza.

Człowiek – dziecień przypadku, krwi i nocy – sam sięgał po władzę nad sobą.

– Czy chcesz, czy chcesz walczyć razem z nimi o prawo człowieka, o ludzkość?

Nie trzeba było pytać.

Wracaliśmy do domu szczęśliwi i dumni.

Na jakimś zakręcie drogi spostrzegłem kobietę dźwigającą brzemień drzewa.

Pokazałem ją Adasiowi oczyma.

Uśmiechnął się do mnie i pojechaliśmy w cwał.

Kobieta nie przypuszczała, że mijają ją w tej chwili dwóch mesjaszów. Naręcz drzewa nie stała się przez to lżejsza.

---

<sup>63</sup> Karakozow, Dmitrij Władimirowicz (1840–1866) – rosyjski rewolucjonista, w 1866 jako pierwszy podjął próbę zamachu na Aleksandra II. [przypis edytorski]

Kiedym zsiadł z konia, schwyciło mnie nagle wspomnienie Bejły i jego ohyda. Wydałem się sam sobie na wieki stracony.

Ale ja nie wiedziałem wtedy – tłumaczyłem się sam przed sobą.

Pomimo to schwyciłem Adasia za rękę:

– Słuchaj – rzekłem – ty wiesz, ja raz, niedawno, skrzywdziłem ciężko kobietę.

Adaś spojrział mi w oczy i uśmiechnął się smutnie.

– I ty – rzekł – już. – A potem nagle dodał: – myśleć o swoich grzechach mogą tylko próżniacy.

Człowiek powinien iść w przyszłość.

Gdy wymawiał jedno z takich zdań, oczyma prosił o pobłażanie dla jego górności. Był to jego wdzięk.

## 2

Adaś Bielecki był naszym dalekim kuzynem.

Jego ojciec, straciwszy dość znaczny majątek, osiadł w małym miasteczku podolskim i żył z zapomóg, udzielanych mu przez rodzinę. W domu Adasia wszystko żyło wspomnieniami lepszych czasów, plotkami i dewocją. Atmosfera była trudna do zniesienia. Nikt tu nie podnosił głosu. Przeciwnie, wszyscy mówili słodkim, przyciszonym tonem, spotrzebowując niesłychaną ilość wyrazów zdrobniałych. „Stryjeńciunia”, „proboszczyczek”, „tatusieczek”, „mamuleczka” – nie schodziły tu z ust. Nie przeszkadzało to bynajmniej temu, że życie ojca Adasia, jego matki i dwóch sióstr schodziło na systematycznym zagryzaniu się.

Nie umiem sobie wytłumaczyć powstania w takim środowisku Adasia. Poznałem go czternastoletnim chłopcem<sup>64</sup> i od razu zadziwił mnie on stanowczością sądów i zdecydowaniem woli. Organizm jego duchowy musiał albo zginąć w otoczeniu, jakim była rodzina Bieleckich, albo musiał sam z siebie wydobyc własną ochronę. Adaś znalazł ją w ironicznej wzgardzie względem wszystkiego, co go otaczało.

Nie umiem określić sobie charakteru jego uczuć w stosunku do rodziców i sióstr. Nie był to żaden żal, lecz chłodne i ostateczne zwątpienie, ciche i systematyczne przechodzenie do porządku dziennego.

W tym środowisku najbliższym nauczył się Adaś polegać wyłącznie na sobie, nie dowierzać żadnej powadze. Przy tym zewnętrzne niedowiarstwo to i ironia rozpościerały się i na niego samego. O sobie samym mówił on tym samym tonem gardzącego pobłażania i szyderstwa, jaki był mu właściwy w stosunku do innych. Trzeba było go dobrze poznać, aby spostrzec, że pozwala on sobie marzyć o rzeczach wielkich i szczytnych, że w głębi serca miał gorące pragnienie wiary i wielką, niewyczerpalną zdolność entuzjazmu.

Długie lata nie miałem żadnego rówieśnika. Może dlatego w stosunku do mnie dość szybko stopniała odporna powłoka, poza którą zamykał się Adaś ze swym wewnętrznym życiem. W długie wieczory i popołudnia wypowiedzieliśmy sobie wszystko, co zdołały wypracować nasze własne umysły i serca. Niedługiego czasu trzeba było, byśmy zrozumieli, że dla żadnego z nas nie pozostało tajemnicą, jakie pokłady zobojętnienia, niewiary, służalstwa, egoizmu ukrywają się poza obłudą patriotycznego frazesu.

– Szkaplerzyki<sup>65</sup> – rzekł Adaś z głuchą złością któregoś poobiedzia. – Duszę oni wyciągną tymi szkaplerzykami. Niech albo robią coś, giną, głowami o ściany walą, albo przestaną jęczeć o tej swojej nieszczęśliwej ojczyźnie.

---

<sup>64</sup> *Poznałem go czternastoletnim chłopcem* – poznałem go jako czternastoletniego chłopca. [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *szkaplerz* – dwa małe kawałki materiału z imieniem lub wizerunkiem Matki Boskiej lub Chrystusa, połączone tasiemkami, noszone na piersiach, pod ubraniem; sukienny szkaplerz bywa zastępowany medalikiem. [przypis edytorski]

Gdy doszła nas jakaś biografia Garibaldiego, wpadliśmy w prawdziwy szał. Odtąd nie mówiliśmy o niczym innym.

Ale od czasu do czasu Adaś zamyślał się:

– A co my z grzechotnikami porobimy – potem? Toć<sup>66</sup> te wszystkie poświęcane mumie wtedy dopiero powypęłzają i pęcznieć będą. Teraz kryją się jeszcze po kątach i zakątkach.

Nie mogliśmy zrozumieć spokoju naokoło nas i nieustannie przypuszczaliśmy, że dzień każdy może nam przynieść wiadomość o gotującym się wybuchu. Nasłuchiwaliliśmy, lecz nie słyszeliśmy nic prócz syku tchórzostwa, bezsilnego wzdychania albo przejrzystej blagi.

Mojego ojca Adaś szanował za jego milczenie i spokój.

– Twój stary ma charakter – mówił – on się tak zaciął, że do niego już nic nie dostąpi.

Natomiast o swojej rodzinie miał zawsze coś do opowiedzenia.

– Mój tatuńcio – rzekł – po ocaleniu cesarza od Karakozowa iluminację sobie na swój prywatny użytek zrobił i isprawnikowi gratulować chodził we fraku i białym krawacie. A o Berezowskim<sup>67</sup> mówił: „On musi być z Rusinów, bo żaden z Polaków królobójstwem się nigdy nie splamił”.

Tej wiosny miałem właśnie pojechać do rodziny Adasia, by tam razem z nim złożyć egzamin dojrzałości. Cieszyliśmy się, że spędzimy parę miesięcy razem. Później Adaś miał jechać do Kijowa, gdzie przy uniwersytecie było jakieś stypendium imienia Bieleckich. Ja marzyłem o Petersburgu lub zagranicy. Teraz szczególnie, gdy mieliśmy niewyczerpany zasób tematów i myśli w naszej nowej wierze, uśmiechał się nam ten wspólny paromiesięczny pobyt. Przy tym Adaś nie przestawał powtarzać: „Jakich ludzi poznasz, jakich ludzi”. Wreszcie na początku maja znaleźliśmy się w Niemirowie. Stary pan January Bielecki powitał nas już w bramie.

– Co za gość! Co za gość! – wołał, rozstawiając ręce. – Wykapany kuzyn Oktawiusz. Gość w domu – Bóg w domu. Chociaż zmienną koleją rzeczy Bieleccy teraz na szaraczki zesłi, ale zawsze, panie dobrodziej, stać mnie na to, aby takiego gościa przyjąć. Jakbym samego pana Oktawiusza przyjął. Ojczulek pana dobrodziejstwa statysta, o, ministerialna głowa, dyplomata, panie dobrodziej. Synek pewnie w ojczulka pójdzie. Niedaleko jabłko od jabłoni. Ja, panie dobrodziej, na chudopacholskim<sup>68</sup> zawsze koniku, więc i mój dryblas, panie dobrodziej, uczciwszy uszy, prochu nie wynalazł, ale uczciwość, nieskalane imię, panie dobrodziej, ojciec przekazał mu i bojaźń bożą, więc i w senatorskim domu wstydu nikomu nic przyniesie.

Stary pan plół tak bez końca, gestykulując i podreptując.

Nadeszła i reszta rodziny.

– A my właśnie, kuzynku, serce – wołała mama – z majowego nabożeństwa wracamy. Jak mówił ksiądz wikary, jak anioł Nincia się splotała, a Bincia w tej chwili jest jeszcze zachwycona.

– Słowo kapłańskie jest pokrzepieniem duszy – rzekł pan January.

– Nieszczęśliwemu narodowi nic prócz modlitwy nie pozostało. Zlatuje do naszego lochu jak gołębica i ziarnem swoim nas zasila. Ja co dzień padam na kolana i mówię: „Bóg wziął, Bóg da i niech imię jego będzie pochwalone”.

– A ksiądz Wincenty taki patriota – mówiła panna Nincia – dzisiaj nazwał na głos Matkę Boską – Królową Polską.

– U... u... – rzekł pan Bielecki – ryzykuje, ryzykuje. Ale Bóg czuwa nad wybrańcem swoim.

– Albo kiedy mówił – rzekła panna Bincia – „na lwa srogiego bez obawy siędziesz i na okrutnym smoku jeździć będziesz”<sup>69</sup>, to już tam na pewno coś innego myślał. Bo ilekroć coś patriotycznego pomyśli podczas kazania, to wzdycha...

---

<sup>66</sup> toć (daw.) – przecież. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> Berezowski, Antoni (1847–ok. 1916) – polski szlachcic, powstaniec styczniowy, w 1867 dokonał w Paryżu nieudanego zamachu na cara Aleksandra II. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> chudopacholek (daw.) – ubogi szlachcic. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> na lwa srogiego bez obawy siędziesz i na okrutnym smoku jeździć będziesz – fragm. biblijnego psalmu 91 w tłumaczeniu Jana Kochanowskiego. [przypis edytorski]

– Ależ nie! – rzekł Adaś. – Obciera nos.

– Młody człowieku – rzekł pan Bielecki – młody człowieku, zapewniam cię, iż pomimo że na stoliku twoim znalazłem książkę, która wyprowadza człowieka od małpy, jesteś moim synem, a ja nie ścierpię, aby Bielecki ubliżał wierze świętej. Bo co pozostało oprócz wiary? Reszta wszystko przemija, a Bóg jest wieczny, jak powiedział Tertulian<sup>70</sup>.

Siedziałem jak na rozpalonych węglach. Ale Adaś nie robił sobie nic z tego wszystkiego.

– Pójdziemy do mego pokoju – rzekł. – To – dodał w drodze – stary na twoje powitanie tak się wysadził, ale on ochłonął.

Jednak nie ochłonął.

Po chwili z kuchni doleciał nas przeraźliwy krzyk. Płakała jakaś baba, piskliwym głosem wykrzykiwała pani Bielecka, grzmiał sam ojciec rodziny.

– Zaczyna się – rzekł Adaś. – Nie niepokój się, to kucharka upomina się o pensję, ona to czyni raz na tydzień.

Przy kolacji zjawił się natchniony ksiądz Wincenty i jakiś urzędnik, nie wiem już, pocztowo-telegraficzny czy sądowy. Urzędnik pił, kieliszek za kieliszkiem, pomarańczówkę, a ksiądz Wincenty bawił damy.

Od czasu do czasu uważał za stosowne zwracać na mnie uwagę i zaszczycać mnie jakimś pytaniem. Dowiedziawszy się, że chcę jechać do Petersburga, rzekł:

– Naturalnie, dobrej krwi i szlachetnym tradycjom nie zagraża to żadnym niebezpieczeństwem, ale słyszałem, dużo słyszałem o szerzącej się wśród młodzieży tamtejszej niewierze. W Boga nie wierzą, Kościoła nie uznają, człowieka nazywają zwierzęciem i wolną miłość propagują.

– Księżę dobrodzieju... – rzekła pani Bielecka i pokazała oczyma na córki.

– A przepraszam – rzekł ksiądz – ale słowo kapłańskie jest jak zefir<sup>71</sup>, który kwiatów nie zwarzy, i owszem, czyste lilie zwracają ku niemu swe kielichy i wypuszczają dziwne aromaty.

– Oni – odezwał się urzędnik – psa zjedli.

– Kto? – zapytał się pan Bielecki.

– Nihilisci<sup>72</sup> – rzekł – niedowiarki. Że to przesąd niby. Mieszkają sobie wszyscy razem na kupie, i jeden miał psa. I mogę powiedzieć, wyżła zjedli.

– Gdy duch święty opuści człowieka, staje się on jako Nabuchodonozor<sup>73</sup> trawą żywiący się – rzekł ksiądz. – A zresztą skoro człowiek jest zwierzę i pies zwierzę, to dlaczego jedno zwierzę nie ma jeść drugiego zwierzęcia? Czy nieprawdaż? I nadzieić się niepodobna, jak mógł im duch zaprzeczenia tak pomieszać rozumy. Bo i cóż mówi ten ich Darwin? Człowiek i zwierzę jedno jest. Otóż jeżeli wziąć Chińczyka albo Murzyna, albo innego dzikiego człowieka i światłem wiary świętej go oświecić, stanie się jak każdy z nas. A czy zdołał kto uczynić to z prosięciem, szczenięciem albo innym zwierzęciem, które lubo<sup>74</sup> koło człowieka przebywa, w naturze zwierzęcej swojej pozostaje.

– Nie biją ich – rzekł urzędnik. – Cała rzecz w tym. Ja bym tam tak. Nie wierzysz, sto różeg, nie wierzysz, jeszcze sto, i zaraz by ci świecek w oczach stanęły.

– Pana dobrodzieja dużo bili – zwrócił się Adaś.

---

<sup>70</sup> Tertulian, właśc. *Quintus Septimius Florens Tertullianus* (ok. 155–ok. 240) – teolog chrześcijański z Afryki Płn., pierwszy z piszących po łacinie; przeszedł na chrześcijaństwo ok. 197; płodny apologeta; ok. 207 roku zerwał z Kościołem Rzymu i przeszedł do bardziej rygorystycznych moralnie i religijnie montanistów. [przypis edytorski]

<sup>71</sup> zefir – ciepły, łagodny wiatr. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> nihilizm – tu: nurt intelektualny i społeczny w drugiej połowie XIX wieku w Rosji, odrzucający społeczne normy, wartości i tradycje; stopniowo przeszedł do krytyki niesprawiedliwości społecznych i zbliżył się do anarchizmu; *nihilista* to osoba żyjąca według zasad nihilizmu. [przypis edytorski]

<sup>73</sup> Nabuchodonozor – imię królów babilońskich; wg biblijnej Księgi Daniela król tego imienia w ramach kary za bluźnierstwo zaczął jeść trawę jak wół. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> lubo (daw.) – chociaż. [przypis edytorski]

– Adam, wyrodne dziecko – zasyczał pan Bielecki – zakazuję ci. Ty nie myśl, żeś maturzystą. Ja, ojciec, ci mówię, że jeśli nie przeprosisz szanownego pana i gościa w tej chwili, to ja, ojciec, ciebie własnoręcznie, słyszysz, staropolskim zwyczajem. Ja człowiek starej daty i nie będę zważał na lata.

Adaś zerwał się błady.

– Niech ojciec nie próbuje – rzekł przez zęby.

– Co, co? – pienieł się stary. – Jakim tonem do ojca? Przy obcych ludziach. O czasy, czasy. Kiedy Karpiński<sup>75</sup> wracał ze szkół, ojciec, gdy wszedł do izby, chcąc się przekonać, czy syn bojaźń bożą, a szacunek dla rodziców zachował, w twarz go uderzył. I cóż uczynił szlachetny młodzieniec? Do ręki rodzicielskiej się nachylił i do ust ją podniósł. A dziś... Przeprosisz szanownego pana czy nie...

– Ale cóż tam znowu! – rzekł urzędnik. – Ja się nie gniewam. To, panie, młodość. Ale bo też prawa teraz. Ojciec powinien mieć prawo posłać na policję z kartką: tyle a tyle gorących a świeżych<sup>76</sup>. I wsypaliby, i po wszystkim. A co do tego, czy ja bity nie był, to powiem wprost. Dużom był bity. Ja w seminarium i bursiem<sup>77</sup> się chowałem. To mogę powiedzieć, więcej niż trzysta razy bity byłem, nie byle jak. Z solą i podniesieniem bili. A ojciec Atanas łoży<sup>78</sup> miał w spirytusie maczane, giętkie a mocne. Bili, i Panu Bogu dziękuję, że bili, do końca życia wspominać nie przestanę. Nacierpiał się człowiek, ale rozumu nabrał, charakteru. Nas w bursie nie bardzo po głowce gładzili. Mnie samego, za przeproszeniem, wszy mało nie zjadły... Bo zbytków nie było żadnych. To i człowiek nauczył się grosz i kawałek chleba szanować. A jakże, setnie mnie bili, za to znów ja nie komunista i wiary mojej świętej się nie wypieram, i rodziców szanuję. Ot, co.

Teraz zaczęła jęczeć pani Bielecka. Tyle nocy nie przespanych, tyle ofiar, tyle zgryzoty i czy jest jaka wdzięczność, jakie uszanowanie? Do ojca jak do równego. Z kułakami<sup>79</sup> na niego gotów by się rzucić. A matka? A matka? Czy jest wdzięczność dla matki, poszanowanie jakie! Matka, to także pewnie przesąd? Oj, mądrość, mądrość. Na to człowiek, sobie od ust odejmując, dziecko rodzone przez te szkoły pcha, aby on potem matkę własną z Darwinem porównał.

– Różgi znieśli – rzekł urzędnik – i bicie. Człowiek młody jest, jak ten szczeniak – bez bicia zrozumieć nic nie może.

Kolacja miała się ku końcowi.

Adaś wstał.

– Rodzice siedzą! – krzyknął pan Bielecki. – Tu nie komuna<sup>80</sup>, nie karczma, nie falanstera<sup>81</sup>, to jest dom. Uczcij dary boże.

– Egzamin pojutrze – rzekł Adaś – przygotowywać mi się trzeba. Chodź, Michał.

I nie zwracając uwagi na nic, wyszedł. Wymknął się za nim.

– Stary – rzekł – wczoraj w karty się zgrał, to i piekło robi. Chodźmy.

Wieczór był ciepły. Na głównej długiej uliczce niemirowskiej, obsadzonej drzewami, snuły się gromadki spacerujących.

Jakaś dama, gdyśmy mijali ją, pytała swego kawalera, dlaczego jedne kwiaty pachną, a inne nie pachną?

---

<sup>75</sup> Karpiński, Franciszek (1741–1825) – polski poeta epoki oświecenia, główny przedstawiciel nurtu sentymentalnego w polskiej liryce; autor m.in. pamiętnika pt. *Historia mego wieku i ludzi, z którymi żyłem* (1844). [przypis edytorski]

<sup>76</sup> gorących a świeżych – domyślnie: batów, razów. [przypis edytorski]

<sup>77</sup> w (...) bursiem się chowałem – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: w bursie się chowałem, tj. w internacie. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> łoża – długa gałązka, zwłaszcza wierzbowa, witka. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> kułak – pięść. [przypis edytorski]

<sup>80</sup> komuna (z łac. *communis*: wspólny) – grupa ludzi żyjących na zasadach wspólnoty majątkowej i razem pracujących; także: miejsce, w którym żyje taka wspólnota. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> falanstera – popr.: *falanster*, osiedle zamieszkiwane przez wspólnotę zwaną falangą, forma organizacji zaproponowana przez francuskiego socjalistę utopijnego Charles'a Fouriera (1772–1837) zamiast państwa; na falanster miały się składać obszary rolne, park, zabudowania gospodarcze i obszerny budynek, gdzie żyłoby i wspólnie pracowało półtora tysiąca osób obojga płci i wszystkich potrzebnych wspólnocie profesji. [przypis edytorski]

– Poznaję ojczyznę moją – rzekł Adaś i zadeklamował:

Wszystko tak, jak było,  
tylko się ku starości nieco pochyliło.<sup>82</sup>

Przeszliśmy w boczną uliczkę ciemną i błotnistą. Dzień był suchy, lecz błoto tu nie zasychało nigdy chyba. Tworzyło się ono zresztą nie tyle z deszczów, ile raczej z pomyj, wylewanych niemirowskim obyczajem z okien prosto na ulicę. Wreszcie podeszliśmy do jakiegoś oświetlonego domu. Adaś podszedł do jednego z okien i zastukał. Okno otworzyło się i wychyliła się jakaś rozczochrana głowa.

– A to ty, Indyk – przemówiła – wchodźcie.

W pokoiku pełno było dymu. Na stole stało kilka butelek piwa, leżały rozłożone książki i papiery.

– Przedstawiam – rzekł Adaś. – Michał Kaniowski, a to, znajomcie się zresztą sami.

– Michajłow<sup>83</sup> – rzekł młody, szesnastoletni może chłopiec o jasnej, dziwnie sympatycznej twarzy i wysokim czole.

– Kasjanow – zamruczał właściciel kudłatej głowy.

– Koruta – odezwał się trzeci, wstając z łóżka.

Był on dziwnie brzydki. Pośród bladej, skrofulicznej<sup>84</sup> twarzy sterczał wielki, kartoflowaty nos. Małe oczy były nieprawidłowo przecięte, tak że jedno umiejscowione było o wiele wyżej od drugiego.

– Wroński – przedstawił się ostatni z towarzystwa, wysoki brunet o zapadłej piersi, bezkrwistej twarzy i ciemnych, jak gdyby w stanie chronicznego zapalenia znajdujących się oczach.

– A gdzież Kot? – zapytał Adaś.

– Poszedł po wódkę – odpowiedział Wroński, patrząc w ziemię.

– Znowu? Ej, Wroński, Wroński, źle będzie.

– Sam wiem, że niedobrze, mówić szkoda – mruknął zagadnięty. – Ja bez wódki myśleć nie mogę. Życ długo nie będę. No, to przynajmniej umierać chcę przytomny, a nie z zamąconą głową. Jak nie piję, to głowa mi się kręci i myśli są nudne jak para z wrzącej bielizny w pralni.

– A ty, jak to cierpisz? – zwrócił się Indyk do Michajłowa. – Chwalił się człowiek: „Nie dam pić, nie dopuszczę do butelki”.

Michajłow wzruszył ramionami i niechętnie rzekł:

– Taki dzień już, dziś i ja pić będę.

– Zostaw – mruknął Adasiowi do ucha Kasjanow. – Później ci powiem, nie przeszkadzaj.

Pojawił się i Kot, to jest właściwie Kotecki, i z kieszeni wyciągnął butelkę okowity<sup>85</sup>.

– Jest – rzekł – w sam raz sześćdziesiąt cztery stopnie.

Wroński ruszył się spod pieca i jeden za drugim, systematycznie, bez pośpiechu wypił trzy kieliszki. Nalał sobie czwarty i przyglądając mu się, rzekł:

– Teraz całkiem inna muzyka u nas pójdzie.

O egzaminach nikt nie mówił. Nie wszyscy obecni zresztą stawać do nich mieli. Michajłow był dopiero w szóstej klasie, a Koruta postanowił nie próbować szczęścia. W małym pokoju szumiało jak w ulu.

– Wiazowski zwariował – rzekł Koruta, zwracając się do Adasia.

---

<sup>82</sup> *Wszystko tak, jak było, tylko się ku starości nieco pochyliło* – z wiersza Franciszka Karpińskiego *Powrót z Warszawy* (1784). [przypis edytorski]

<sup>83</sup> *Michajłow, Aleksandr Dmitriewicz* (1855–1884) – rosyjski rewolucjonista, czołowy przedstawiciel organizacji Ziemia i Wola, po rozłamie członek Komitetu Wykonawczego Narodnej Woli; w 1880 aresztowany, zmarł w Twierdzy Pietropawłowskiej. [przypis edytorski]

<sup>84</sup> *skrofuliczny* – chory na gruźlicę węzłów chłonnych szyi, daw. zwaną skrofułami. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *okowita* (daw.) – mocna wódka lub nieoczyszczony spirytus; z łac. *aqua vitae*: woda życia. [przypis edytorski]

– Było to do przewidzenia.

– Ja dziwię się, jak oni wszyscy nie powariują. Człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego, więc taki siaki i z nas nie dziwi się, że coś podobnego do naszych gimnazjów stać może na miejscu. Ale ty wejdź w nie z żywą duszą i popróbuj w nich żyć – monologował Wroński. – I w samej rzeczy. Pomyśl, jest nas pięćset, sześćset dusz, powiedzmy, ludzkiego materiału, mięsa dla pedagogów. I jest ich osób ze trzydzieści. I teraz przez całe życie mają oni z nas wystrugiwać, co? To, co się im podoba? Nie! Co przepisane. Oni mają nas uczyć nie tego, co chcą i co myślą, a my mamy się uczyć tego, aby nigdy o niczym zdrowego pojęcia nie mieć. No, i co z tego może być? Żółty dom jest i żółtym domem skończyć się wyłącznie może. Uczył człowiek ludzi przez dwadzieścia, trzydzieści lat o Jupiterze<sup>86</sup>, Junonie<sup>87</sup>, no i uwierzył, że jest on w samej rzeczy Jowisz Gromowładny. I cóż w tym dziwnego być może. Sznurują sobie mózg, jak Chinki nogę, a potem dziwią się, że na nim guzy powyskakują.

– Przesada – rzekł Koruta. – U nas tak źle nie jest. Sami porządni ludzie. Ot, pojechałbyś ty do Kamieńca.

– Przesada? – zaperzył się Wroński. – A ty, powiedz mi, aniołku mój, czy dla mnie nie wszystko jedno, jakich obyczajów jest ten tasemiec, co mnie zjada. Porządni ludzie. Duszę oni mi, ci porządni ludzie, wyciągnęli. I teraz ja umierać będę – daj pokój Michajłowi, nie przecz już, jak ty mi pić pozwolił, to ja już wiem, że śmierć idzie, umierającego człowieka ty martwić nie chcesz. Sam chcesz się kieliszkiem trącić. Przesada? A kto mi w głowę androny<sup>88</sup> kładł, że ja oto teraz i umierać będę, same śmiecie w duszy mając. Trójca Święta, dusza i tak dalej bez końca.

– I cóż robić mieli, program nie oni ustanawiają.

– Program nie oni ustanawiają, wiem, aniołku najdroższy, a ty na to człowiek się nazywasz, abyś nie pozwolił z siebie maszyny do zabijania ludzi robić. A niech oni powariują wszyscy, niech ich po klatkach trzymają jak dzikie zwierzęta.

– Daj pokój, daj pokój, rozdrażniasz się niepotrzebnie! – mitygował<sup>89</sup> go Kotecki.

– Niepotrzebnie – szydził Wroński. – Proszę, łaskawco, tobie dobrze. Ty sobie wiesz, że jeszcze w słońcu pochodzisz, dobrych książek poczytasz, jasnych myśli nachwytnasz. A mnie kto życie wróci? Żywot wieczny! A ty daj mi go teraz, kiedyś obiecał.

– Nie my pierwsi – mruknął ktoś.

Michajłowi stuknął pięścią o stół.

– Tak, nie my pierwsi. Ciągłe i nieustannie u nas i wszędzie zabijają człowieka. Krew na wszystkim. Każdy umierający w nieszczęściu, głodzie, ciemnocie to wieczne oskarżenie. Każda śmierć, każde zmarnowane życie ludzkie to potępienie dla tego, co jest.

– Więc cóż robić, ty sobie krzycz, nie krzycz, to nic nie pomoże – filozofował Koruta.

Michajłowi błysnął oczyma.

– Dopóki człowiek tego nie rozumie, że go zabijają, znieważają, kaleczą – można mu wybaczyć. Ale nam już nie wolno znosić, nie wolno wracać do jarzma. Walka na śmierć i życie. Walka...

– Aby tam się kiedyś innym ludziom dobrze żyło? – szydził Koruta.

– Aby ja sam niewolnikiem nie był. Co mnie inne pokolenia? Za siebie walczę, o siebie walczę.

– Inni także tak śpiewali i pewnie spuścili z tonu – mruczał sceptyk.

Michajłowi wstał.

– Słuchaj, Koruta, tobie dwie drogi stąd: albo z nami iść...

– Dokąd, z jakimi wami?

---

<sup>86</sup> *Jupiter* a. *Jowisz* (mit. rzym.) – bóg nieba i burzy, władający piorunami, najważniejszy z rzymskich bogów, odpowiednik gr. Zeusa. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *Junona* (mit. rzym.) – bogini kobiet, małżeństwa i macierzyństwa, żona Jowisza. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *androny* – bzdury. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *mitygować* – hamować, odwozić od gwałtownego zachowania. [przypis edytorski]

– Mniejsza o to! Z tymi, co mówią, że nie zniosą koło siebie ani źdźbła krzywdy ludzkiej, że w żadnej krzywdzie udziału nie wezmą, że przeciw każdej walczyć będą... Albo idź precz, tam gdzie nasi nieprzyjaciele.

– No, no, nie unoś się.

– Nie można tak mówić!

Michajłow nie cofał się.

– Tu nie ma żartów, jeżeli wam rozmowa tylko w głowie, to ja wam nie towarzyszę.

– Ale ty wiesz o tym, gdzie żyjesz, wiesz, kto tu rządzi, wiesz ty, jak się ten kraj nazywa?

– Wiem. Rosja, kraj niewoli, kraj rabów<sup>90</sup> cara Aleksandra, oswoobodziciela chłopów<sup>91</sup>, ale tam, gdzie ja stąpię, gdzie ja żyję, jak daleko ja sięgnę, tam rządę tylko ja.

Rozmowa się urwała.

– Katarzyna Pawłowna od męża wczoraj uciekła – rzekł Kasjanow.

Michajłow zerwał się.

– Uciekła? Dokąd, nie wiecie?

– Dokąd miała uciec – do matki. Tam płacz i zgrzytanie zębów. Ojciec wrzeszczy, że ją za włosy do męża zaciągnie, matka płacze, kumoszki zawodzą.

– A ona...

– A nic, zamknęła się na cztery spusty i siedzi, oni też czekają. Powiadają, głodem wezmą.

– A mąż?

– Mąż? Wczoraj pił. Dziś po mieście biega, znajomym kańczug<sup>92</sup> pokazuje.

Adaś zaczął mi tłumaczyć. Historia całkiem miejscowa. *Couleur locale*<sup>93</sup>, jak się to w teorii literatury nazywa. Wydali młodą dziewczynę za mąż, za kapitana pijanicę. Bogaty miał być, a okazało się, że majątek w karty przegrał. Zdaje się, że na posag liczył. Tymczasem posagu nie ma, więc zwierzę zaczyna bić żonę. Całymi dniami wychodzić nie może z domu, ludziom się pokazać niepodobna: twarz w sińcach, oko podbite. I tak bez przerwy. Tydzień bez bójki nie przechodzi. A dziewczyna była z głową i sercem Człowiek mógłby wyrosnąć. A tak jedna jej droga: powiesić się albo bić się z mężem, kto kogo lepiej.

Wtem drzwi się otworzyły, wpadł młody trzynastoletni uczniaczek o różowej twarzyczce, ciężko dysząc:

– Dmitry Antonowiczu! – podbiegł do Kasjanowa. – Siostrę mąż do domu powłókł, grozi, że zabije.

Nastała chwila ciszy.

Nagle rozległ się szcęk, to Wroński cisnął flaszką o podłogę.

– No! Ginać, to ginać! A nie będzie tego, abyśmy się spokojnie temu przypatrywali. Mnie i tak śmierć. Niechże wiem przynajmniej, że coś porządnego na świecie zrobię.

Kasjanow złapał go za rękę.

– Pijany jesteś, o czym ty myślisz?

Wroński wyrwał mu się.

– Daj już pokój, ja tylko wtedy trzeźwy, kiedy pijany. A myśli, bracie, to już mam teraz całkiem jasne. Wam się, panowie, mieszać w tę sprawę nie należy. Przydacie się jeszcze, a ja już i tak stracony.

– Z tego nic – rzekł Michajłow – idę z tobą.

– I ja – rzekł Indyk.

– I ja – powtórzyłem.

– Wszyscy idziemy.

---

<sup>90</sup> *rab* (daw.) – niewolnik. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> *car Aleksander, oswoobodziciel chłopów* – nazywano tak cara Aleksandra II, ponieważ zniósł pańszczyznę w Imperium Rosyjskim. [przypis edytorski]

<sup>92</sup> *kańczug* – skórzany bicz z krótką rękojeścią; nahajka. [przypis edytorski]

<sup>93</sup> *couleur locale* (fr.) – koloryt lokalny. [przypis edytorski]

- Mówić tylko ja będę – prowadź no mały.
- Tę drogę ja znam. Ogrodem bliżej będzie – rzekł Adaś.

Istotnie prowadzić zaczął ogrodem po jakichś zarośniętych ścieżkach. Przeskoczyliśmy wreszcie jakiś płot. Nagle doleciał nas nieludzki krzyk.

- Katia płacze – krzyknął uczniaczek.

Zawrzało coś we mnie i zastygło. Czułem, że to samo dzieć się musi i w innych. Przyspieszyliśmy kroku. Ale Wroński szedł ciągle naprzód wielkimi krokami.

Z domu, do którego podchodziliśmy, wydobywały się wciąż krzyki coraz bliższe, coraz straszniejsze.

Pod oknami stało kilka postaci. To kucharki sąsiadów i sąsiadki przypatrywały się egzekucji.

- Z drogi, bydło! – krzyknął Wroński i nie poznaliśmy jego głosu.

Ktoś próbował zastąpić mu drogę, lecz nagle z niespodziewaną siłą Wroński zadał zagradzającemu drzwi cios tak potężny, że ciemna postać znikła, waląc się na ziemię z jękiem.

Wroński szarpnął drzwi i otworzył, weszliśmy za nim.

Przeszliśmy się i stanęliśmy we drzwiach pokoju. Oczom naszym przedstawił się straszny widok. Przywiązana do poręczy krzesła siedziała młoda kobieta z okrwawionymi plecami. Nad nią stał dieńszczyk<sup>94</sup> kapitana z nahajką w ręku. Z pleców młodej kobiety spływała krew, zębami targała sznurek, którym miała skrępowane ręce. Naprzeciw niej siedział kapitan, niski, o okrągłej twarzy męczyzna, i palił fajkę. Gdyśmy weszli, wymawiał wyraz „jedenaście”.

Wyraz ten utkwiał mu w krtani.

Na nasz widok zaniemówił. Zerwał się. Ale jednym skokiem był już przy nim Wroński, prawą ręką uchwycił za gardło i ścisnął. Michajłow wyrwał dieńszczykowi nahajkę, ja z Adasiem rozwiązyaliśmy ręce kobiety.

– Niech się pani ubiera! – krzyknął Wroński. – Michajłow, zajmij się, niech was tu w ten moment nie będzie.

Kasjanow mocował się z dieńszczykiem, Wroński zaś systematycznie tłukł głową na wpół duszonego kapitana o róg szafy.

- Raz, dwa – powtarzał.

Kapitan kopał nogami, pinił się, chciał gryźć.

Nagle obalił Wrońskiego i wyrwał się. W tej samej jednak chwili Koruta schwycił go żelaznymi ramionami i przygwoździł do krzesła. Wroński podniósł się z ziemi, chrząknął, kaszlnął, krew rzuciła mu się ustami.

Drzwi skrzyknęły – to kapitanowa uciekała z Michajłowem.

My skoczyliśmy do Wrońskiego, dieńszczyk zdołał się wyrwać i wysliznąć.

Kapitan szamotał się i ryczał. Z ust Wrońskiego płynęła krew dwoma cienkimi strugami.

Koruta przemawiał spokojnie.

– Siedź, aniołku, siedź, kanalio, bo na śmierć zabiję. Ja, braciszku, żartować nie lubię. I mnie jest wszystko jedno. Jak raz już bić zacznę, to kości połamię, siedź spokojnie, proszę ja siebie.

Rozległo się ciężkie stąpanie: w drzwiach ukazał się urтник, sprowadzony przez dieńszczyka.

Obok urтника ukazała się jednak inna jeszcze postać. Był to chudy, średniego wzrostu pan o twarzy Mefistofelesa<sup>95</sup>.

– *Quod erat demonstrandum*<sup>96</sup> – rzekł. – Naturalnie, Wroński, Bielecki i Kasjanow, Michajłowa spotkałem w drodze.

Spostrzegł jednak krew płynącą z ust Wrońskiego i zmarszczył brwi.

---

<sup>94</sup> *dieńszczyk*, częściej *deńszczyk* (ros.) – w carskim wojsku: ordynans, żołnierz przydzielony do obsługi oficera. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> *Mefistofeles* – imię diabła często pojawiające się w literaturze, m.in. w *Fauście* Goethego. [przypis edytorski]

<sup>96</sup> *Quod erat demonstrandum* (łac.) – co było do udowodnienia; wyrażenie używane na zakończenie dowodu matematycznego. [przypis edytorski]

- Potrzebne to panu było!
- Puść pan kapitana – zwrócił się do Koruty.

Kapitan pnił się i krzychał:

– Aresztować, aresztować, zakuć w kajdany tego oto zbira – wskazywał na Wrońskiego – i tę gonić. – Tu użył silnego wyrazu. – Ja jej pokażę... Aresztować, aresztować!

Pan w szarym kapeluszu, inspektor gimnazjalny Kuźniecowa, podszedł spokojnie do pniącego się kapitana i położył mu rękę na ramieniu.

– Kochany panie kapitanie – rzekł – co pan byś powiedział, gdyby panu świnia wpadła do ogrodu i zniszczyła ulubione pańskie, z wielkim trudem wypielęgnowane drzewko?...

– Jak świnia do ogrodu wpadł – zawołał kapitan – tak właśnie...

– Ciszej, kochany panie – rzekł Kuźniecowa. – Widzi pan tego chorego człowieka. Tak? Otóż od lat dwudziestu kilku, jak jestem nauczycielem, to był mój najlepszy matematyk, najlepsza głowa, jaką ja spotkałem. Na dwadzieścia kilka lat jedna jedyna, o której sobie mówiłem: w biografii tego człowieka będzie napisane, że nauczycielem jego był Wasyli Andrejewicz Kuźniecowa. I to, widzisz pan, była moja nadzieja, moje marzenie. Teraz pan wie, jak ja muszę nienawidzić człowieka, który mi tę nadzieję zniszczył. Jeżeli on nie wyzdrowieje, to ja panu radzę zniknąć raz na zawsze, panie Moroszkine, bo ja jestem spokojny i systematyczny człowiek. Za tę jedną dzisiejszą historię z żoną pana można by daleko zaciągnąć. I jeżeli temu człowiekowi coś się stanie, to ja pana potrafię daleko zaprowadzić. Ani się pan obejrzyj, jak fiut order, fiut szlify i może jeszcze coś na dodatek: szara kurteczka. Ja się nie interesuję ludźmi, panie Moroszkine, ale jeżeli pan ma coś na sumieniu, to ja to już odnajdę. Więc na przykład jest jakaś historia z Awdotią idiotką, odkopie się tę historię. Uważasz pan, panie Moroszkine, takie historie, jak pan, ma w Rosji na sumieniu dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na sto. Dopóki się na nie nie zwraca uwaga, wszystko w porządku, ale gdy się uwaga zwróci: fiut! zamiast dżentelmena jest katorżnik. I innej różnicy, panie, pomiędzy dżentelmenem a katorżnikiem nie ma. A teraz ja już na pana zwrócę uwagę, panie Moroszkine. I tak, na przykład, napisze się do naczelnika korpusu, że ja jako inspektor gimnazjum zwracam uwagę, że pański pobyt w tym oto miasteczku stanowi przedmiot zgorszenia dla wychowawców powierzonego mojej opiece zakładu. Uważa pan, lepiej, żeby pan zauważył, że w tym miasteczku klimat panu nie służy. O wiele lepiej. I abym ja pana już nie spotykał, panie Moroszkine. I jeżeli pan jest nabożny, daj pan na mszę, aby ten oto człowiek wyzdrowiał. Bo inaczej będzie źle, panie kapitanie Moroszkine. I uważa pan, pańska żona jest obecnie w moim domu, u mojej żony. I tam lekarz, pułkownik Sachs, spisuje protokół z pleców pańskiej żony. A zwracam uwagę pańską, że żona pańska zostanie u mojej żony, która jest osobą chorą i potrzebuje spokoju. I ona musi mieć spokój... będzie miała spokój, bo z ludźmi niepokojącymi moją żonę ja się sam już załatwię. A wy, dżentelmeni – zwrócił się do uradnika i dieńszczyka – precz stąd i trzymać mi język za zębami... Ciebie, kochanku – zwrócił się do dieńszczyka – do poprawczych rot<sup>97</sup> posłać zawsze można, a ciebie, luby<sup>98</sup> obrońco porządku, też by ze służby trzeba, żeś nie słyszał, co się tutaj dzieje. No, a teraz – fiut. Serwus, panie kapitanie. I proszę bardzo, niech ja pana nie spotykam. Bo oprócz idiotki Awdotii coś więcej jeszcze się znajdzie. Pomóżcie mu wyjść – rzekł, wskazując na Wrońskiego – wsadzić na dorożkę i do szpitala gimnazjalnego. A panom też języczki za zębami trzymać radzę, z dyrektorem zaś ja sam pomówię.

– To jest człowiek – rzekł Indyk do mnie, gdyśmy wsiadali z Wrońskim do sprowadzonej dorożki. – Teraz już można być spokojnym o Katarzynę Pawłownę. Kim się Kuźniecowa zajmie, ten już może spać spokojnie.

Wroński mówił na wpuł do samego siebie.

– Teraz chciałbym żyć, słyszeliście, co on mówił. Choć pięć lat, choć trzy lata żyć. Już jakbym ja pracował. Już teraz, bracia, żadnej wódki. Ani kropli. Ach, jakby to dobrze było żyć. Poczcwiwie.

---

<sup>97</sup> *rota* (daw., ros.) – kompania (pododdział wojska). [przypis edytorski]

<sup>98</sup> *luby* (daw.) – miły. [przypis edytorski]

Wasyli Andrejewicz, jakby mi ktoś duszę pocałował. Można pocałować duszę. Poczciwy, jeszcze choć rok żyć. Teraz już ja wiem. Jeszcze można by coś robić, ach, jaki żal, że będzie trzeba umierać.

– Będziecie żyli – rzekłem, dusząc się łzami.

– Zostawcie... nie... pewno nie... Skąd ma siła być. Takie życie. A ona nie przebacza – natura; jej wszystko jedno. Zrównanie<sup>99</sup> ci zawsze wypisze:  $X = 0$ , i śmierć. *Basta cosi*<sup>100</sup>, jak powiada Herzen<sup>101</sup>. Zazdrościłem zawsze Herzenowi. Jaki on szczęśliwy był. Pomiedzy takimi ludźmi żył. Takich miał przyjaciół. Morze, góry, muzyka. I ludzie jak morze i jak muzyka. Nie chciałoby się umierać. Na południe pojechać i mieszkać sobie w białym, czystym domku. Śpiew żeby był. Okna otwarte na morze. I myśleć, myśleć. Wy nie wiecie, co to jest matematyka! Wy myślicie: liczby, liczby! Nie! A ona śpiewa, gra – jak kryształ. Cała dusza tonie w dźwięcznym, przejrzystym kryształ. Słońce niechby chodziło po błękitnym niebie. I zawsze piękne kobiety, wolni ludzie. Aby nikt nikogo nie śmiał tknąć. I inna mowa nawet niechby! Niechby nikt tą przemierzłą, niewolniczą mową nie mówił. Wziąłbym to wszystko za gardło i tak tłukł, jak tę podłogę, bydłęcą, pijaną głowę. Szkoda, że nie ubił. I skąd to jest? Tam, tu, wszędzie naokoło i w nas taka cisza, taka święta cisza. Ach, bracia, jak ja kochałem zawsze ciszę. Matematyka to taka cicha, cicha, głęboka muzyka. Milczenie a harmonia. Taki najpełniejszy, złoty ton. I już nic. I skąd to wszystko. Brud, krzyk, krew. Cisza, cisza. Żebym ja wiedział, że ona jest, to niechby sobie nie było Wrońskiego – matematyka, cóż! Że mnie by łośpuchy<sup>102</sup> wyrosły, a ona by i tak była, jak zawsze jest. To tylko jedno wiedzieć. I jeszcze posłuchać, jak ona święcie milczy. Tylko to. A potem niechbym sobie już umarł. Tylko nie, tu umierać, nie tu! Tu ludzie na cmentarzu jeszcze się po twarzy biją. Ach, nie tu! A! najlepiej byłoby jeszcze żyć choć parę lat. Wasyli Andrejewicz poczciwy. – Głowa jego płonęła. Miał silną gorączkę i zaczynał bredzić. – Wielkie integralne zrównanie<sup>103</sup> – mówił. – Cisza... I cóż ja tam sobie, zbłąkany dyferencjał<sup>104</sup>... W rachunku muszą być pomyłki. Jeżeli człowiek jest pomyłką, to nie może wiedzieć nic o całym równaniu, a ona jest i z nas tak się błękitnie śmieje.

### 3

Każdą swobodniejszą chwilę spędzaliśmy teraz przy łóżku Wrońskiego. Leżał on w szpitaliku uczniowskim, czystym białym domku w ogrodzie. Kwitnące bzy i akacje zaglądały do niego przez okno. Dwa czy trzy razy przysłała mu bukiet róż pani Kuźniecowa. A raz, jakoś w parę tygodni, przyniesiono duży pęk kwiatów z bilecikiem: „Katarzyna Moroszkina”.

Pani Moroszkina wyjeżdżała właśnie tego dnia z naszego miasteczka. Sterroryzowany przez Kuźniecowa kapitan wydał jej paszport<sup>105</sup> i jeszcze jakiś dokument, mający jej ułatwić uzyskanie rozvodu.

Ze zdrowiem zaś Wrońskiego nie szło wcale ku lepszemu. Gorączka nie ustępowała i chory tracił siły z dnia na dzień. Po dniach całych leżał teraz bez ruchu, nic nie mówiąc, myśląc o czymś czy

<sup>99</sup> *zrównanie* (daw.) – równanie (matematyczne). [przypis edytorski]

<sup>100</sup> *basta cosi* (wł.) – dosyć tego; wystarczy. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *Herzen* – dziś popr.: *Hercen*, *Aleksandr Iwanowicz* (1812–1870), rosyjski pisarz, myśliciel i działacz społeczno-polityczny, zwolennik poglądów rewolucyjno-demokratycznych, stworzył doktrynę socjalizmu rosyjskiego, który miał powstać z pominięciem fazy kapitalizmu; popierał ruch rewolucyjny okresu Wiosny Ludów oraz powstanie styczniowe w Polsce; autor książki autobiograficznej *Rzeczy minione i rozmyślenia*. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *łośpuch* – łośpian, dziko rosnąca lecznicza roślina o dużych liściach. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *integralne zrównanie* (daw.) – równanie całkowite; matematyczne równanie funkcyjne, w którym występuje całka zawierająca niewiadomą funkcję. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *dyferencjał* (daw.) – tu: różniczka, pojęcie matematyczne w rachunku różniczkowym i całkowym, oznaczające nieskończenie małą zmianę zmiennej. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> *wydał jej paszport* – w Imperium Rosyjskim funkcjonowały paszporty wewnętrzne, uprawniające do wyjazdu poza granice swojej jednostki administracyjnej. [przypis edytorski]

marząc z przymkniętymi oczami. Pod wieczór dopiero zaczynał się ożywiać. Twarz płonęła, oczy błyszczały i niepodobna było go zmusić, aby się nie wysilał i nie męczył mówieniem.

– Mój mózg – mówił – przeczuwa wielkie bezrobocie i funkcjonuje teraz całą siłą pary.

Siedzieliśmy u niego do późnej nocy i zwykle ktoś z nas zostawał przy nim. Zachodził często i Wasyli Andrejewicz. Jakoś w kilka dni po wypadku, dla rozweselenia chorego, opowiedział, jak uchronił nas od dyrektorskich gromów.

Dyrektorem gimnazjum była istota z wyglądu uderzająco podobna do samowara. Człowiek niesłychanej dobroduszości, ale pełen dzieciennych ambicji i histerycznie babskich kapryśków. Pod wpływem jakiejś *idée fixe*<sup>106</sup> lub uporu stawał się niepoczytalny i mógł być szkodliwy. Wszystko zależało od tego, z jakiej strony zostanie mu przedstawione zajście.

Wasyli Andrejewicz pojechał tego wieczoru prosto do klubu. Tam w małym pokoiku można było zawsze zastać Tichona Wasiljewicza Tichonrawowa i Łukę Iwanowicza Zieleniewskiego.

Łuka Iwanowicz był klasykiem niezmiernie niskiego wzrostu, o głowie całkiem łysej, bezwąsiej, z kępką włosów na podbródku; czynił wrażenie misternej figuryjki japońskiej, z kości słoniowej wystruganej.

W klubie spotykali się oni z dyrektorem codziennie już od niepamiętnych czasów. Zaczynali wieczór od partii bilardu. Grali jednak pośpiesznie i bez przyjemności, jakby tylko dla pozorów. Po skończonej partii udawali się do małego zaciszego pokoiku – i właściwa przyjemność zaczynała się dopiero. Przede wszystkim Łuka Iwanowicz wyciągał z kieszeni małe wydanie Sofoklesa<sup>107</sup> i pedagogowie odczytywali sobie, skandując, jakąś scenę. Potem żądali herbaty i Tichon Wasiljewicz opowiadać zaczynał o swojej planowanej wycieczce do Monte Carlo<sup>108</sup>.

Od lat dwudziestu kilku marzył o tym wieczorami, jak to on pojedzie do Monte Carlo, wróci do Rosji, kupi sobie willę na Krymie, będzie hodował róże i czytał klasyków. Łuka Iwanowicz wysłuchiwał codziennie niemal całego tego planu, w momencie jednak, gdy szczęśliwy dyrektor rozbijał już jeden bank za drugim i obładowany pieniędzmi myślał o powrocie, Łuka Iwanowicz przechodził do opozycji.

– I na nic panu się to nie przyda – rzekł – gdyż zaraz pana zabiją i pieniądze zabiorą.

– Jak to zabiją...

– Bardzo prosto, tam już są całe szajki poorganizowane i śledzą. W przedziale wagonu pana zarzną i wyrzucą przez okno.

– Kupię sobie przecież rewolwer – bronił się dyrektor.

– Jeszcze lepiej, z pańskiego własnego rewolweru pana zastrzelą, oszczędzi pan im kosztów – ciągnął swoje nieubłagany Zieleniewski.

Po chwili zaś dodawał:

– Można także otruć kwiatem.

– Kwiatem? – dziwił się dyrektor.

– I cygarem można otruć albo tabaką, ot, po prostu powącha pan i koniec.

– Nigdy nie biorę tabaki od obcych.

– Doskonale się zabija też kurarą<sup>109</sup>. Mam zatruty kamień w pierścionku, przechodząc, drapię pana w rękę, nibym niechcący w ścisku sygnetem zawadził. – *Excusez monsieur!*<sup>110</sup> – A okazuje się, że nie *excusez*, a *Requiem aeternam*<sup>111</sup>.

---

<sup>106</sup> *idée fixe* (fr.) – powracająca, natrętna myśl; obsesja. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *Sofokles* (496–406 p.n.e.) – jeden z trzech największych tragiczków greckich. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> *Monte Carlo* – dzielnica księstwa Monako, słynna z kasyna gry (zał. 1863). [przypis edytorski]

<sup>109</sup> *kurara* – trucizna z roślin używana przez Indian z Ameryki Płd. do zatruwania strzał. [przypis edytorski]

<sup>110</sup> *Excusez monsieur!* (fr.) – przepraszam pana. [przypis edytorski]

<sup>111</sup> *Requiem aeternam* (łac.) – wieczne odpoczywanie. [przypis edytorski]

– Przecież każdy nosi rękawiczki.

– Pieniądze także można zatruć – wywodził Łuka Iwanowicz. – Taka zatruta paczka banknocików, liczy pan, a z niej wydobywa się niedostrzegalny pyłek, dostaje się do nozdrów<sup>112</sup>, do ust i fiut.

– Ludzie wygrywają przecież... – bąkał całkiem już struty dyrektor.

– I zabijają ich też. Gdyby nie policja!

I Łuka Iwanowicz zaczął opowiadać o zręczności detektywów. Zostać szpiegiem było tajnym marzeniem Zieleniewskiego. Co dzień, przed zaśnięciem i rano, pijąc lurkowaną kawę, snuł przed sobą plany fantastycznych pościgów, rozplływał się nad cudami przenikliwości i przebiegłości, jakich by dokazał.

Sędzia śledczy musiał pisać do kuratora okręgu, aby zakazał Zieleniewskiemu mieszać się do śledztw, gdyż dzięki hałasowi, jaki wszczynał on około każdej sprawy, kilku niebezpiecznych zbrodniarzów ukryło się spod oka władz. Znany był wypadek, że energicznie poszukiwany przez policję włamywacz mieszkał długie miesiące, jako lokaj, u Łuki Iwanowicza i pomagał mu w tropieniu przestępstw popełnionych przez samego siebie.

– Każdy z nas, panowie, musi wytworzyć w sobie jakąś manię, która by go chroniła od prawdziwego obłędu – mówił Kuźniecowa – i doprawdy najstraszliwsi są ci, którzy traktują poważnie sam swój zawód, taki, jakim jest, bez żadnych ozdób i przesłon. Różnych ludzi widywałem pośród rosyjskich pedagogów w ciągu dwudziestu pięciu lat: i oprócz pijaków ostatecznych nie spotykałem pośród nich normalnego człowieka. Żywy człowiek musi czymś żyć. A żyć terażniejszą szkołą może tylko jakiś Torquemada<sup>113</sup>. I zdarzają się, zapewniam panów, zdarzają się całkiem inkwizytorskie natury, talenty pierwszego stopnia.

Torquemadą nasz dyrektor nie był, ale w jego spastym ciele tkwiły słabe, babskie nerwy i nachodziły na niego kaprysy i uniesienia całkiem nieprzewidziane. „Grymasi jak popadnia<sup>114</sup> w ciąży” – wyrażał się Kuźniecowa.

Jednym z kaprysów dyrektora było tropienie przyszlých nihilistów. Po zamachu Karakozowowskim na skutek jakiegoś okólnika ministerialnego mania ta wzmogła się jeszcze. Opowiadano anegdotki o przemowach dyrektorskich, mających wpłynąć na umoralnienie wychowawców.

Ofiarę swoją dyrektor zapychał wystającym brzuchem do jakiego kąta swej kancelarii i podreptując przed nią i wymachując krótkimi rączkami, rozpoczął swoje filipiki<sup>115</sup>:

– Nihilista, socjalista – piszcział swoim rozbitym, babskim głosem. – W Boga nie wierzysz, żaby krajesz, Cyceron<sup>116</sup> ci się nie podoba. Homera nie uznajesz. Buty wyżej stawiasz od *Iliady*, co? He? Autorytetów nie uznajesz. Co tobie autorytet. Ja mam siwe włosy. Ale tobie tylko żaba, żaba! Żaba i skalpel. A ty mi znajdź sumienie skalpelem, co? Siwe włosy przesąd – ty myślisz sobie – ot, także się rozgadał – a właśnie ja ci pokażę, kochanku mój, także miałem ideały, także byłem młodym. Ale za moich czasów my, młodzi ludzie, słuchaliśmy Granowskiego<sup>117</sup>. Tak. Ja, jakem Sofoklesa w oryginale czytać zaczął, świecę do kościoła kupiłem. He! Panu Bogu trzeba podziękować. *Antygonę* Sofokles napisał, a dlaczego Sofokles, skąd Sofokles?... Wy mówicie: materia. Pewnie, pewnie z waszej

<sup>112</sup> *nozdrów* – dziś popr. forma D. lm: nozdrzy. [przypis edytorski]

<sup>113</sup> *Torquemada, Tomás* (1420–1498) – dominikanin, w latach 1483–1498 generalny inkwizytor w Hiszpanii, królewski spowiednik; jako najbardziej rozpoznawalny urzędnik świętej inkwizycji, stał się synonimem bezwzględności, z jaką działała ta instytucja kościelna. [przypis edytorski]

<sup>114</sup> *popadnia* – żona popa (duchownego prawosławnego). [przypis edytorski]

<sup>115</sup> *filipika* – żarliwa mowa oskarżycielska; nazwa od mów Demostenesa (384–322 p.n.e.) skierowanych przeciw Filipowi Macedońskiemu. [przypis edytorski]

<sup>116</sup> *Cyceron*, właśc. *Marcus Tullius Cicero* (106–43 p.n.e.) – najwybitniejszy mówca rzymski, filozof, polityk, pisarz. [przypis edytorski]

<sup>117</sup> *Granowski, Timofiej* (1813–1855) – historyk rosyjski, profesor Uniwersytetu w Moskwie; wzoru dla Rosji szukał w państwach Europy Zachodniej. [przypis edytorski]

materii *Antygona* wyskoczyła... Tu Granowski nieboszczyk... ale co wam, wam byle Moleschott<sup>118</sup>... chemia... Już w Grecji byli sofiści<sup>119</sup>, ale taki Plato<sup>120</sup>... nie śmieję się, żółtodziobie, nie śmieję się... Już nie tacy, jak ty, z Platona sobie podrzywali, a na dobre nikomu nie wyszło. Postępowy jaki! Ja także jestem postępowy. Tak jest, ja ci mówię, mam siwe włosy, a postępowy jestem a dlaczego postępowy, bo mlekiem klasycznym wykarmiony... O, *kalos kagathos*<sup>121</sup>! *Humanitas*<sup>122</sup>. Znają was! Encyklopedyści<sup>123</sup>, ci także myśleli. Condorcet<sup>124</sup> musiał otruć się. A ty myślisz, pierwszy raz od was dopiero świat uczyć się będzie. No, proszę, proszę, naucz ty starego człowieka. Pokaż ty mi swoją żabę. Już ja was znam.. Teraz ogon pod siebie, a potem w krzyk. Ty teraz tak, a ja tobie siak. Wam wszystko żarty. Ty najpierw w Boga nie wierzysz, a potem wszystko na bok. Matka – przesąd! Ojciec – przesąd! Ja – przesąd! *Antygona*! Miłość do brata. Jaki tam brat. To wszystko zacofanie, a ja właśnie powiadam, że nic z tego nie będzie. Już ty mi swego jadu nie wypuścisz. Matkę zarznieš, Boga z nieba ściągniesz, mnie zabijesz, cesarza zabijesz, Grigorja Karłowicza zabijesz. A wszystkiego tego nie będzie, bo ja ciebie dzisiaj jeszcze wypędzę.

Grygoryj Karłowicz był jednym z pedelów<sup>125</sup> gimnazjalnych, szczególnie znieawidzonym przez uczniów.

Zaspokoiwszy swoją żądzę krasomówczą, dyrektor zazwyczaj łagodniał i sprawa najczęściej kończyła się na oratorstwie.

Przyszedłszy do klubowego pokoiku i przywitawszy się, Kuźniecowa od razu zaatakował z najczulszej strony.

– Kapitan Moroszkina twierdzi, że klasyczne wykształcenie wpływa ujemnie na charakter młodzieży.

Dyrektor skoczył.

– Jak pan powiedział? Kapitan Moroszkina? Zaraz napiszę do dywizyjnego generała. Kapitan Moroszkina podkopuje podstawy, klasycyzm jest podstawą uczuć obywatelskich, on każe nam uszlachetniać siebie.

– Kapitan mówi, że klasycyzm nie zgadza się z naszym klimatem.

– Stary sofizmat<sup>126</sup>. Człowiek pod każdą strefą jest człowiekiem. Ja się pytam pana, czy stopień szerokości geograficznej rozstrzyga o pojęciach moralnych. Ja pana bardzo proszę, niech mi pan odpowie.

– Ależ to nie ja, to kapitan twierdzi, że klasycyzm wyradza całkiem niewłaściwe pojęcie o stosunkach ludzkich.

---

<sup>118</sup> *Moleschott, Jakob* (1822–1892) – holenderski lekarz, fizjolog i filozof, zwolennik materializmu: uważał, że „mózg wydziela myśl tak, jak wątroba wydziela żółć”. [przypis edytorski]

<sup>119</sup> *sofiści* – filozofowie gr. i wędrowni nauczyciele, którzy za opłatą przygotowywali do życia publicznego i kariery politycznej, uczyli sztuki przemawiania i przekonywania, głosili względność prawdy. [przypis edytorski]

<sup>120</sup> *Platon* (427–347 p.n.e.) – gr. filozof, kluczowa postać w rozwoju filozofii; uczeń Sokratesa, nauczyciel Arystotelesa; twórca idealizmu filozoficznego, założyciel szkoły zwanej Akademią Platonia; swoje poglądy wyrażał w formie dialogów. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> *kalos k'agathos* (gr.) – dosł. „piękny i dobry”, staroż. greckie określenie idealnego człowieka, łączącego piękno ciała ze szlachetnością duszy; rzeczownik określający takie harmonijne połączenie to *kalokagatia*. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> *humanitas* (łac.) – człowieczeństwo. [przypis edytorski]

<sup>123</sup> *Encyklopedyści* – grupa francuskich intelektualistów: naukowców, filozofów i pisarzy, którzy napisali i skompilowali *Wielką Encyklopedię Francuską*, propagującą oświeceniowy racjonalizm, rozwój nauk, świeckie myślenie i tolerancję. [przypis edytorski]

<sup>124</sup> *Condorcet, Jean Antoine Nicolas* (1743–1794) – fr. filozof-racjonalista, matematyk, ekonomista i polityk epoki oświecenia. Jako jeden z pierwszych w historii głosił powszechną i bezpłatną edukację, konstytucjonalizm i równouprawnienie bez względu na płeć i rasę. Jego gł. dziełem jest *Esquisse d'un tableau historique des progrès de l'esprit humain* (Szkic obrazu postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje, 1794) zawierający wykład teorii postępu ludzkości. Wziął czynny udział w rewolucji francuskiej, w 1793 uznany za „zdrajcę narodu”, zaczął się ukrywać. Podczas próby ucieczki z Paryża został zatrzymany i uwięziony, 2 dni później znaleziono go martwego w celi. [przypis edytorski]

<sup>125</sup> *pedel* (daw.) – woźny. [przypis edytorski]

<sup>126</sup> *sofizmat* – pozornie poprawne rozumowanie rozmyślnie dowodzące nieprawdziwej tezy, w rzeczywistości opierające się na zatajonym błędzie. [przypis edytorski]

– Całkiem niewłaściwe! Wielki filozof Hegel<sup>127</sup> z *Antygony* wysnuł całą teorię prawa. Ale co nam Hegel. On musi być nihilistą, ten kapitan. I w armii jest ten jad. Jutro powiem rotmistrzowi żandarmów jedno tylko słowo: Hegel i Granowski. On już mu pokaże. Poczekaj no, gołąbku, klimat niewłaściwy. Oni ci właśnie klimat zmieniają. On się Czernyszewskiego<sup>128</sup> naczytał. Klimat, proszę! Dotychczas był Bóg, a teraz już tylko klimat się zaczął. Kwiatami zabijają albo tabaką – Łuka Iwanowicz mówi. A dlaczego zabił? Ja nie winien. Klimat winien. Już ja ci pokażę, jak młodzież demoralizować. Ja się pana pytam, kto tu rządzi: ja czy kapitan Moroszkin? Jedno słowo tylko: ja czy Moroszkin? Więcej nic. Dobrze, dobrze. Naturalnie. Panu tylko matematyka, fizyka eksperymentalna. Pięknie. Bardzo pięknie. Niechaj rządzi kapitan Moroszkin, niechaj rządzi. Ja jutro przyjdę i powiem na głos: Boga nie ma, Sofoklesa nie ma, jest klimat, więcej ani słowa. I my mamy rząd, mamy policję. Pięknie. Ja się tylko rotmistrza żandarmów zapytam, czy wolno Moroszkinowi uprawiać nihilizm.

– Ale poczekaj pan – przerwał Kuźniecowa – bo to od tego się zaczęło. Zaraz. Wroński twierdzi: nie powinno się bić kobiet, szczególnie najaką – a Moroszkin w krzyk: aresztować, aresztować, klasyczne wychowanie!

– Otóż to, otóż to – dreptał dyrektor – ja mówiłem, to wszystko Czernyszewski. Kobiety odstąpić można przyjacielowi jak rzecz. W Grecji były wypadki, ale to w innym okresie, a Plato tylko radził. Zresztą hetery<sup>129</sup> odznaczały się wykształceniem. Ale człowiek pochodzi od małpy, więc cóż matka? Matka – przesąd. Żona – także przesąd. A cóż jest? Nic nie jest. Naturalnie, a potem mówi się, że można bić najaką. Bardzo dobrze. Rodzina jest podstawą państwa? Tak czy nie? Pytam się pana, jak według pańskiej trygonometrii – czy to także tylko klimat? Czy wolno w naszym klimacie burzyć rodzinę...

– Ale, bo nie pozwoli pan mi przyjść do słowa. Moroszkin więc kazał swojemu dieńszczykowi bić żonę najaką...

– Naturalnie, tego się można było spodziewać. Tylko tego. A ja panu powiadam, że tego nie ścierpię. Tu jest młodzież, tu jest gimnazjum, ja jego każę w kajdany zakuć, ja go nihilizmu nauczę. Ja się pytam, gdzie tu są żandarmi? Czy my mamy jeszcze jaki rząd? Potem dziwię się, że jest Karakozow. On się też Moleschottów naczytał... w gazetach było. Oficer zamiast ikony w rogu trzymał dzieła Moleschotta, a przed nimi lampkę palił. No tak i co wyszło? Potem pułkownika przed frontem w ucho ukąsił... Jeżeli tego Moroszkina na Sybir nie wyślą, to ja wyjeżdżam. Ja mam też żonę. Co to dla niego znaczy! Dzisiaj swoją żonę najaką, a jutro moją. A później powie: klimat taki, upały!

– Właśnie Wroński i tak już jest w szpitalu, ciężko chory, pluje krwią...

– W tejże chwili aresztować i wysłać z miasta przed sąd wojenny. Piszę do samego cesarza. Czy urzędnik ma prawo mieć spokój rodzinny? Czy wolno kapitanowi burzyć rodzinę i kasać uczniów?

– On go kopnął – ośmiał się Kuźniecowa.

– Wszystko jedno. Różne są formy zezwierzecenia. Naturalnie. Czernyszewski napisał, że człowiek jest zwierzę, dlatego on nie ma kopać. W tej chwili idę tam. Sam mu pokażę... I trzeba mu odebrać tę nieszczęśliwą kobietę.

– Ona jest już u mojej żony.

---

<sup>127</sup> Hegel, Georg Wilhelm Friedrich (1770–1831) – niemiecki filozof, przedstawiciel klasycznego idealizmu; twórca całościowego systemu filozoficznego. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> Czernyszewski, Nikołaj Gawriłowicz (1828–1889) – rosyjski filozof, socjalista utopijny, publicysta i pisarz, ideowy przywódca rewolucyjnego demokratycznego ruchu lat 60. XIX w. W 1862 aresztowany, osadzony w Twierdzy Pietropawłowskiej, gdzie napisał powieść *Co robić* (1863), przedstawiającą wizję nowego człowieka i przyszłego społeczeństwa; w 1864 zesłany na ciężkie roboty na Syberii. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> hetera (gr. *ἑταίρα*: towarzyszką) – kurtyzana w staroż. Grecji; heterami były niezależne społecznie, wykształcone kobiety o wysokiej kulturze. [przypis edytorski]

– Bardzo dobrze, ja tu nihilizmu nie ścierpię. Pan kapitan u mnie zaśpiewa. Ale Wroński, Wroński nigdy dobrze nie skandował Sofoklesa.

– Tłumaczył bardzo dobrze Platona – rzekł Łuka Iwanowicz.

– Niezawodny znak. *Kalokagatia*. Zawsze powiadam: albo nihilizm, albo Sofokles; albo Platon, albo Czernyszewski. A teraz jest pięknie: już się Moroszkina pojawił...

– Więc możecie, panowie, być całkiem spokojni. Gdyby Moroszkina próbował się skarżyć, już go nasz dyrektor ubierze, że się wyplątać nie będzie mógł.

Jak wspominałem już jednak, Moroszkina skarżyć się nie odważył. Bardziej niż dyrektor przeraził go sam Kuźniecowa. I nie tylko nam, ale i żonie jego nic już z tej strony nie zagrażało.

Natomiast natura nie przebaczyła. Stan zdrowia Wrońskiego nie pozostawiał już żadnej wątpliwości, że jego zrównanie zostało już w zasadzie rozwiązane, że lada dzień scałkuje<sup>130</sup> go w sobie wielka cisza.

Uśmiechnął się słabo, kiedy Kuźniecowa zakończył swe opowiadanie słowami:

– Widzicie, panowie, że i nasza rosyjska konstytucja ma swoje dobre strony.

– Tak, tak – mówił po odejściu Wasyla Andrejewicza – ma swoje dobre strony życie rosyjskie i wszyscy oni dobrzy, i bez żadnej złości. A tak po troszeczkę człowieka rozlizują. Nie ma żadnej tyranii nawet, wszystkich choć do rany przyłóż – a ty giniesz tak, jakby ktoś umyślnie pragnął twojej zguby. I spytałbym się ja Tichona Wasiljewicza, dobrego człowieka, ile pokoleń on już tą swoją dobrocią dławić i dusić pomaga? Nie, syneczku kochany, ty sobie tylko głowę napakuj głupstwem wszelkiego rodzaju – a złego ja ci nie życzę nic.

– Nie jego wina – rzekł Koruta.

– Już byś ty teraz przynajmniej dał spokój. Drażnić przestań. Jedynek człowiek, któremu coś zawdzięczam, jest moja matka. Z tą przynajmniej wiadomo, czego się trzymać. Od razu, jeżeli ty jej wszystkich zębów nie pokażesz, żywym zje.

Egzamina szły swoją koleją, a zdrowie Wrońskiego topniało.

Na posłane do rodziców jego zawiadomienie o chorobie nadszedł list matki:

„Krawiec Mendel za komorne nie zapłacił, a Łyska wprawdzie ocieliła się, ale cieleń zdechło. Ojciec przegrał w karty rubla, a Praskowia kucharka stłukła pół tuzina talerzy. Ja od piętnastu lat jestem chora, a do łóżka nie kładę się, bo obowiązek swój macierzyński znam. Lewe oko całkiem prawie widzieć przestało, a pod łopatką strzyka. Pomimo to pracuję i myślę wciąż, skąd by pieniądze dostać, aby tatuś twój najdroższy miał co w karty przegrywać. Leży teraz i wzdycha żółty jak cytryna z pijaństwa. Pan Bóg skarał mnie za grzechy takim mężem, a i z dzieci, widzę, pociechy żadnej nie ma. Na pijaństwo i rozpustę żadnych pieniędzy nie wystarczy. W przeszłym miesiącu posłałam ci nowe spodnie. Mendel za nie dziesięć rubli z długu sobie odciągnął<sup>131</sup>. Jak człowiek o Bogu pamięta i o matce nie zapomina, błogosławieństwo boże jest z nim”.

I tak dalej bite cztery strony.

Wroński uśmiechnął się.

– Otóż to: wierna fotografia duchowa – z oryginałem zgodne!

W pierwszych dniach i tygodniach choroby interesowały go jeszcze wydarzenia zewnętrzne. Z wolna jednak wszystkie myśli jego skupiały się na śmierci, czynił wysiłki, aby myśleć o czym innym. Myśl jednak zawsze krętym biegiem wracała do tego samego przedmiotu.

– Zdumiewająca rzecz – mówił raz. – Ja żyję. Bardzo pięknie. I niby to jest: ja, coś oddzielnego, samo za siebie. Teraz czym będzie moje życie? Tym lub owym, zależnie od tego, gdzie się urodzę. Tu

<sup>130</sup> *całkowanie* (mat.) – rodzaj sumowania nieskończenie wielu nieskończenie małych wartości, stosowany dla wielkości zmieniających się w sposób ciągły. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *odciągnąć* (daw.) – odjąć. [przypis edytorski]

czy w Ost-Indii<sup>132</sup>, w Chinach, o sto lat wcześniej albo później. Więc właściwie mnie nie ma, a jest to, co daje mi wszelką treść, wszystkie myśli i uczucia. Nie Kocham ani nie nienawidzę innych rzeczy, jak tylko to, co jest w społeczeństwie. Matematyka na przykład. Czy ja właściwie znam matematykę? Nie. Za lat sto już tam będzie wiele nowych rzeczy. Więc właściwie mnie nie ma. A jest sobie tylko jakieś ono. A tymczasem umieram ja **sam**, raz na zawsze, niepowrotnie. Nic mi nie wróci tego, co mi odjęte zostało. Dzień za dniem, godzinę za godziną coś wykradało mnie samemu sobie. Czy to nie można oszaleć od tej myśli? Nieustannie umierają ludzie, umierają naprawdę bezlitośnie... tymczasem nie zaznali nic, nic z prawdy, nic z właściwego życia. Człowiek dotąd wcale jeszcze nie żył. I my tak wszyscy kradniemy sobie wzajemnie życie. Jak ludzie tego zrozumieć nie mogą, jak nie mogą zrozumieć, że ja mogę być tylko tym, czym ci inni mi być pozwalają. My ciągle się bawimy. I przyjedzie do mnie teraz mamuleczka i powie: synku, przebacz – wiem, że nie przyjedzie, ale powiedzmy tak. I cóż stąd. Ta, psiakrew, nic mi nie przebaczy. Twój czas przeszedł i raz na zawsze koniec.

Miał silną gorączkę.

– Koruta, czy ciebie nie drażni twój nos... Ja całe życie nie mogłem znieść swoich chudych, pałkowatych nóg i długich rąk. I teraz sam myślę, że w gruncie rzeczy to powinno być zniszczone. Ale twój nos! I ty tak na całe życie już zostaniesz. I nic innego ci już tego nie wynagrodzi. Dlaczego ty jesteś taki brzydki, Koruta. Człowiek nie powinien być brzydki. Ja tak bym chciał, aby mnie kochała kobieta. Taka prawdziwa kobieta, o pachnących włosach, pięknych oczach. Mnie nigdy nie pocałowała żadna kobieta z miłości. Wszystko było za pieniądze po pijanemu. I takem w życiu nic nie miał, tak całkiem nic. Zawsze myślałem: zbiorę pieniądze, kupię sobie całkowite wydanie Helmholtza<sup>133</sup>, dużo, dużo książek. I teraz ja już nigdy nic nie przeczytam. Nie powinno się marnować czasu. Nie powinno się nigdy czekać. Biedakom mówią, aby byli cierpliwi. Nie trzeba być cierpliwym, trzeba brać, brać. Dobrze już, że mnie nie będzie, tak dobrze. Rano, kiedy się budziłem, brzydziłem się sobą, jak ktoś, co ma włożyć brudną bieliznę, bo innej nie ma. I tak mi już będzie dobrze, tylko żeby to już niedługo było. I żeby jeszcze jeden dzień piękny. Dużo słońca, kwiaty. Jeden dzień.

Nie usiłowaliśmy mu zaprzeczać, przekonywać go, że nie umrze. Spostrzegliśmy, że go to drażni.

– U nas teraz w domu wielkie pranie – mówił któregoś dnia – początek miesiąca. Ojciec jeszcze trochę pieniędzy ma i po szynkach<sup>134</sup> się włóczy albo u Łukerii siedzi – baba taka jedna jest. Po twarzy go bije, ale ludzkie słowo dla niego ma. Matka chodzi po pokoju i milczy. Ona tak w milczeniu jak nóż się szlifuje.

Wreszcie stało się rzeczą jasną, że dni Wrońskiego są policzone. I jednego poranka stała się rzecz nieprzewidziana. Zjawił się pop i diaczek<sup>135</sup>; Wroński – o tej porze zwykle był apatyczny – zerwał się, siadł na łóżku, nastroszony jak ptak, chudy i straszny.

Oprócz mnie nikogo nie było przy nim.

– Nie potrzeba – krzyknął Wroński. – Nie potrzeba.

Pop zaczął mówić jakieś frazesy, wspominał o sędzie wiekuistym, o grzechach.

Wroński trząsał się na całym ciecie.

– Nie chcę, nie chcę, nie wierzę, w nic nie wierzę. Dajcie mi umrzeć spokojnie, śmierci mi nie odbierajcie przynajmniej.

<sup>132</sup> *Ost-India* (ros.) – Indie Wschodnie, dawna nazwa terenów Indii i in. krajów Azji pld. i pld.-wsch., później ograniczona do Archipelagu Malajskiego (kolonialne Holenderskie Indie Wschodnie); używana dla odróżnienia od Indii Zachodnich, czyli Karaibów. [przypis edytorski]

<sup>133</sup> *Helmholtz* – zapewne chodzi o Hermanna von Helmholtza (1821–1894), niemieckiego fizjologa, fizyka i filozofa, który sformułował zasadę zachowania energii, zajmował się mechaniką, akustyką, termodynamiką, światłem, elektrycznością i magnetyzmem. [przypis edytorski]

<sup>134</sup> *szynk* – podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

<sup>135</sup> *diaczek* – zdrobnienie od: diak; śpiewak cerkiewny. [przypis edytorski]

Pop nie zrażał się, podszedł bliżej, Wroński go schwycił za rękę.

– Żywych, żywych ratujcie, umarłym dajcie spokój. Tuż przy waszej cerkwi jest dom, gdzie dziesięć dziewczyn dzień po dniu ginie. Co noc są sprzedawane po wiele razy. Pójdź tam i zobacz, pójdź tam wieczór z krzyżem i zbaw je. Albo pójdź wieczór na stary ogród i tam zobacz tych, co po lochach żyją razem z dziećmi, kobietami, starcami. Tam pójdź. O, mój Boże. Ja nie chcę od was nic. Nic. Wy wszyscy mordujecie mnie. Wy idźcie, idźcie precz, sam chcę umierać.

Chwycił krzyż i rzucił nim z trzaskiem o ziemię. Zrobiła się scena. Pop krzyczał. Sprowadzono lekarza. Ledwie, ledwie udało się uśmierzyć popa. Lekarz mówił o gorączce, ale Wroński nie mógł się uspokoić.

– Oni mi nawet śmierć zepsują.

Była niedziela. Piękny, słoneczny dzień. Rano pani Kuźniecowa przyniosła duży pęk konwalii. Byliśmy wszyscy od południa.

Wroński leżał bez ruchu i ciężko dyszał.

Lekarz po badaniu spojrział na Kuźniecowa.

Zrozumieliśmy, że śmierć się zbliża.

Nastrój jednak był pogodny.

Wroński nie odzywał się, zdawał się jednak słuchać i gdy zniżaliśmy głos, kręcił głową.

Gdy Kuźniecowa nachylił się nad nim, wziął go za rękę i szeptem powiedział:

– A ot, i nie będzie biografii.

Wasyli Andrejewicz usiłował się uśmiechać: nie udawało mu się to jednak.

Michajłow z cicha mówił o religii. Miał on swój własny logiczny system.

– Takiego Boga, który by był poza znaną nam energią, nie ma. Tak jest. I nie może być żadnego wdania się w bieg zdarzeń. Modlitwa, post, asceza, to wszystko nie może mieć znaczenia poza nami w świecie. Ale gdy rzucam ziarno w ziemię, Bóg mi odpowiada. I to samo, gdy tworzę jakąś maszynę; to jest. Jest w nas i poza nami. Świat rozumie nasze myśli. One są z niego i on dla nich. Rzucacie dusze w przestwór i ona w nim żyje, do nas powraca nowa, śmiejąca się – jak kwiat.

Chciał mówić dalej, gdy nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem. Na progu stała wysoka kobieta lat pięćdziesięciu, w kapeluszu przybranym w dwa słoneczniki. Nie podchodząc do łóżka, krzyknęła:

– W kufierku nie ma nowych spodni. Nie znalazłam także niebieskiej koszuli. Znów powędrowało to wszystko do Cwitkesa na wódkę...

– Cicho – podniósł się Kuźniecowa.

– Matka jestem – zarekomendowała się przybyła. – Prawo matki jest święte. Ja dałam do szkół zdrowego chłopca. A tu co! Żadnej pociechy. Pieniądze nauczył się puszczać. Spodnie dziesięć rubli kosztowały.

Wroński siadł na łóżku, wyciągnął chudą rękę, chciał coś mówić, ale zakrztusił się i zaczął konwulsyjnie kaszleć.

W drzwiach pojawiła się nowa postać. Był to wysoki, łysy mężczyzna, w poszarpanym ubraniu, obłoconych butach. Długa broda spływała mu na piersi.

– Gdzie są moje pioruny? – krzyczał. – Porażę, rozbiję w proch...

Był to Wiazowski.

Kaszel Wrońskiego ustał. Coś jak uśmiech wykrzywiło mu usta, z których płynęła krew.

– W proch rozbiję – bełkotał Wiazowski.

– Syn pani umiera – szepnął do ucha matki Wrońskiego Kuźniecowa.

Spojrziała na niego z gniewem. Nagle jednak zrozumiała widać, gdyż padła na kolana koło syna.

– Nikoleńka, ptaszynko, jedynaku.

Wroński z wysiłkiem wyrwał jej rękę i zrobił ruch, jakby chciał odepchnąć.

Wiazowski mruzczał coś, podszedł do Michajłowa i chwyciwszy go za ramię, rzekł:

– Trzeba świecę... tak wypada. Kiedy moja żona umierała, była świeca.

Potem ukląkł i on także koło łóżka, ciężko wzdychając.

## 4

Chowaliśmy Wrońskiego w dwa dni później. Cmentarz leżał o parę wiorst<sup>136</sup> od miasteczka przy niewielkim klasztorze kobiecym. W piękne popołudnie szliśmy za trumną po piaszczystej drodze.

Historia Wrońskiego była bardzo prosta. Dziecko o dużej wrażliwości, o umyśle czynnym i nieustannie pragnącym światła i powietrza urodziło się w przeciętnej, zdziczałej rodzinie urzędniczej. Przeceniamy ogromnie ogólny poziom kultury ludzi żyjących zewnątrz w myśl pewnych cywilizowanych nałogów. Cywilizacja nie wchodzi w związki chemiczne z wielu istnieniami, które otacza. Pograżone są one w niej i zachowują swą całkowitą odporność. To wtórne, z odpadków cywilizacyjnych wyłaniające się zdziczenie wydaje się często rozpaczliwszym od pierwotnego. Zresztą w rodzinie Wrońskiego nie było i tych cywilizowanych szmatek. Kułak odgrywał w niej zawsze znaczną rolę.

Rodzina taka, jaka jest w obecnym świecie, musi być zawsze ośrodkiem uczuć antyspołecznych. Rodzina w stosunku do pozostałego świata odgrywa rolę pieczary, do której drapieżca znosi swą zdobycz. Póki **człowiek** utrzymuje się przeważnie z tego, co w ten lub inny sposób innym ludziom wydrze, rodzina nie przestanie być tym laboratorium uczuciowym, w którym najdrapieżniejsze, najbardziej egoistyczne, zaborcze, antyludzkie instynkty przetwarzane są na modłę sielankową, nie zmieniając swej zasadniczej treści. W imię rodziny popełnia się najwięcej podłości. Ona dostarcza największej ilości usprawiedliwień. Tu przeobraża się w obowiązek względem matki, ojca, rodzeństwa i dzieci osłonięte lub nieosłonięte łupiestwo.

W rodzinie Wrońskiego stosunki te występowały z zoologiczną wypukłością. Matka jego była nieszczęśliwą kobietą. Widziała naokoło siebie życie w całej jego nagiej prawdzie. Wyrosła w drobnym urzędniczym świecie, w którym głód życia, prawdziwie wilczy, kojarzy się z zabobonną trwogą przed życiem. Bardzo szybko spostrzegła, że mąż jej nie ma kwalifikacji niezbędnych dla utrzymania się na powierzchni tego bagniska, w które współzawodnicy wpychają siebie bez miłosierdzia. Był to sobie cichutki, zahukany człowiek. Nie wyobrażał sobie po prostu, że jest on takim samym człowiekiem, jak jego naczelnicy, przed którymi truchlał. Zaklasyfikował on sam siebie od razu i pragnął tylko spokoju, partyjki preferansa<sup>137</sup> i wieczornej knajpki. W żonie jego grała ambicja podżegana przez strach. W sercu własnym spisany miała ona twardy zakon<sup>138</sup> zoologiczny swego środowiska. Pożycie tych dwojga ludzi było drobnym, groszowym piekłem. Wywlekało się tu w gniewie wszystko. Straszniejsze od bójki były słowa obnażające przed dziećmi z niezachwianą oczywistością katechizmu wilczy stosunek do świata. Cały świat poza obrębem rodziny był zdobyczą lub nieprzyjacielem. Byli pośród tych nieprzyjaciół ludzie potężni – z tymi walczyło się chytrą. Ponad tym całym zagryzającym się mrowiskiem wreszcie żył ktoś najpotężniejszy – Bóg, i ten wymagał najwięcej kłamstw i najczujniejszej przebiegłości. Bóg ten mieszał się we wszystkie życiowe sprawy. On miał ukarać ojca Wrońskiego za przegrane w preferansa pół rubla, on miał wymierzyć sprawiedliwość kucharce za ukradzioną złotówkę, przed jego sąd powoływała pani Wrońska przekupkę, która pożyczala czasem od niej pięć rubli, płacąc na tydzień rubla procentu. Gdy rubel ten nie zjawiał się, pani Wrońska wyrażała podziw, że ziemia święta nosi cierpliwie tak obłudnego potwora, jak zaklinająca się i przysięgająca nadaremno, że odda właśnie dziś, w sobotę, baba. Do tego Boga odwoływała się kucharka Domna wobec bijącego ją po twarzy przystawa<sup>139</sup>, że to nie jej dziecko znalezione zostało utopionym w wychodku. Ten sam zaś Bóg miał świadczyć, że to właśnie Domna utopiła swoje nowo narodzone niemowlę – według słów oskarżycielki Akuliny. Bóg

<sup>136</sup> wiorsta – daw. ros. jednostka długości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

<sup>137</sup> preferans – daw. gra w karty przypominająca brydża. [przypis edytorski]

<sup>138</sup> zakon (daw.) – prawo. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> przystaw (ros.) – komisarz policji w carskiej Rosji w XIX w. [przypis edytorski]

miał rozstrzygać, zwłaszcza że dziecko to pochodzenie swe zawdzięczało pijanemu kaprynowi ojca Wrońskiego. Dźwięki modlitwy, zaklęć, zlewały się tu zawsze z dźwiękami policzków. Zwykle ktoś kogoś bił, gdy mowa była o Bogu.

Szedłem za trumną i myślałem, czy właściwie każda rodzina pomimo różnicy tonu nie przedstawia tego samego typu życia. Czy nie jest dla dzieci ojciec zawsze tajemniczą istotą, wychodzącą na łowy po zdobycz, matka – samica oczekującą zdobyczy, by nakarmić swe małe. A gdy ta troska znika, czy jest lepiej. Dziecko wyrasta w przeświadczeniu, że do niego z prawa, z mocy jakiejś przyrodniczej konieczności należy to wszystko, co jest niezbędne dla wygody życia.

Tuż za trumną szedł ojciec Wrońskiego. Po jego ryżych wąsach płynęły łzy. Płakała też i matka.

Po skończonym nabożeństwie w cerkiewce klasztornej ojciec nieboszczyka zbliżył się do nas. Czuć było od niego mocno wódkę.

– Bóg dał, Bóg wziął – powtarzał. – I zostałem jako Hiob<sup>140</sup>. I przyszedł wiatr pustyni. Nieboszczyk dobry był... Nikoleńka... – rozczulił się. – Ja człowiek sobie jestem zwykły, nauki żadnej ja tam właściwie nie przechodziłem. Nie za miedziane nawet grosze. A on nie gardził ojcem. Bywało, matka – obejrzał się – wyjdzie gdzie, a on myk i z alkierza<sup>141</sup> wyciąga butelczynę... I dostawało mu się za swoje. Małżonka moja gorących obyczajów jest, to czy uwierzycie, panowie, on za mnie nieraz i po twarzy wziął. Strasznie się ona bić lubi. Natura taka. Jak tylko co nie według woli, bić. A my ludzie wiadomo jacy? Maleńkiego gatunku ludzie. Czyż możliwe jest, aby wszystko według woli szło? Zrozumieć ona tego nie może. Córka Zenaidy Pawłowny fortepian ma. Gra, okno otwarte trzyma. Edukację i *bon ton*<sup>142</sup> pokazuje. No, czyż możliwa jest rzecz, abym ja fortepian zdobył? Albo z tymi spodniami też! Spodnie to Nikoleńka mnie oddał, że to niby moje oberwane były. Na służbę wstyd. A że u mnie podtenczas<sup>143</sup> potrzeby inne wyszły – no i tak stało się. I ze wszystkim tak. Ze strony patrzeć żal. Samej sobie odetchnąć nie da. Zawsze ją coś niepokoi, coś gniewa. Ambitny charakter ma i głowę u... u... Taką głowę trzeba by u nas isprawnikowi mieć.

Zamyślił się.

– A szkoda Nikoleńki – zaczął. – Ja, przyznam się, jużem myślał: uniwersytet skończy, posadę otrzyma, na starość weźmie. A tak co? Żył człowiek, męczył się, a po co? Nie wiadomo po co. Nie może przecież rodzić się człowiek po to, aby papiery przepisywać i w preferansa grać.

Po pogrzebie zaprosił nas Wasyli Andrejewicz do siebie – Mikołaja Wrońskiego wspomnieć i samym pożegnać się. Egzamin były ukończone i trzeba było myśleć o odjeździe. Siedzieliśmy w altance przy butelce starego dereniaku. Wasyli Andrejewicz brodę nerwowo targał.

– Archimedes<sup>144</sup> mówił: daj mi taki punkt, abym mógł na nim stanąć poza ziemią, a ja ją poruszę... A ja mówię tylko: dajcie mi taki punkcik, aby na nim życie przetrwać było można, aby błoto rosyjskie w duszę nie kapało. I z całą geometrią wykreślną i analityczną, z całą trygonometrią kulistą na próżno szukać: nie znajdziecie. Zawsze się odnajdzie taka jedna nić i za nią człowieka aż na dno ściągnie. Tego jednego ja tylko zawsze chciałem – życie przeżyć na boku spokojnie. Już ja tam niczego nie chcę, ziemi nie dźwignę. Niechby tylko krzywdy mi na duszę nie padły.

Odezwał się z nas ktoś, że wspominać go będziemy dobrym wspomnieniem.

– Ano, to tak, panowie. Staralem się osobiście nie robić nic... Ot, dwadzieścia kilka lat przeszło: chciałoby się samemu sobie coś wspomnieć. I cóż wspominać ja będę? To przynajmniej robiłem:

<sup>140</sup> *Hiob* (bibl.) – człowiek doświadczony przez Boga nieszczęściami w celu wypróbowania jego wiary, główny bohater *Księgi Hioba*. [przypis edytorski]

<sup>141</sup> *alkierz* (daw.) – mały, boczny pokój. [przypis edytorski]

<sup>142</sup> *bon ton* (fr.) – ogłada, umiejętność zachowania się. [przypis edytorski]

<sup>143</sup> *podtenczas* (daw.) – wówczas. [przypis edytorski]

<sup>144</sup> *Archimedes* (ok. 287–212 p.n.e.) – największy matematyk, fizyk, inżynier i wynalazca starożytności; twórca podstaw statyki i hydrauliki; odkrywca zasady dźwigni, znany z powiedzenia „Daj mi punkt oparcia (poza Ziemią), na którym mógłbym stanąć, a poruszę Ziemię”. [przypis edytorski]

głów nie kaleczyłem i nie wykrzywiałem, ale stałem i patrzyłem, jak inni to robili. Rady pedagogiczne przecież są. Nasłuchał się człowiek wszystkiego i zmilczał.

Nalał kieliszki.

Trąciliśmy się znowu.

– Do dna, panowie, do dna, wielki toast wznoszę...

I jeszcze raz trącił się z najbliższym sąsiadem.

– Na pohybel – rzekł – wszystkiemu temu na pohybel! Kędy człowiek pamięcią sięgnie błoto, błoto, błoto! Tu – wskazał na dom w sąsiednim ogrodzie – ksiądz mieszkał, prefekt. Wielkiego rozumu człowiek był. Z jednej strony do płotu podchodził, ja z drugiej. I tak rozmawialiśmy nieraz. Ja mu o Łobaczewskim<sup>145</sup> mówiłem, on mnie Hoene-Wrońskiego<sup>146</sup> fragmenty na pamięć przytaczał. Kanta<sup>147</sup> tłumaczył. Do pierwszej, drugiej w nocy staliśmy nieraz w letnią noc i gadali. Człowiek o Rosji zapomniał, o wszystkim. Wielka jest rzecz matematyka, panowie. Całkiem jak skrzydła, i oto na tych skrzydłach myśmy razem latali. A czy uwierzycie, panowie, że nie przeszło dwóch lat, po tej oto ulicy tego samego księdza na wozie wieźli w kajdanach – rok sześćdziesiąty trzeci był – i że ja tu obok furtki stałem i temu człowiekowi się nie uklonił. Patrzył na mnie tymi niebieskimi oczami. Siwa głowa mu się trzęsła. Kozak któryś podbiegł i patriotyzm wykazał: w kark mu dał. A ja stałem jakby całkiem nieznanym.

– Wasyli Andrejewicz – odezwał się kobiecy głos spoza nas – a cóż ty tak! A o tym już nie pamiętasz, żeś na drugi dzień do niego do Braclawia do więzienia pojechał i do Kijowa do generał-gubernatora jeździł.

– To już ty mi tak kazała.

– Nieprawda – zacerwieniła się żona, wchodząc. – Jak możesz nawet tak mówić. Uczciwszego człowieka i odważniejszego, jak ty, nigdy nie widziałam.

– Daj pokój, Wiera. Sam siebie człowiek najlepiej zna, i jeszcze raz, panowie, na pohybel temu wszystkiemu!

Podano drugą butelkę.

– I to jeszcze powiem, panowie, nie powinien nigdy człowiek siebie samego oszczędzać. Z geometrycznego punktu widzenia na samego siebie trzeba patrzeć: i cóż ja jestem, mizerny punkcik, aby warto było o mnie dbać. I pamiętać, że **tamto** właściwie jest to nieskończone, a nie ja.

Z ogrodu dobiegły głosy bawiących się dzieci.

– I trudno, panowie – mówił Kuźniecowa – nie o sobie, ale o takich oto główkach złocistych, o kędzierzawych z geometrycznego punktu widzenia pomyśleć. Ale to wam przysięgam, że nadejdzie czas, a nic innego i im nie powiem: człowiek nie powinien siebie oszczędzać.

Pożegnaliśmy się z Wasylem Andrejewiczem.

Chcieliśmy spędzić pomiędzy sobą tę ostatnią, krótką letnią noc. Pobiegłem do domu spakować rzeczy i pożegnać się z rodzicami Adasia. Pomiedzy nim a matką i ojcem stosunki były bardziej niż kiedykolwiek naprężone. Adaś miał wyjechać na kondycję<sup>148</sup>, aby uniknąć nieustannego szpilowania. Na mnie pan Bielecki też zezem patrzył, a miarkował się tylko przez wzgląd na majątek mojego ojca. Sytuacja zaostrzyła się od czasu przygody z księdzem Wincentym.

Istniał zwyczaj, że maturzyści szli do księdza przed pierwszym egzaminem prosić o błogosławieństwo.

---

<sup>145</sup> *Łobaczewski, Nikołaj* (1792–1856) – rosyjski matematyk polskiego pochodzenia, twórca (niezależnie od Jánoša Bolyaia) geometrii nieeuklidesowej. [przypis edytorski]

<sup>146</sup> *Hoene-Wroński, Józef* (1776–1853) – filozof, matematyk, fizyk, ekonomista i prawnik, przedstawiciel mesjanizmu polskiego (twórca samego pojęcia „mesjanizm”); Hoene był pochodzenia niemieckiego, nazwisko Wroński przybrał później, pisał wyłącznie po francusku; był przeciwnikiem ideowym Mickiewicza (również z powodu „zawłaszczenia” i przededefiniowania terminu mesjanizm). [przypis edytorski]

<sup>147</sup> *Kant, Immanuel* (1724–1804) – niem. filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czołowa postać nowożytnej filozofii. [przypis edytorski]

<sup>148</sup> *kondycja* (daw.) – posada nauczyciela domowego lub korepetytora, zwykle związana z wyjazdem na wieś. [przypis edytorski]

Zbierano zazwyczaj składkę i tę po całej ceremonii doreczano księdzu w jakim haftowanym pularesie<sup>149</sup> lub wyszywanej paciorkami portmonetce. Ksiądz za to po skończonych egzaminach odprawiał uroczystą mszę z kazaniem specjalnie do młodzieży zwróconym. W tym roku jednak ksiądz Wincenty niedomagał. Doktor zakazał mu odprawiać nabożeństwa ze względu na wilgoć i chłód panujący w kościele.

Do składek zabrakło pretekstu...

Pomimo to nabożniejszym wydawało się świętokradztwem otrzymać błogosławieństwo gratis.

Pierwszy podszedł do księdza jeden z braci Turskich. Podczas gdy ksiądz mruzczał swoje zaklęcia, Turski wsunął mu do rękawa banknot.

Ksiądz natychmiast zorientował się w sytuacji i każdemu następnemu podstawił już rękaw tak, aby manipulacja łatwiejsza była do wykonania.

Wszystko było dobrze, póki po błogosławieństwo podchodzili chłopcy z rodzin przestrzegających tradycji i przechowujących ideały narodowe.

Nadeszła jednak kolej na Adasia.

Tu zaszło coś nieprzewidzianego.

Ksiądz mruzczał już przez długi czas łacińskie wyrazy, ale do rękawa nie przybywało nic. Przypuszczając, że Adaś nie mógł na czas przygotować pieniędzy, ksiądz od jednego błogosławieństwa przechodził do drugiego, deklamował całą litanię. Adaś stał nieporuszony i przyglądał się księdzu.

Później ksiądz Wincenty zapewniał, że mrugał on nawet lewym okiem.

Wreszcie sytuacja stała się niemożliwa: czułem, że parsknę śmiechem. Chcąc uniknąć tego, wybiegłem. Jakaś stojąca przed księżym gankiem dewotka twierdziła nawet, że trzasnąłem drzwiami.

Po chwili wybiegł Adaś, czerwony od powstrzymanego śmiechu.

Długi czas tego dnia nie mogliśmy spojrzeć sobie w oczy bez śmiechu, przypominała się nam bowiem twarz księdza Wincentego.

W domu tymczasem zbierała się burza.

Nincia i Bincia miały wypieki, kiedyśmy wchodzili.

Pani Bielecka leżała na otomanie<sup>150</sup>, trzymając głowę w zawieszonym na haku rondlu. Był to niezawodny środek na migrenę i nieomylny znak cierpień duchowych.

Pan Bielecki chodził bez krawata i chwycił się za gardło, ukazując w ten sposób, że się dusi.

Gdy Adaś wszedł, usłyszałem od razu krzyk:

– Wszyscy Bieleccy obracają się w grobie.

Mój czcigodny kuzyn i jego rodzina nudzili się potwornie. Nuda zaś usposabia znakomicie do wszczynania tragedii rodzinnych.

Wszyscy, nawet lecząca się rondlem ciocia Bielecka, rozkoszowali się lubieżnie wprost sposobnością wplecenia w życie monotonne i bezbarwne czegoś podobnego do wydarzenia.

Przekonania są potrzebne, szczególnie w rodzinnym życiu, jako ideowe uzasadnienie i upozorowanie scen historycznych, których znędzniałe, pozbawione wrażeń nerwy łakną jak pokarmu.

Teraz cała rodzina drżała, aby sposobność nie wysliznęła się. Nie było jednak o to obawy: i my z Adasiem byliśmy rozstrojeni przez egzamina i chorobę Wrońskiego.

– Czy wiesz – wołał pan Bielecki – że ja, twój ojciec, rumieniłem się za ciebie? Pytano mnie, czy to są staropolskie zasady mojej rodziny. I nie umiałem odpowiedzieć. Stałem upokorzony i myślałem, za jaki grzech spada na mnie jeszcze i ta korona cierniowa. Jeżeli to szlachetna дума rodowa jest tym grzechem, który karzesz, Panie, w krwi mojej, to zważ, że my szcycimy się tym tylko, żeśmy wiary Twojej do ostatniej krwi naszej bronić byli gotowi.

Tu zachłystnął się i zrobił gest duszenia.

---

<sup>149</sup> *pulares* (daw.) – portfel. [przypis edytorski]

<sup>150</sup> *otomana* – rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

– Adasiu, dziecko moje – odezwała się zbolalym głosem pani Bielecka – opamiętaj się. Jesteś na złej drodze, szczycisz się ze swego wykształcenia i zapewne wstyd ci, że masz tak głupią matkę, ale jaka jestem, taką już mieć musisz, a mój własny chłopski rozum mam. Ksiądz jest słusznie rozgoryczony. Dojdzie do ciotki Walentyny i cofnie nam pomoc, a stryj Emilian taki nabożny.

– Hrabina Pelagia odskłoniła mi się tak chłodno dziś, że nie odważę się pójść na ten podwieczorek.

Familia była w swoim żywiole.

Adaś, ogłuszony, zakrzyczany, w pewnej chwili całkiem machinalnie zagwizdał.

Pani Bielecka zerwała się.

– Precz – rzekł pan Bielecki – to są chłopomańskie<sup>151</sup> maniery. Ryłskiego<sup>152</sup> drogą pójdziesz, precz mi z oczu, uszanuj siwe włosy ojca. Tu jest polski dom.

– Który się iluminuje na cześć ocalenia cesarza – krzyknął Adaś. – Tu u nas nie ma żadnej Polski. Co ojcu po jakiejś Polsce, to nie jest as atutowy ani znaczona karta.

Pan Bielecki padł na krzesło i zamknawszy oczy, zaczął ruszać nogami jak człowiek tonący.

– Kona – krzyknęła Nincia.

– Zabiłeś ojca – jęczała pani Bielecka.

Adaś wybiegł na miasto.

Ze mną państwo Bieleccy byli też sztywni, zwłaszcza pięć piękna, od czasu gdy na wątpliwość pani Bieleckiej, czy ojciec zaaprobuje moje zachowanie wobec księdza, odpowiedziałem, że znam mego ojca i że dla niego właśnie, jako dla rozumnego, religijnego człowieka, wszelkie szalbierstwo religijne jest głęboko wstrętne i wzbudza niesmak.

– Księdza Wincentego szanuje hrabina Pelagia.

– Ojciec mój nie szanuje za to hrabiny Pelagii – rzekłem.

Słyszałem potem, jak pani Bielecka wołała do męża:

– Czy pozwolisz temu młodzikowi znieważać swoją żonę...

Pożegnaliśmy się więc z ciotką i kuzynkami bardzo chłodno, natomiast pan Bielecki zaszczycił mnie rozmową.

– Dziwię się – mówił – kuzynowi Oktawiuszowi, że kuzynka do naszych szkół do Galicji nie wysłał. Bo że my, chudopachołki, musimy znosić, że nasze dzieci mieszały z tą dziczą, to inna sprawa. Ale kto może... zapewne, zapewne... Kuzyn Oktawian statysta jest... Senatorska głowa, zawsze mówiłem to, ale ciężko, panie dobrodzieju, ciężko patrzeć na to. Czy to Adaś taki był? Dzisiaj kuzyneczek inaczej na to zapatruje się, ja wiem. Demokracja, zasady! Panie Boże miły! Byłem i ja młody, panie dobrodzieju. Nie ten jest Bóg, który w Sykstyńskiej kaplicy<sup>153</sup>, lecz ten, co z rozwichrzoną brodą, z mieczem w dłoni na czele ludów. Tak! Tak! Ale z doświadczenia i szczerego przekonania mówię, jest różnica między nami. U nas nawet taki Mierosławski<sup>154</sup> był pan

<sup>151</sup> *chłopomani* – tu: ruch powstały w gronie studentów Uniwersytetu Kijowskiego, którzy w latach 50. i 60. XIX w., zafascynowani folklorem i codziennym życiem chłopów, dążyli do zbliżenia z ludem. Uważali, że szlachta prawobrzeżnej Ukrainy to spolszczeni Ukraińcy, którzy powinni powrócić do swojego narodu. Opuścili polskie organizacje studenckie i założyli grupę ukraińską. W 1860 wskutek policyjnego raportu zarzucającego im działalność komunistyczną, z powodu szerzenia wśród chłopów „szkodliwych myśli o wolności i równości”, objęci dochodzeniem i szykanami, co zostało nagłośnione przez ros. emigracyjną gazetę rewolucyjną „Kołokoł”. Głównymi przedstawicielami tego ruchu byli Wołodymyr Antonowycz, Tadej Ryłski, Pawło Czubynski. [przypis edytorski]

<sup>152</sup> *Ryłski, Tadej Rozestawowicz*, pol.: *Tadeusz Zbigniew Ryłski* (1841–1902) – ukraiński działacz społeczno-kulturalny wywodzący się z polskiej rodziny szlacheckiej, etnograf; należał do grupy tzw. chłopomanów, grupy inteligentów poszukujących zbliżenia z miejscowym ludem, inicjatorów ukraińskiego odrodzenia narodowego; po ślubie z chłopką ukraińską przyjął prawosławie. [przypis edytorski]

<sup>153</sup> *Sykstyńska Kaplica* – papieska kaplica w Pałacu Watykańskim, wybudowana w XV w. z fundacji papieża Sykstusa IV, słynna przede wszystkim z fresków zdobiących jej sklepienie, namalowanych przez Michała Anioła. [przypis edytorski]

<sup>154</sup> *Mierosławski, Ludwik* (1814–1878) – generał, uczestnik powstania listopadowego, członek emigracyjnego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego; współpracował z Mazzinim; miał być przywódcą zaplanowanego na 1846 powstania we wszystkich trzech zaborach, jednak wskutek denuncjacji hr. Ponińskiego został aresztowany przez policję pruską; w czasie Wiosny Ludów był dowódcą powstania w Wielkopolsce w 1848 oraz na Sycylii i w Badenii w 1849; w 1860 nawiązał bliską współpracę z Garibaldim; w 1863 był dyktatorem powstania styczniowego z ramienia Tymczasowego Rządu Narodowego, porażki militarne oraz konflikt z Langiewiczem

z fantazjami. A tu ta ich demokracja, panie, czyste chamstwo! Wy sobie, panowie młodzi, myślicie, że my już nic nie wiemy, o niczym nie myślimy. A my po swoich gabinetach, po naszych dworach, dzień i noc, kuzyneczku, myślimy. I wspomnisz, kuzyneczku, moje słowa. January Bielecki ci to mówi. Brak zasad ich zgubi, podstaw nie ma. I nie może inaczej być: nie ma godności ludzkiej, wiary nie ma i patriotyzmu, miłości ojczyzny. U nich nawet samego tego wyrazu nie ma: ojczyzna. Uważasz, kuzyneczku, brak zasad. I rozsypie się to jeszcze wszystko. Instynktu społecznego nie ma. Dziś ty urzędnik, pan, a jutro chłop! I przyjdzie taki czas. Jak Grecja w starożytnym Rzymie. Okaże się, że bez nas ani na krok. I my czekamy teraz. Nie, tylko czekać i zasad przestrzegać. Kuzyn Oktawian spenetrował to już wszystko pewno. Ale zasady, kuzyneczku, January Bielecki to mówi. I ja w młodości różnie tam. Poglądy, filozofie. Ale dziś jedną nogą w grobie już stoję, mówię jak ten mędrzec: pół wiedzy odwodzi od Boga, cała wiedza powraca do niego. I tak jest. Starzec doświadczony ci to mówi. Na drogę życia przyjm tę radę od doświadczonego krewnego: siłą naszą są nasze zasady.

Pamiętam ich, tych statystów z dworców wiejskich i pałaców. Porujnowani obywatele i magnaci, od zielonego stolika wstając, przy którym grali w hazardowego diabełka czy pocziwego preferansika, wracając z kolacji z baletnicami lub z jarmarku, gdzie dawali ujście starszłacheckiemu temperamentowi, lub też odrywając się od ulubionego niekończącego się nigdy pasjansa, jaki rozkładali, niezmordowani, po osiem, dziesięć godzin na dobę, wszyscy oni mieli to jedno słowo na ustach; tym dziwniejsze, że naprawdę przekonani byli, że w ich życiu odgrywa ono jakąś rolę. Wierzyli, że bronią oni tych jakichś zasad, dochowują im wiary. Nie wątpili o wyższości swojej i swego środowiska, zdawało im się, że panują nad życiem, że mają prawo wzruszać ramionami nad wszystkim i lekceważyć wszystko.

O, jakże tu niedostrzegalnie, codziennie, spokojnie, z łagodnym uśmiechem na ustach i gołębią słodyczą w sercu mordowano dusze i umysły.

Tu układały się i powtarzały dziwne legendy.

Z dumnym uśmiechem mówiono sobie, jak rozbił na głowę Klaczko<sup>155</sup> Bismarcka<sup>156</sup>. Jego jedyne, jego przenikliwości i szlachetnej wierności zasadom boi się żelazny kanclerz.

Nie dostrzegano, nie chciano dostrzegać, że z dnia na dzień wyrasta naokoło nas nowe, nieznające już nas, nieznane dla nas i niezrozumiałe życie.

To wszystko były tylko zmyślenia chwili, wybryki mody, piana zdarzeń powierzchownych i nic nie znaczących.

Dzisiaj ja, rozbity i wyrzucony poza życie człowiek, przeklinam cię jeszcze, ty roztkliwiająca dobroci polskich rodzin.

Ale na co się zda gniew i rozgoryczenie.

Tak być musiało i musi.

Tylko lękam się, że nadejdzie dzień, w którym zbudzimy się nagle pośród ludzkości niepotrzebni i bezradni.

Z jakim pańskim spokojem, z jaką poufałą dezynwolturą<sup>157</sup> sądów tu klepano po ramieniu idee i ludzi.

---

skłoniły go do rezygnacji z godności dyktatora, powrócił na emigrację do Francji. [przypis edytorski]

<sup>155</sup> *Klaczko, Julian*, pierwotnie *Jehuda Lejb* (1825–1906) – polski publicysta pochodzenia żydowskiego, historyk sztuki i literatury, uczestnik powstania wielkopolskiego; pisał gł. po francusku, 1849–70 na emigracji w Paryżu, związany z Hotelem Lambert; po wybuchu powstania styczniowego włączył się w działalność dyplomatyczną; zyskał rozgłos europejskiego publicysty artykułami na temat agresywnej polityki Prus i Rosji wobec Danii i Polski; był autorem głośnego studium *Dwóch kanclerzy* (1875–76), ostro zwalczającego Bismarcka; austriacki radca dworu przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych (od 1870), poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego; członek Akademii Umiejętności w Krakowie (1872), korespondent Akademii Francuskiej (1888). [przypis edytorski]

<sup>156</sup> *Bismarck, Otto von* (1815–1898) – niem. polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich, w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza. Prowadził pozbawioną sentymentów politykę z pozycji siły, zyskując miano Żelaznego Kanclerza. [przypis edytorski]

<sup>157</sup> *dezynwoltura* – swobodne, nieco lekceważące podejście do jakiejś kwestii. [przypis edytorski]

Pasjansowy mędrzec lub nudzący się pomiędzy jedną a drugą partyjką, jedną a drugą budą jarmarczną męczennik narodowy z uśmiechem pobłażliwym przyglądał się, gdy syn jego wstawał z głową rozpaloną od dzieł Darwina albo Bouckle'a<sup>158</sup>.

A jak lekceważono, jak umiano wszczepić lekceważenie dla człowieka, dla myśli lub dla godności osobistej.

Ile razy i z prawdziwym smakiem opowiadał stryj Florian, że w szkołach biją różgami. Pamiętam, jak dowcipkował, gdy w Odessie pannie Wrzosek, aresztowanej za urządzenie jakiegoś patriotycznego nabożeństwa, miano dać w policji kilkadziesiąt plag<sup>159</sup>.

Było w tym prawdziwe, a pozbawione złośliwości lubowanie się. Odżywała psychologia starostów kaniowskich<sup>160</sup> i błaznów w mitrze „Panie Kochanku”<sup>161</sup>.

Pamiętam, jak zdziwił się stryj, gdy ciotka Emilia występowała w obronie znieważonej paniutki.

– Ze wszystkiego można się przecież śmiać. Gdyby już człowiekowi żartować nie było wolno!

I żartowali oni bez ustanku z siebie, przyszłości dzieci swych, z nauki, z całego świata. Nikt tu nigdy nie był szczery z samym sobą. Prawda wewnętrzna i zewnętrzna były raz na zawsze usunięte z tej atmosfery myślowej.

Żarty stryja Floriana były sławne. Obmyślał on je całymi tygodniami, całymi tygodniami wprowadzał w wykonanie.

Pamiętam takie zdarzenie:

Przed bramą naszego pałacu ciągnął się wielki trakt pocztowy. Stryj siadywał tu i prowadził gawędy z przechodniami.

Był upał. Kupiec zbożowy, stary Żyd, z którym rodzina nasza miała interesy przez lat kilka, zatrzymał się w przejeździe i po chwili rozmowy poprosił o szklanek wody. Stryj zadzwonił na lokaja. I gdy Żyd wypił, zapytał, mrugając na służącego:

– Wsypałeś?

– Wsypałem – odpowiedział wytresowany sługa.

Zelman, staruszek sześćdziesięciokilkoletni, rozchorował się z imaginacji<sup>162</sup>: przekonany był, że wypił w wodzie coś trefnego<sup>163</sup>. Stryj Florian miał ustaloną reputację.

Szlachta zaśmiewała się, słuchając opowiadania, a gdy w parę miesięcy syn Zelmana, przyjechawszy na wakacje do ojca z uniwersytetu, posłał stryjowi wyzwanie, uznano to za doskonałą anegdotę.

– Syn starego Zelmana... ha, ha, Mojsze Zelman.

Miałem wtedy siedemnaście lat. Kazałem osiodłać konia i pojechałem do miasteczka, w którym mieszkał Zelman.

Starego nie było w domu. W zastawionym meblami salonie przyjął mnie młody człowiek o bladej twarzy, otoczonej czarnym zarostem, i wielkich, smutnych oczach.

– Jestem Kaniowski – rzekłem – mój stryj dopuścił się wobec ojca pana niegodnego czynu. Wzrósł w pojęciach, którym godność ludzka była zawsze całkiem obca. Jeżeli pan chce, będę się bić z panem.

---

<sup>158</sup> *Buckle, Henry Thomas* (1821–1862) – ang. filozof i historyk kultury, jeden z gł. przedstawicieli pozytywizmu w historiografii, twórca podwalin socjologii; autor dzieła *Historia cywilizacji w Anglii* (1857–1861). [przypis edytorski]

<sup>159</sup> *plaga* (daw.) – zwykle w lm: uderzenie batem lub kijem; baty. [przypis edytorski]

<sup>160</sup> *starosta kaniowski* – Mikołaj Bazyli Potocki herbu Pilawa (ok. 1706–1782), jeden z największych warcholów czasów stanisławowskich, uosobienie awanturnictwa, pijaństwa, rozpusty i sadyzmu wobec poddanych, połączonych z gorliwą pobożnością. [przypis edytorski]

<sup>161</sup> *Panie Kochanku* – przydomek księcia Karola Stanisława Radziwiłła (1734–1790), wojewody wileńskiego, znanego z barwnego, hulaszczego trybu życia, popularnego wśród drobnej szlachty. [przypis edytorski]

<sup>162</sup> *imaginacja* (z łac.) – wyobraźnia. [przypis edytorski]

<sup>163</sup> *trefny* – niekoszerny; niespełniający przepisów Talmudu dotyczących zachowania rytualnej czystości. [przypis edytorski]

Zelman uśmiechnął się, wyciągnął do mnie rękę.

– No, i jakież to byłby sens, gdybym ja strzelał do pana, a pan do mnie. Pańskiego stryja ja chciałybym nauczyć, kiedy on tego nie wie, że Żyd jest człowiek. Mój ojciec nikogo nie skrzywdził, jego jedyna wina jest, że on panom z sobą żartować pozwalał. On i teraz na mnie z wielkim gniewem się rzucił, on się przeląkł, żeby mnie się co nie stało. On nawet do pańskiego ojca chciał jechać, pojechał może, choć go prosiłem. A z panem po co ja się mam bić? Z panem mnie bardzo przyjemnie się zapoznać.

Zaczęliśmy rozmawiać.

Młody Zelman był poetą. Później, kiedy nie żył on już, w całej Rosji zaczytywano się jego lirykami. Był w nich straszliwy smutek i gorąca chęć życia, miłość szczęścia i przekonanie, że nie ziści się ono.

Mówiliśmy o literaturze i położeniu Żydów.

Pomiędzy innymi Zelman rzekł:

– Pan mi wybaczyć, na waszej polskiej dobroci można się zawieść, wy, jak kaprys taki przyjdzie, pachciarza<sup>164</sup> nawet do stołu razem z sobą posadzicie. Tylko niech on nie wyobraża sobie, że jemu to się należy. Wy jesteście dobrzy ludzie, wy mówicie: i dla Żyda trzeba być dobrym.

Pochyliłem głowę.

– Niech pan się nie obraża – mówił – ja przecież nie do pana stosuję, ja pana nie znam, zresztą pan młody jest. Ale mi smutno, że wam jest tak źle, a wy przecież tak mało jesteście ludźmi.

Gdy powróciłem, przy podwieczorku sprawa Zelmana była znowu tematem rozmowy.

Coś musiało zająć, bo ojciec był pochmurny, stryj Florian nadrabiał miną.

– Ależ proszę cię, proszę cię, cóż mi to szkodzi – mówi stryj – ja mogę nawet do niego we fraku pojechać i w białym krawacie. Pierwszy raz coś podobnego słyszę, jutro Tychon albo Spirydion mi sekundantów przyśle.

Kiedy na zapytanie ojca odpowiedziałem, gdzie byłem, wybuchła burza.

Stryj Florian wstał z krzesła i podszedł do mnie, nisko mi się kłaniając:

– Dziękuję ci za naukę, serdecznie dziękuję. Jaja dziś od kury mędrsze. Cóż teraz, do kąta mi pójść każesz, czy może na kobiercu rozciągniesz? Proszę cię, proszę, nie żenuj się. Cóż? Ja przecież, choć stryjem twoim jestem, łaskawy chleb u ojca twojego jem, dlaczego masz mnie oszczędzać? I owszem, pozwól sobie.

Ojciec wstał od stołu i wyszedł.

Było mi nad wszelki wyraz przykro. Jakże nienawidziłem tej obłudnej, płacziwej manieri, tego drapowania<sup>165</sup> się w płaszcz męczeńskie.

Wieczorem w ogrodzie spotkała mnie ciotka Emilia:

– Uraziłeś stryja, sam wiesz, jakie on ma złote serce. Kiedy wyszedł, ocierał łzy. Rozumiem cię, ale wierzaj mi, że przejmujesz się nadmiernie. Ci ludzie tego nie czują tak. Żyd ten przeląkł się tylko o zdrowie.

Myślałem z pewnym strachem o lecie, o trzech długich miesiącach, które wypadnie teraz spędzić w tym otoczeniu. Już podczas świąt Wielkiejnocy ciotka patrzyła na mnie z wyrzutem. Uchyliłem się stanowczo od bywania w kościele.

Ojciec zagadnął mnie nieznacznie.

– Ciotka gryzie się, wiesz, jak ona jest przyzwyczajona do tych form. Jej trudno się dziwić, nie pozostało jej nic prócz dziecka, a przeżyła zbyt wiele.

Było mi trudno mówić o tym z ojcem. Nie śmiałem nigdy być z nim całkiem szczery.

– Ja nie chciałbym martwić ciotki – powiedziałem – ale nie chcę też nikogo oszukiwać.

Nie wracaliśmy do tego przedmiotu.

---

<sup>164</sup> *pachciarz* (daw.) – dzierzawca (np. karczmy, bydła, ziemi), najczęściej Żyd. [przypis edytorski]

<sup>165</sup> *drapować* – dosł. układać tkaninę w dekoracyjne fałdy; *drapować się*: prz.: stroić się, przebierać. [przypis edytorski]

Ojciec mój był religijny po swojemu. Latami całymi nie pokazywał się w kościele, ale widziałem go raz czy dwa, jak klęczał, bił się w piersi, z oczu mu płynęły łzy.

Raz było to na jakimś pogrzebie, a drugi raz zaszliśmy do jakiegoś kościoła w przejeździe. Nie było w nim nikogo.

Tego dnia modlitwa ta bez świadków zrobiła na mnie przejmujące wrażenie.

Gdyśmy wyszli, ojciec wziął mnie za rękę.

– Siebie tylko nigdy nie powinien zdradzać człowiek. Nigdy nie powinien w żadnych okolicznościach zdradzać siebie. Nie powinno się być rozumniejszym od sumienia.

Trudno mi było zrozumieć ojca i do dziś dnia nie jestem pewny, czy czytam naprawdę w poplątanym i pozacieranym piśmie wspomnień, czy łudzę się tylko. Gorąco kochałem mojego ojca. Trudno mi zrozumieć go i sądzić. W gruncie rzeczy na dzień świadomości pozostał on tym samym, czym był dla mnie, kiedy byłem dzieckiem: przedmiotem religijnej czci. Buntowałem się przeciwko niemu i myśli moje wyszły poza okrąg jego świata. Niepotargany jednak został serdeczny związek dni dziecinnych. Myślę, że uczucie głęboko wrośnięte w duszę nie zaciera się nigdy. Istnieją u nas sfery wzruszeń i uczuć, w których do zgonu pozostajemy dziećmi.

## 5

– Pan Bóg, kiedy stwarzał Kaniowskich, był roztargniony i przesolił – mawiał stryj Florian.

Innym razem wywodził nas od pestki z tego jabłka, którym udławił się Adam.

– Każdy Kaniowski sterczy w świecie tak, jak kość w grdyce. Rzuć go do młyna, koła i kamienie popękają, a mąki nie będzie. Istotnie z twardego materiału wykrzesala nas natura.

– Krwi skandynawskiej więcej w żyłach pozostało – mówił jeden z moich krewnych, mocno przekonany o normandzkim pochodzeniu polskiej szlachty.

Życie mogło i umiało nas łamać, ale nie zdołało nigdy rozpuścić w sobie, zasymilować. Pozostawała zawsze jakaś oporna, nietutejsza reszta.

Jak daleko w przeszłość sięgnąć, Kaniowscy darli koty z otoczeniem swoim i pomiędzy sobą.

Opowiadają, że gdy w XVII wieku jakiś biskup naszego nazwiska krewniaka swego za niedowiarstwo przeklął, ten go z własnego pałacu w biały dzień porwał, do swojego zameczku uwiózł i tam tak długo w lochu morzył, postem i samotnością usiłując prałata na rzecz Kopernikowskiej heretyckiej teorii czy innych „nowinek” przekonać, aż wreszcie stary i uparty ksiądz ducha wyzionął, a awanturniczy wolnomysliciel uchodzić musiał z kraju i – jak wieść mówi – poturczył<sup>166</sup> się, do wielkich godności doszedł, a wreszcie spisek przeciwko sułtanowi uknuwszy, na palu twardego żywota dokonał.

Jeden z jego potomków, że od komunii przez księdza publicznie w kościele odprawiony został, Jezusa Chrystusa, jeżeli wie, co godność szlachecka, na rękę wyzwał, a nie doczekawszy się go na posterunku, do kościoła samotrzeć<sup>167</sup> z kozakami wjechał, do cudownego krucyfiks nad wielkim ołtarzem z pistoletów strzelił, „nic prócz drzewa” – mruknął i koniem zawrócił; zastępującego mu drogę przeora obalił, zakonników roztrącił i zdrów, i cały miasteczko opuścił. Tenże sam Kaniowski przywódcą miał być jednej ze zbuntowanych watah kozackich, z Żeleźniakiem i Gontą<sup>168</sup> w przyjaźni był i pod nazwą Ataman Czort trzymał w strachu szlachtę i regimenty<sup>169</sup> imperatorowej rosyjskiej<sup>170</sup>.

---

<sup>166</sup> *turczyć się* – przyjmować język, obyczaje i wiarę Turków, stawać się Turkiem. [przypis edytorski]

<sup>167</sup> *samotrzyć* (daw.) – sam z dwoma towarzyszami; we trójkę. [przypis edytorski]

<sup>168</sup> *Żeleźniak i Gonta* – Maksym Żeleźniak (ok. 1740–1768) i Iwan Gonta (1705–1768), przywódcy koliszczyzny (1768), antyszlacheckiego powstania chłopów ukraińskich, krwawo stłumionego przez wojska polskie i rosyjskie. [przypis edytorski]

<sup>169</sup> *regiment* – daw.: pułk. [przypis edytorski]

<sup>170</sup> *imperatorowa rosyjska* – Katarzyna II Wielka (1729–1796), żona cesarza Piotra III, po dokonaniu w 1762 zamachu stanu samodzielna cesarzowa Rosji. [przypis edytorski]

Inny z moich przodków, przez Katarzynę<sup>171</sup> na Ural wywieziony, był sekretarzem i adiutantem Puchaczewa<sup>172</sup>. Jego zaś brat rodzony był przez siedem tygodni teje Katarzyny kochankiem. Jak kronika skandaliczna dworu petersburskiego opowiada, na wielkiej maskaradzie wystąpił w rydwanie ciągniętym przez sześciu kamerherów<sup>173</sup>, rżących z uciechy i z bólu, gdyż nieskąpo smagał ich po spasyłych łydkach surowcowym biczem. Ta sama kronika mówi jednak, że gdy tę samą metodę surowcową w jakiejś sprzeczce zastosował względem białych ramion swej kochanki, znikł nagle z petersburskiej powierzchni, a prawdopodobnie i ze świata, gdyż nigdy już potem nic o nim nie słyszano.

Jego syn natomiast był honorowym obywatelem jedynej i niepodzielnej republiki francuskiej i przyjacielem Marata<sup>174</sup>, a umarł w więzieniu jako oskarżony o współudział w Sprzysiężeniu Równych Grakchusa Babeufa<sup>175</sup>.

Rodzony zaś brat tego spiskowca, dziesięcioletnim chłopcem przez Pawła<sup>176</sup> do Berezowa<sup>177</sup> wysłany, potem z drogi wrócony i kamerpaziem<sup>178</sup> mianowany, w roku 1812 zasłynął tym, że ogłosił swoją między Napoleonem a Aleksandrem I<sup>179</sup> neutralność i na dostawach do armii oraz skupowaniu od braci stryjecznych, którzy regimenty dla Korsykanina szykowali, folwarków i kluczów<sup>180</sup> olbrzymiej się fortuny dorobił.

Uważał państwa i narody za fikcję, wojnę za chorobę umysłową, księży nazywał wieszczbierzami i płacił im za to, by się za niego nie modlili. W majątkach swych zaprowadził sądy rozstrzygające zatargi pomiędzy bydłem i dozorującą je czeladzią, miał o wszystkim własne i niepodobne do żadnego rozpowszechnionego zdanie.

Braci stryjecznych za przywiązanie do Napoleona raz na zawsze za obłąkanych uznał. „Za rezydentów bym ich nie przyjął – mówił – więc sobie po różnych San Domingach i Pirenejach poginęli”. Dowiedziawszy się jednak, że po Celestynie pozostał syn z niepobłogosławionego przez Kościół związku z Francuzką, która dla swego kochanka z jakiegoś klasztoru uciec miała, sprowadził matkę i dziecko do kraju, wreszcie dziecko usynowił, a z matką się ożenił. Ze związku tego miał trzech synów i dwie córki.

Rodzinę swoją wychowywał w myśl zasady: do mojego domu nikt nie śmie się wtrącać, ja sam ojciec, sam sędzia, sam papież i sam Trójca Święta. Żonie i córkom sam obmyślał suknie, gdyż mody zmieniały się zbyt szybko. Synów usiłował wychowywać w pogardzie dla marzycielstwa, płacziwości i dewocji. Żaden z nich mu się jednak dobrze nie udał. Pierwszego rozczarowania przysporzył mu syn przybrany, który zrazu w Petersburgu świetną karierę rozpoczął, lecz w 1825 roku w spisek grudniowy<sup>181</sup> się wmieszał, w cudowny sposób na okręcie angielskim uciec zdołał, na lat kilka zaginął

<sup>171</sup> *Katarzyna II Wielka* (1729–1796) – żona cesarza Piotra III, po dokonaniu w 1762 zamachu stanu samodzielna cesarzowa Rosji. [przypis edytorski]

<sup>172</sup> *Puchaczew*, dziś popr.: *Pugaczow*, *Jemieljan* (1742–1775), doński Kozak, który podając się za cudownie uratowanego cara Piotra III, wszczął powstanie chłopskie (1773–75), które ogarnęło całą południowo-zachodnią część cesarstwa rosyjskiego. [przypis edytorski]

<sup>173</sup> *kamerher* (z niem.) – szambelan dworu. [przypis edytorski]

<sup>174</sup> *Marat, Jean-Paul* (1743–1793) – fr. polityk i dziennikarz okresu Rewolucji Francuskiej, jakobin, zabity przez Charlotte Corday. [przypis edytorski]

<sup>175</sup> *Babeuf, François Noël* (1760–1797) – radykalny polityk fr. pochodzenia chłopskiego; w 1789 przyłączył się do rewolucji, zorganizował tzw. Sprzysiężenie Równych, działał na rzecz zradkalizowania rewolucyjnych przemian, zyskał sobie przydomek Grakchusa (rytm. trybuna ludowego z II w. p.n.e., dbającego o dobro plebejuszy). [przypis edytorski]

<sup>176</sup> *Paweł I Romanow* (1754–1801) – cesarz Rosji (od 1796), następca Katarzyny II. [przypis edytorski]

<sup>177</sup> *Berezowo* – miasto na Syberii, nad rzeką Ob, miejsce zsyłek. [przypis edytorski]

<sup>178</sup> *kamerpaż* (z niem.) – paż nadworny, pełniący służbę przy boku monarchy. [przypis edytorski]

<sup>179</sup> *Aleksander I Romanow* (1777–1825) – cesarz Rosji (od 1801), król Polski od 1815 (Królestwo Polskie), syn i następca Pawła I; przeciwnik Napoleona Bonaparteego podczas wielkiej inwazji na Rosję (1812). [przypis edytorski]

<sup>180</sup> *klucz* (daw.) – większy majątek ziemski, złożony z kilku wsi lub folwarków. [przypis edytorski]

<sup>181</sup> *w 1825 roku w spisek grudniowy* – nieudane powstanie wszczęte w grudniu 1825 przez tzw. dekabrystów, rewolucjonistów szlacheckich dążących do obalenia jedynowładztwa i zmiany ustroju. [przypis edytorski]

bez wieści, w roku 1831 do kraju się przedostał, wraz z wojskiem wyemigrował. Na emigracji zrazu był uczniem ojca *Enfantina*<sup>182</sup> i członkiem *menilmontańskiej* gminy. Potem jednak nawrócił się, wstąpił do zakonu ojców jezuitów i został w nim podobno wysokim i wpływowym dygnitarzem. Przy każdej z tych zmian dziad Ksawery wyklinał wyrodka i zmniejszał jego część w testamencie o jakąś specjalnie obmyśloną i uzasadnioną kwotę. Każdy występki dzieci był w testamencie tym, nieustannie przerabianym, w ten sposób karany i testament otrzymywał coraz to nowe kodycyle<sup>183</sup>, które następnie przez długie lata stanowiły przedmiot utrapienia dla mojego ojca i źródło dochodów dla rosyjskich sędowników.

Nie udały się panu Ksaweremu i rodzone dzieci. O starszą z córek, Julię, oświadczył mu się przez adiutanta car Mikołaj I<sup>184</sup> dla jakiegoś ze swych oficerów. Dziadek za zaszczyt podziękował i przeproszał, że nie wiedząc o szczęściu, jakie go może spotkać, losem córek już rozporządził. Gdy adiutant wyraził zdanie, że cesarzowi miło będzie poznać nazwiska wybrańców, by mógł i nadal opiekować się losem panienki, która zwróciła jego łaskawą uwagę, dziadek Ksawery niezmiernie wymienił dwóch zniechęconych przez siebie ubogich krewnych, którym ani się marzyło o konkurach<sup>185</sup>. Pomimo to w sześć tygodni małżeństwa zostały zawarte i pan Ksawery przekonany już był, że partię tę ostatecznie wygrał. Mikołaj I był jednak po niemiecku systematyczny, i w kilka dni po ślubie jeden z zięciów pana Ksawerego, Ignacy Kaniowski, otrzymał nominację na urząd w Wiatce. Urząd przyjąć trzeba było, lecz pan Ksawery nie dał za wygrane. Mianowany czy też raczej skazany mógł tak gorliwie smarować koło swej kariery, aż wreszcie dosłużył się rang i zaszczytów więcej niż wysokich.

Było to jedyne chyba powodzenie metody wychowawczej pana Ksawerego.

Drugi z jego zięciów miał zrazu fantazje tylko bałagulskie<sup>186</sup>, gdy jednak raz przysłany mu, z okazji pełnienia jakiejś obywatelskiej funkcji, Order Świętej Anny<sup>187</sup> trzeciego czy czwartego stopnia suczce swojej Dianie na szyi powiesił, został oddany pod sąd i skazany na służbę wojskową na Kaukazie. Tam zrazu o mało nie zginął pod pałkami, potem niemal już całkiem zginął w jakiejś bitwie, lecz jednocześnie ocalał życie swemu generałowi. Umierając, otrzymał awans oficerski i na złość rządowi wyzdrowiał, podał się do dymisji i wrócił do domu z głową całkiem już przewróconą. Kije i szpicruteny<sup>188</sup> przekonały go tak zasadniczo o równości skóry chłopskiej i szlacheckiej, że niepodobna mu było tego przekonania żadnymi argumentami z głowy wybić.

Mikołaj Kaniowski i jego rodzina stanowczo byli przedmiotem zgorszenia dla całej opinii szlacheckiej. Majątek został uprzednio już skonfiskowany. Dziad Ksawery po zesłaniu zięcia wziął do domu córkę i wnuczęta. Po powrocie jednak pana Mikołaja doszło prędko pomiędzy nim a dziadkiem do scen tak gwałtownych, że stary pan nie chciał nic słyszeć o tym chamie ani o jego potomstwie. Cham zamieszkał w jakimś miasteczku powiatowym i został doskonałym cieślą! Gdy po śmierci dziada Ksawerego przypadła na niego i jego rodzinę dość znaczna suma, zawodu, uwłaczającego godności szlacheckiej, nie porzucił. Rozszerzył go tylko i wkrótce zasłynał

<sup>182</sup> *Enfantin, Barthélemy Prosper* (1796–1864) – francuski socjalista utopijny, teoretyk i jeden z założycieli *saintsimonizmu*; ogłosił się wybrańcem Boga, przez swoich zwolenników był nazywany „ojcem”; jego liberalne poglądy nt. praw kobiet i małżeństwa spowodowały zamknięcie ośrodka paryskiego przez władze (1832), w związku z czym zamieszkał w podparyskim *Menilmontant* z 40 uczniami. [przypis edytorski]

<sup>183</sup> *kodycył* – późniejszy dodatek do testamentu zawierający rozporządzenie majątkiem na wypadek śmierci, bez ustanowienia spadkobiercy. [przypis edytorski]

<sup>184</sup> *Mikołaj I Romanow* (1796–1855) – cesarz rosyjski i król polski (od 1825), syn Piotra I, brat i następca Aleksandra I. [przypis edytorski]

<sup>185</sup> *konkury* (daw.) – starania się o rękę kobiety. [przypis edytorski]

<sup>186</sup> *bałagula* (daw., reg.) – furman, woźnica. [przypis edytorski]

<sup>187</sup> *Order Świętej Anny* – order carski przyznawany w Imperium Rosyjskim; od 1831 na przedostatnim miejscu w hierarchii orderowej; dzielił się na cztery klasy. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *szpicruten* – gruby, długi kij, którym wymierzano karę chłosty buntownikom w carskim wojsku; skazaniec był prowadzony pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy i bity z obu stron. [przypis edytorski]

jako wysoko uzdolniony i sumienny przedsiębiorca budowlany. Ale szlachta trzęsła się na samo wspomnienie cieśli Kaniowskiego, i to z tych najlepszych, prawdziwych Kaniowskich.

Pamiętam, z jaką nienawiścią wymieniano to nazwisko, zwłaszcza gdy cieśla Kaniowski, cham Kaniowski, w czasie zebrani obywatelskich w sprawie włościańskiej pojawiać się na nich zaczął i mówić znakomitą polszczyzną o cyceronowskich okresach<sup>189</sup> prawdy tak zgrzebne i chamstwem cuchnące, że aż w końcu generał-gubernator kijowski rozkazał mu wyjechać z miasteczka, w którym mieszkał. Nie przeszkodziło to opinii szlacheckiej ogłosić chama Kaniowskiego zdrajcą i omal że nie agentem rządowym. Wiadomo przecież było, że służył w wojsku i dostał nawet żelazny Krzyż Żołnierski Świętego Jerzego<sup>190</sup>. Nie przeszkodziło to też w lat parę Murawjewowi powiesić upartego cieślę w Wilnie, gdy został schwytany gdzieś na Żmudzi na czele chłopskiego oddziałku. Szlachta prędko zapomniała o tej śmierci. Natomiast nie zapomniała, że skonfiskowane skrypty „renegata”<sup>191</sup> zostały przekazane komisji do spraw włościańskich<sup>192</sup> Milutyna i Czerkaskiego<sup>193</sup>.

Nielepiej też na ogół poszły sprawy z rodzonymi synami pana Ksawerego. Było ich trzech, najstarszy pan Seweryn, później pan Florian i wreszcie mój ojciec.

W czasie powstania listopadowego ojciec mój miał lat dwanaście zaledwie. On też jeden nie sprawił dziadkowi w tym czasie gorzkiego zawodu i do powstania nie poszedł. Pan Ksawery i w tym bowiem czasie pozostał neutralny. Chował do końca życia wyrok jakiegoś sądu obywatelskiego, skazujący go na infamię<sup>194</sup> i konfiskatę dóbr, i czytając nazwiska sędziów, wydobywał uprzejmie pisane, a ten sam podpis noszące listy z prośbą o protekcję do władz lub pożyczkę.

Chłodna i systematyczna pogarda dla współobywateli stawała się, w miarę jak posuwał się on w lata, prawdziwą namiętnością. Długi czas opowiadano sobie anegdoty o złośliwych, bolesnych figlach płatanych przez starego borsuka swym sąsiadom.

Umarł w 1846 po otrzymaniu listu, w którym pan Seweryn przeproszał go, że swym postępowaniem przyczynił się do wytworzenia zatwardziałości duchowej w jego sercu, i błagał Boga, by mu pozwolił się tak pojednać z sobą, by ojciec jego nie potrzebował się już czuć duchem surowym i karzącym.

Pan Seweryn należał już w tym czasie do najgorliwszych wyznawców Towiańskiego<sup>195</sup>. W roku 1848 wybrał się on z misją osobistą do cara Mikołaja, został aresztowany na granicy, wysłał z więzienia do cesarza list, za który zrazu został zamknięty w twierdzy, potem przeniesiony do szpitala obłąkanych, wreszcie zesłany do orenburskiej guberni. Po śmierci Mikołaja pozwolili mu podobno wrócić, nie chciał jednak rzekomo skorzystać z pozwolenia, mówiąc, że ma tu do spełnienia obowiązki, od których tylko wola Boga uwolnić go może. Mieszkał w jakiejś baszkirskiej wiosce, raz na dwa albo trzy lata przysyłał ojcu mojemu list, pisany na siwym, grubym i szorstkim papierze. Ojciec mój wysyłał mu rocznie pewną, nad wyraz skromną, przez niego samego wyznaczoną sumę, wypłacał też z jego polecenia różnym osobom kwoty niejednokrotnie znaczniejsze. Po śmierci dziadka bowiem ostatecznie najznaczniejsza suma znalazła się w ręku mojego ojca, który jednak uważał majątek ten po części za swoją własność, po części zaś za fideikomis<sup>196</sup>, należący do brata-emigranta-jezuity, do zesłańca Seweryna i do wdowy po Mikołaju. Ignacy Kaniowski, mąż ciotki Julii, część swoją

<sup>189</sup> *okres* – retorycznie ukształtowane zdanie złożone, stanowiące całość znaczeniową. [przypis edytorski]

<sup>190</sup> *Krzyż Żołnierski Świętego Jerzeg* – dawny wojskowy order rosyjski, ustanowiony w 1769. [przypis edytorski]

<sup>191</sup> *renegata* – odstępca; osoba, która zmieniła wiarę, narodowość, przekonania polityczne. [przypis edytorski]

<sup>192</sup> *włościański* (daw.) – chłopski. [przypis edytorski]

<sup>193</sup> *Czerkaski, Władimir Aleksiejewicz* (1824–1787) – rosyjski działacz państwowy, w 1858–60 członek komisji badającej sytuację chłopów w związku z przygotowaniem do reformy uwłaszczeniowej w Rosji; w 1863–66 dyrektor naczelny Rządowej Komisji Spraw Wewnętrznych w Królestwie Polskim, uczestniczył w opracowaniu przepisów uwłaszczeniowych. [przypis edytorski]

<sup>194</sup> *infamia* (z łac.) – kara utraty czci, zwykle związana też z ograniczeniem podejmowania czynności prawnych. [przypis edytorski]

<sup>195</sup> *Towiański, Andrzej* (1799–1878) – mystyk, filozof, prawnik; założyciel sekty skupiającej wyznawców jego mesjanistycznych poglądów (tzw. Koła Sprawy Bożej), która wywarła duży wpływ m.in. na Mickiewicza. [przypis edytorski]

<sup>196</sup> *fideikomis* (z łac. *fidei comissum*: powierzone w zaufaniu) – rodzaj zapisu testamentowego polegający na nieformalnym poleceniu przez spadkodawcę, by spadkobiorca przekazał część spadku osobie trzeciej. [przypis edytorski]

skapitalizował, a stryj Florian niedługo przeżartował swoją resztkę za wyjątkiem małej wioszczyzny w naszym sąsiedztwie, w której zamieszkał.

Emigrować po roku 1831 stryj Florian nie potrzebował. Współdział jego w rewolucji był zarówno krótki, jak oryginalny. Został on po ucieczce z domu (miał wtedy lat szesnaście czy siedemnaście) wzięty do niewoli na trzecim już popasie<sup>197</sup>, nie przez Moskali jednak, lecz przez wysłanego za nim w pogoń przez dziada Ksawerego ekonomą.

Odstawiony do domu, zamknięty został przez dziadka w sklepionym alkierzu i tu przez kilka miesięcy pozostawał pod kluczem, nie wypuszczano go niemal na krok. Skazany był przy tym na skubanie wełny i międlenie konopi. Sam opowiadał później, że w tym czasie uzbierało mu się w głowie tyle złośliwych conceptów<sup>198</sup>, że na wykonanie ich nie starczyło mu później całego życia. Żarty swoje obmyślał nieraz stryj Florian całymi miesiącami, następnie je wykonywał. Sąsiad jego, Sitkowiecki, przekopał kilkanaście tysięcy rubli, szukając złota w swym podolskim majątku. Znając jego chciwość, stryj Florian porozrzucił po jego polach i ogrodzie trochę umyślnie sprowadzonego złotego kruszcu – i Sitkowiecki stał się gadką całej prowincji.

Najulubieńszymi ofiarami stryja Floriana byli urzędnicy rządowi. Z tymi prowadził on walkę prawdziwie nieubłaganą i w rezultacie kosztowną, gdyż każdy grubszy figiel stawał się niebezpieczny, iż trzeba go było opłacać.

Tak było z księciem Oldenburskim na przykład.

Był on na polowaniu pod Kaniowem i miał przejeżdżać przez jakieś miasteczko, dokąd na powitanie go sprowadzono orkiestrę gwardyjską.

Stryj Florian, jadąc w swym eleganckim powozie dobrymi końmi, spotkał właśnie zdążający z muzyką na przedzie oddział wojska, wychylił się z powozu i kiwając głową, z wyrzutem rzekł:

– A powiedziałem przecież, że jadę incognito<sup>199</sup>.

Oficer się zmieszał, zatrzymał oddział, wreszcie postanowił wrócić po nowe instrukcje.

Dzięki temu książę Oldenburski obszedł się bez muzyki, kancelarie zapisały z metr sześcienny papieru.

Stryj Florian zaś uchodzić zaczął za wielkiego patriotę i męża stanu.

Fama<sup>200</sup> ta wzrosła jeszcze bardziej od czasu, gdy napoił on biskupa prawosławnego eparchii<sup>201</sup> kamienieckiej kawą z oliwą.

Biskupisko, przejeżdżając przez majątek stryja, uznał, że robi Polaczkowi zaszczyt, jeżeli u niego konie popaść raczy.

Był to czas podwieczorkowy. Było kilka osób z sąsiedztwa; miano podać kawę.

Stryj Florian był nadskakująco grzeczny dla nieoczekiwanego gościa. Co drugie słowo cytował Jana Chryzostoma<sup>202</sup> albo Bazylego Wielkiego<sup>203</sup>, wygłaszał aforyzmy, jak na przykład:

„Słota uczy pokory wobec Pana”.

„Deszcz poi ziemię, aby plon wydała”.

„I konia należy czyścić zgrzebłem, aby lśniła się skóra jego i chędogie<sup>204</sup> było siedzenie jeźdźca”.

<sup>197</sup> *popas* (daw.) – postój w czasie podróży w celu nakarmienia koni i odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>198</sup> *concept* (daw.) – żart; pomysł. [przypis edytorski]

<sup>199</sup> *incognito* – w tajemnicy, nie ujawniając własnej tożsamości. [przypis edytorski]

<sup>200</sup> *fama* – pogłoska; rozgłos. [przypis edytorski]

<sup>201</sup> *eparchia* – we wschodnim chrześcijaństwie terytorium podległe biskupowi, czyli odpowiednik zachodniej diecezji. [przypis edytorski]

<sup>202</sup> *Jan Chryzostom*, czyli *Złotousty* (ok. 350–407) – biskup Konstantynopola, pisarz i słynny kaznodzieja, teolog; święty prawosławny i katolicki. [przypis edytorski]

<sup>203</sup> *Bazyli Wielki* a. *Bazyli z Cezarei* (329–379) – pisarz wczesnochrześcijański, twórca jednej z pierwszych reguł zakonnych, święty prawosławny i katolicki. [przypis edytorski]

<sup>204</sup> *chędogi* (daw.) – czysty, porządny. [przypis edytorski]

Podano wreszcie kawę. Na tacy, obok kubków ze śmietanką, pojawiła się karafinka z oliwą.

– Eminencja wybaczy nam – mówił stryj Florian – myśmy, chociaż to post nawet, kawę ze śmietanką pić przywykli, ale dla duchownej osoby jest oliwa. A jakże! „Gość w dom – Bóg w dom”, a ojcowie Kościoła mówią: „Zachowaj zakon ojców twoich, a Bóg ci przysporzy w sercu swoim”.

Biskup poczuł, że powaga Kościoła prawosławnego jest zagrożona, i zdobył się na poświęcenie, a na drugi dzień gruchnęła po Podolu wieść o kawie z oliwą i o patriotyzmie pana Floriana.

W dwa tygodnie zaś przed dom stryja Floriana zajechał feldjegier<sup>205</sup> i w dni kilkadziesiąt potem stryj Florian mógł prowadzić studia etnograficzne i geograficzne w guberni ołonieckiej.

W ten sposób został męczennikiem i w tym ostatnim już charakterze w roku 63 głosił:

– Spokój, spokój, spokój, bo i tak jużesmy aż nadto wiele cierpieli.

W tym też charakterze odmówił podania ręki Mikołajowi Kaniowskiemu na jakimś zjeździe, i szlachta mogła powtarzać, że znany patriota pomimo związków krwi odsunął się od sprzedawczyka.

Ojca mojego stryj Florian się bał, jak bali go się raczej, niż lubili wszyscy niemal, z kim stykał się on bliżej. I było to rzeczą zrozumiałą. To, co jest nieznanne i niepojęte, działa w myśl swoich odrębnych, niedostępnych dla nas zasad i praw – wzbudza zawsze niedowierzanie, nieufność i lęk...

Ojciec mój zaś był *pour sang*<sup>206</sup> Kaniowskim. Nie zgadzał się z otoczeniem nawet wtedy, gdy siedł z nim razem. W roku 63 ojciec mój zajmował praktycznie to samo stanowisko, jakie propagował stryj Florian. Stryj Florian pomimo to był patriotą, ojciec mój zaś człowiekiem wielkiej głowy, lecz bez narodowych uczuć. I właściwie było to w porządku rzeczy.

Myślę, że ojciec mój, arystokrata i heglista, nie był bliższy ogółowi szlachty niż demokrata i renegat stanu szlacheckiego, który na szubienicę murawjewowską poszedł, nie zasłużywszy, aby mu patriotyczny stryj Florian dłoń uściskał.

– Śladami Mikołaja pójdzie – rzekł stryj Florian, gdym upierał się przy tym, że na studia do Petersburga pojedę.

– Nie najgorsze to może ślady – rzekł mój ojciec i zmarszczył brwi.

Stryj Florian zamilkł i wzrok narodowo-cierpiący wznosił ku niebu.

---

<sup>205</sup> *feldjegier* a. *feldjeger* – dosł.: strzelec polny, w carskiej Rosji kurier wojskowy, także żołnierz żandarmerii, dokonujący aresztowań i eskortujący więźniów. [przypis edytorski]

<sup>206</sup> *pur sang* (fr.) – czystej krwi. [przypis edytorski]

### III. Spartakus i Szymon Słupnik

#### 1

Jesienią 1869 roku znalazłem się w Petersburgu jako student wydziału przyrodniczego. Sam wybór tego wydziału był powodem nieporozumienia pomiędzy mną i ojcem. Nieporozumień tych było aż nazbyt wiele w czasie poprzedzającym mój wyjazd. Nie chcę ich wspominać szczegółowo.

Były to czasy, w których mój ojciec musiał wiele cierpieć.

Dzisiaj pamiętam, że w jego spojrzeniu, kiedy patrzył na mnie, migotał strach. Ale wtedy ja nie widziałem tego. Nie chciałem i nie mogłem widzieć.

Musiałem iść precz stąd, z domu, w którym ciągle wspomniano.

Ja chciałem żyć, a ich wspomnienia nie były moimi wspomnieniami. Byłem zresztą w stadium wojowniczego ateizmu i nieustannie wywoływałem sceny, po których ciotka Emilia dostawała spazmatycznego płaczu.

Ojciec bladł, patrząc na moją haftowaną z chłopska, ukraińską koszulę.

Ja zaś uważałem siebie wtedy za Ukraińca z obowiązku.

Każdy człowiek powinien pracować dla tych, co go wykarmili. Mnie wykarmili ukraińscy chłopcy, a więc...

Nie przeszkadzało to wcale temu, że nigdy prawie z żadnym chłopem nie mówił.

Bo i o czym?

O ateizmie, o teorii Darwina, o tym, że trzeba wyzbyć się przywiązania do przesądów historycznych?

Rozmowy te nie byłyby doprowadziły do niczego.

I w tym czasie mój gardzący chamstwem ojciec był o wiele bardziej w zgodzie z moim ideałem niż ja.

On troszczył się o mieszkańców swojej wsi tak, jak o swoje rasowe bydło lub stadninę. Ja w ich imieniu wszystkim naokoło gardziłem.

A inaczej nie mogłem.

Ta pogarda była dla mnie takim samym odruchem instynktownym i zbawczym, jakim była dla mojego ojca jego duma.

On żył tym, że na cały świat patrzył jak na jakiś barbarzyński chaos.

Sam siebie porównywał do Dymitra Wiśniowieckiego<sup>207</sup>, zawieszzonego w Stambule na haku. Był romantykiem w swym upodobaniu do efektownych porównań.

Jakże nienawidziłem ja tego wszystkiego.

Tej całej atmosfery relikwii i szkaplerzy, unii lubelskich i odsieczy wiedeńskich.

Ja przecież dzieckiem widziałem odwrotną stronę tego sztychu<sup>208</sup>.

Widziałem w Warszawie modlących się ludzi, rozstrzeliwanych przez żołnierzy, tratowanych przez kozactwo, i czepiałem się drżących rąk ojcowskich, wołając: „Dlaczego oni się nie biją!”.

---

<sup>207</sup> *Dymitr Wiśniowiecki Bajda* (zm. 1563) – książę ukr., wódz kozacki, przywódca wielu wypraw łupieskich przeciwko Turkom i Tatarom. Uważany za jednego z założycieli Siczy Zaporoskiej, bohater kozackich pieśni. W 1563 próbował wpływać na wybór hospodara wołoskiego, wpadł w pułapkę i został przewieziony do Stambułu, a tam stracony. Według podań ludowych, powieszony na haku za żebro, wyrwał jednemu ze strażników łuk i jeszcze przez trzy dni strzelał do swoich oprawców, a nawet zranił samego sułtana. [przypis edytorski]

<sup>208</sup> *sztych* – rycina odbita z obrazu wrytego na metalowej płycie. [przypis edytorski]

W tej strasznej godzinie, kiedy z okna hotelu, ja – dziecko – widziałem pletnie<sup>209</sup> i szable nad głowami błagających o pomoc z nieba, widziałem, jak kule kosiły śpiewających hymny, narodziła się we mnie twarda niechęć dla wszystkiego, co jest modlitwą, pokorą, a potem, a potem...

Przez długie trzy lata twarze sąsiadów mojego ojca, bladych ze strachu, drżących, aby nie padł na nich cień podejrzenia, lękających się i rządu, i chłopów, lękających się śmiałości własnych dzieci.

Nie, o tym nie chcę myśleć. Po cóż mam bluzgać szyderstwem na jego mogiłę.

Niechaj śpi zwyciężony, on, który wierzył w polskiego szlachcica.

Zwyciężony...

Miszuk nie urazi słowem twojej mogiły.

On ci tylko żywemu nie mógł ustąpić.

Nie mógł, jak i dziś nie mogę cofnąć ani słowa.

Elle ne se rend pas  
La Commune de Paris!<sup>210</sup>

W 69 roku byłem więc w Petersburgu. Przywiozłem tu razem z sobą swój niepokój i pustkę, która wołała o pełne życie.

Zrazu rzuciłem się na książki.

Nigdy już potem nie wchłonałem w siebie takiej masy myśli.

Codziennie waliło się coś we mnie, codziennie myśl umacniała się w swojej twierdzy.

Wierzyłem wtedy, że rozum zaczyna dopiero istnieć, że należy go tylko stworzyć, tylko zdobyć formułę przenikliwie jasną i wszechobejmującą, a światło jej rozleje się po ziemi i rozpocznie się nowe życie.

Żyłem w absolutnej próżni.

Bardzo szybko przestałem regularnie uczęszczać na wykłady. Książki mi dawały więcej. Dniami i nocami nie wstawałem od swego stolika w zadymionym pokoju, czytając, notując, kreśląc. Nie odpowiadałem tygodniami na listy i otrzymywałem telegramy. Ojciec niepokoił się. A ja istotnie zapomniałem o wszystkim.

Nie było Polski, legend, wspomnień – był olbrzymi świat stwarzania się i stawania nieustannego. Z łona przekształceń się materii powstawały formy żywe, rodził się człowiek, tworzył w sobie myśl i rozum, aby zawładnąć światem.

Określałem wtedy sam siebie jako kawał materii, który chce zostać myślą.

To określenie zdobyło mi pierwsze stosunki wśród kolegów.

Wśród kolegów nie znałem nikogo. Nie było tu nikogo z moich stron, nie przywiozłem z sobą żadnych stosunków, żadnych znajomości.

Byłem tu absolutnie sam w tym tłumie i zrazu było mi to nawet dogodne.

Powoli, od czasu do czasu, wymieniałem parę słów z tym lub owym.

Tak raz w laboratorium wygłosiłem do jednego z sąsiadów, jasnowłosego, różowego Niemca, swój aforyzm.

Niemiec był zgorszony; zaczął mi mówić o duszy. Mówił mi o *Bewusstsein*, *Selbstbewusstsein*<sup>211</sup>. W końcu zaś o *Pflichtbewusstsein*<sup>212</sup>.

Roześmiałem się.

Nie lubiłem tego słowa.

---

<sup>209</sup> *pletnia* (daw.) – pleciony bicz z bydłowej skóry. [przypis edytorski]

<sup>210</sup> *Elle ne se rend pas/ La Commune de Paris!* (fr.) – Ona się nie poddaje, Komuna Paryska! [przypis edytorski]

<sup>211</sup> *Bewusstsein, Selbstbewusstsein* (niem.) – świadomość, samoświadomość. [przypis edytorski]

<sup>212</sup> *Pflichtbewusstsein* (niem.) – poczucie obowiązku. [przypis edytorski]

Przypominało mi ono ciotkę Emilię, która czytywała i rozumiała wszystko, nawet Darwina, ale skończywszy czytać, mówiła: „To jest bardzo rozumne, ale my nie mamy ojczyzny i dlatego jesteśmy obowiązani szanować wiarę”.

– I cóż to za *Pflicht*<sup>213</sup>? – pytam się swojego Schultza.

Na to on mi mówi:

– Ja mam teraz trzysta rubli stypendium, ja bym bardzo chciał nieraz pójść do teatru. Ja to bardzo lubię. Co to znaczy ja? Moje zmysły to lubią. O... i mój umysł to lubi. Ale jaki umysł? Materialistyczny, egoistyczny umysł. I gdybym ja miał tylko ten umysł, to bym poszedł albobym sobie kazał zapalić w piecu, ale bilet kosztuje pół rubla, zapalenie w piecu pięć kopiejek, a mój ojciec jest pastorem i ma dziewięćdziesięciu dzieci, więc ja ze swego stypendium muszę posłać mu chociaż osiemdziesiąt, choć sto albo sto dwadzieścia rubli. A dlaczego muszę? Bo jest coś, co się nie zmienia, co nie jest ani ruch, ani przyjemność, ani barwa, ani nic. A co to jest? To jest to: musisz. Więc co jestem ja? Obowiązek. I dlatego ja wiem, że ja mam duszę, bo mam coś, co nie jest ani ruch, ani wrażenie, ani zmiana.

– A dlaczego pastory rozmnażają się nieumiarkowanie? – basem przeciągnął sąsiad na prawo, o kudłatej głowie i skośnych oczach. – Obowiązek – dusza. A wcale nie dusza, tylko królicza niewstrzeżliwość.

Schultz się zaperzył:

– Ja bardzo pana proszę, mój ojciec jest duchowny.

– I mój ojciec jest duchowny – rzekł kudłaty kolega.

– Ja nie pozwalam panu, ja bardzo Kocham mojego ojca.

– No, i ja Kocham mojego ojca, chociaż pijanica jest, co nawet jest dobrze, bo pop porządnym człowiekiem może być tylko, gdy pije...

– Mój ojciec nie bierze do ust nawet piwa – mówił z dumą Niemiec.

– To źle robi – rzekł nieubłagany wróg pastorów. – Niemiec, który nawet piwa nie pije, cóż to może być za Niemiec. Was i z piwem znieść trudno, a bez piwa...

– Mój ojciec wie, że każda kopiejka to jest ciężko zapracowana kopiejka...

– Ba... i mój stary wie o kopiejce, i wie, że ja mu nie pošlę, bo nie mam. A choćbym pošłał, to i co? Też nie mówiłbym: obowiązek, tylko: wódka. I choćby mój stary delirium<sup>214</sup> dostał, to stąd by nic o mojej duszy nie wynikało.

Niemiec coś mrucał długą chwilę, wreszcie poprawił kołnierzyk i mankiety i podszedł do kudłatego.

– Nazywam się Karol Schultz – rzekł – i pozwoli pan z panem nieznanym być.

Brunet parsknął śmiechem.

– A ja – rzekł – nazywam się Jaszka Czernow i nie mogę się z panem rozstać, bo dusza moja rozkochała się w panu. I zresztą szanuję pana bardzo, i pana ojca szanuję, i pana siostry.

Niemiec próbował coś mówić, ale Czernow zwrócił się już do mnie.

– Ej, wy, szlachcic – rzekł – a wy o materii tam mówiliście... Po pierwsze Polakowi nie wypada mówić: materia. Wy, szlachcice, mówicie: Bóg i Ojczyzna. A tu: materia. Pierwszy raz słyszę...

– A wy, Jaszka – zawołała z drugiego kąta młoda dziewczyna w niebieskim fartuchu – wam to też nie bardzo wypada Polakom o ojczyźnie mówić. Katkow<sup>215</sup> wam się kłania.

– To go spotka afront<sup>216</sup>, bo ja się nie odklonię.

– Źle robicie. Za ich ojczyznę Polaków Murawjew wieszał.

---

<sup>213</sup> *Pflicht* (niem.) – obowiązek. [przypis edytorski]

<sup>214</sup> *delirium* – stan zaburzenia świadomości, w którym występują halucynacje. [przypis edytorski]

<sup>215</sup> *Katkow, Michaił* (1818–1887) – rosyjski dziennikarz, wydawca i działacz polityczny, wpływowy publicysta, jeden z twórców nowoczesnego nacjonalizmu rosyjskiego; prowadził zacieklą kampanię nacjonalistyczną, antydemokratyczną i antypolską. [przypis edytorski]

<sup>216</sup> *afront* – obraza, zniewaga. [przypis edytorski]

– Mało kogo Murawjew nie wieszał – tłumaczył się Jaszka. – On i mnie mógłby powiesić. Karakozowa powiesił...

Jakieś zimne tchnienie powiało po laboratorium. Wysoki blondyn spojrział przez okulary na Jaszkę i rzekł półgłosem:

– Ej, wy, Czernow, nie bardzo.

Potem zaś, zwracając się do mnie, rzekł:

– Jestem Orłow. Jak pan to rozumie o materii? Czy myśl dla pana to nie jest już materia? Jeżeli zaś materia, to dlaczego mam dążyć do tego, aby stać się myślą? Myśl więc to jest pewna forma materii. Chodzi więc o to tylko, jaka jest ta materia. Ja myślę, że panu szło o co innego, o to, że człowiek jest dziś materią nieszczęśliwą, a chce się stać materią szczęśliwą. I to jest jasne; gdyby nie był nieszczęśliwą, nie chciałby być czym innym. Chce, więc jest nieszczęśliwy. *Ergo*<sup>217</sup> chce być szczęśliwy. Innymi słowy, trzeba poznać technologię ludzkiego szczęścia.

Poczułem się jak ryba w wodzie.

Znowu spotkałem ludzi mówiących tym samym językiem, jakim mówiły moje myśli. Zapaliłem się. Zacząłem się spierać. Przypomniały się przegadane wieczory przy łóżku Wrońskiego.

– Szczęście nie wystarcza, trzeba wiedzieć, że jest ono moje. Potrzebna mi władza nad nim, pewność, że je mam, bo je stworzyłem sam.

– Ja widziałem – rzekł Jaszka – dwa razy szczęśliwą materię. Raz było to w chlewie, a drugi w gubernatorskim domu. Raz był to wieprz, a drugi raz pokojówka gubernatora. Szczęśliwa materia wieprza była smaczna, szczególnie z kapustą i musztardą. A pokojówka miała otłuszczenie serca i dziwnie lekki mózg. Analizy chemicznej nie robiłem.

– Rosyjska myśl jest bardzo lekkomyślna myśl – rzekł Schultz. – Wy wszyscy robicie ciągle skoki. Wy jesteście jak wasz kraj: mało kolei żelaznych.

Z laboratorium tego dnia poszedłem po raz pierwszy do studenckiej kuchni.

Odtąd zaczęło się dla mnie nowe życie. Samotne ślęczenie nad książką ustąpiło gawędom bez końca.

Poznałem od razu całą masę niepospolitych ludzi. Mówię to z całym spokojem po tylu latach: ludzie ci żyli istotnie tylko poszukiwaniem prawdy. Prawdy żywej, przekształcającej samo życie, nie martwej wiedzy. Nie było dla nich rzeczy obojętnych. Myśl ich nieustannie pracowała nad rozwiązaniem zagadnienia, czym ma być człowiek. Ja więcej przeczytałem i przemyślałem od większości z nich, ale w nich była większa łączność pomiędzy myślą a życiem. Była jakaś nieustraszoneść w wykonywaniu wyroków sumienia i badaniu. To ich charakteryzowało, nadawało im jakieś klasyczne bohaterskie cechy. Ich filozofia była życiem.

Tak na przykład Aleksander Brenneisen twierdził, że człowiekowi należy się tylko zaspokojenie potrzeb koniecznych. Że zadaniem jego jest praca. Pracował też po dwanaście, szesnaście godzin dziennie. Pieniądze zaś zarobione kładł do otwartej puszkę, stojącej na stole. Każdy ze współlokatorów jego mógł z niej brać, ile potrzebował, nie tłumacząc się.

– Społeczeństwo mi jest obowiązane dać wszystko, abym mógł być **ja**, to jest myśleć. Co zaś potrzeba, aby być ja? Jeść, aby żyć, ubrać się i schronić, aby nie zmarznąć. To ja powinienem mieć. A potem, kiedy ubrane i najedzone jest zwierzę, zaczyna się ja. Tu nie ma prawa nikt ani nic...

– A jeżeli ja moje chce tylko pić i za dziewczętami biegać... – przekomarzał się Jaszka.

– Idź, zdołasz się napić – pij, nie zdołasz – będzie źle. Zdołasz mieć dziewczynę – bierz. Nabiją – tak i będzie. Do tego nikomu nic.

– A jeżeli ja z tej oto twojej szkatułki dziesięciorublowkę wezmę i na Grochową do *Fräulein*<sup>218</sup> Gizeli pojedę... to co...

---

<sup>217</sup> *ergo* (łac.) – więc, a zatem. [przypis edytorski]

<sup>218</sup> *Fräulein* (niem.) – panna. [przypis edytorski]

– Że ktoś jest świnia, to ja nie muszę być pastuch od świń – mówił niewzruszony Brenneisen swym dziwnym, jakby niedołężnym językiem.

W tym środowisku żadne przekonanie, byle na krytyce oparte, nie raziło.

Ale gdy Wołoszanowicz zawiesił w swym pokoju ikonę i zapalił przed nią lampkę, usunięto się od niego.

– I co ja wam zrobiłem? – tłumaczył się on.

– Nic – odpowiedział mu Michał Żemczużnikow – ale pies wściekły też mi nic nie zrobił, a ja jednak usunę mu się z drogi.

– Ależ zmiłuj się przecież, czy ja tobie bronię Moleschotta czytać?

– Moleschotta ja nie czytam, bo on jest zacofaniec, a zresztą to inna sprawa. Moleschott mi mówi: myśl, i ja myślę. A tu... psu wściekłemu instynkt powie: gryź, i on gryzie. A ja skąd wiem, co tobie twój Bóg każe zrobić? Pókiś ty sam od siebie zależał, ja wiedziałem, czego się od ciebie spodziewać, ale od czasu, jak u ciebie Bóg pojawił się, ja już nic wiedzieć nie mogę. Skąd ja wiem, co temu twojemu Bogu do głowy przyjdzie? Ja tam nie lubię mieć z nim do czynienia. Kto chce ze mną żyć, musi sam za siebie odpowiadać.

Istotnie, wszelkie zrzeczenie się swobody osobistej uważane tu było za występpek.

Waria Torżecka oskarżyła raz niemiłosiernie Jaszkę o brak charakteru za to, że w obecności jej matki wyparł się Darwina.

– I, wcale nie wyparłem się – mówił Jaszka. – Ale sami osądźcie: pyta się mnie taka dama z trenem<sup>219</sup>, z chignonami<sup>220</sup>, o, o, całkiem Kleopatry<sup>221</sup> egipska, w starości oczywiście. „Czy – powiada – możliwe jest, aby człowiek od małpy pochodził, czy na przykład ja podobna jestem do małpy?” No, i cóż ja miałem odpowiedzieć. „Ależ nie – mówię – gdzież tam, ani najmniejszego podobieństwa – powiadam – małpa ma ogon od urodzenia, a pani od krawca” – no i tak dalej wszystko.

– Nieprawda – oburza się Waria. – Ty lepiej powiedz, coś o duszy powiedział.

– No, i cóżem ja takiego powiedział? Powiada dama, że za duszę męża w trzech klasztorach nabożeństwo wieczne zakupiła, że więcej niż trzy tysiące ją to kosztowało. Więc pyta się, czy jest dusza, czy nie ma. „Ja – mówi – kwity pokazać mogę”. Czy ja mogę cokolwiek wobec kwitu? Tego nikt nie przewidział. Kto nie ma kwitu, to jeszcze na dwoje babka wróżyła, ale jak ma kwit...

– Z ciebie już nigdy nic nie będzie, Jaszka – wzruszyła ramionami Waria.

Ale reszta towarzystwa się śmiała.

Jaszce w ogóle uchodziło wiele...

– Tylko językiem nie zanadto wojuj – mówił mu Orłow, szczególnie gdy wspomniał, tak jak wówczas, Karakozowa, Czernyszewskiego...

Ale Jaszka nagle spoważniał.

– Pańszczyźniani wy! – krzyknął. – Tfu, niewolnicy! Spośród nas ukradziono człowieka. Takiego człowieka. Jak ja jego czytam, to mądrzejszy się staję. Jego wam ukradli, zabijają powoli. Myśl wasza, sumienie wasze: a my nic, my milczeć będziemy. Psy wy, tchórze, tchórze!

I nagle podbiegł do okna i otworzywszy lufcik, na cały głos krzyknął w ciemną, szarą ulicę...

– Ej, ty! Oddaj nam Czernyszewskiego! Czernyszewskiego nam oddaj, słyszysz!

– Czegoś się rozkrzyczał – rzekł Żemczużnikow. – Dużo krzykiem pomożesz...

– Jeżeli jego wola – rzekł Brenneisen – nikt mu przeszkodzić nie może.

– Sam przepadnie.

– Jeżeli jego dusza znieść nie może milczenia, niech krzyczy. Inaczej ona będzie podłą duszą.

Ale Żemczużnikow podszedł już do okna.

---

<sup>219</sup> *tren* – ciągnąca się po ziemi część sukni. [przypis edytorski]

<sup>220</sup> *chignon* (fr.) – kok, fryzura kobieca z włosów związanych z tyłu głowy; daw.: przypinany warkocz. [przypis edytorski]

<sup>221</sup> *Kleopatra*, właśc. *Kleopatra VII Filopator* (69–30 p.n.e.) – ostatnia królowa Egiptu, słynna z urody i uroku osobistego. [przypis edytorski]

– Słuchaj, Jaszka – rzekł. – Czy ty wiesz, co z tego będzie, gdybyśmy nawet przed Zimowy Pałac<sup>222</sup> poszli wołać: oddaj go nam!

– To i co – rzekł Jaszka. – Zabiliby, niechby zabili.

– Bardzo mądrze, powiedziała by Czernyszewski. Bardzo, bardzo sprytnie to pomyślałeś: zabiliście mojego przyjaciela, to i mnie zabijcie. Nieprawdaż.

– Ale milczeć, kiedy twojego przyjaciela, nie przyjaciela, ale świętego, mędrca, zabijają – to hańba.

– Tak, pozwalać na to, co zrobiono z Czernyszewskim, co zrobiono z Michajłowem<sup>223</sup>, z dziesiątkami tysięcy Polaków, to hańba – odpowiedział Żemczużnikow.

– My tu sobie filozofujemy, rozprawiamy, a naokoło krew płynie. Człowieka nieustannie mordują – unosił się Jaszka. I stuknąwszy pięścią w stół, krzyknął: – Nie zniosę dłużej, nie mogę.

W pokoiku milczano.

Gromadka nasza ujrzała w myśli prawdziwe swoje położenie, spotkała się twarz w twarz z potworem dziejów rosyjskich.

I od razu uwydatniła się czarna rysa.

Orłow, prawnik z zawodu, chemik z upodobania, zaczął mówić swoim spokojnym, mądrym głosem. „Nie mówi – perły wyszywa” – określała jego dykcję Waria.

– Ja myślę – prawil – że to, o czym mówi Jaszka, jest nam wszystkim znane. Wszyscy przemyśleliśmy już to. Człowiek nowoczesny nie powinien się łudzić. Życie cywilizowanych społeczeństw jest taką samą walką, jak i życie zwierząt. I nie przekonamy ludzi, że się nie powinni pożerać. Idzie po prostu o to, aby to zrozumieć i aby w tej walce zwyciężyć. Ludzie rozumni powinni dbać o to, aby nie być pożartymi przez zwierzęta. Bo lew, który zje Arystotelesa<sup>224</sup>, nie jest mędrszy od lwa, który zje cielę. Niechaj więc lew żywi się już lepiej cielęcina. A Arystoteles niechaj sam siebie uchroni i myśli, aby albo wytepić lwy, albo też je oduczyć od zjadania nawet cielęciny.

– Innymi słowami? – rzekła Waria, zaciskając usta. – Co? Zamknąć uszy i oczy, a w razie potrzeby pochwalić lwa i życzyć mu dobrego apetytu?

Orłow też pobladł i rzekł:

– Ja także czczę wysoko Czernyszewskiego, ale my, którzy rozumiemy jego myśl, powinniśmy dlatego właśnie starać się przeżyć, zyskać stanowiska i wpływy.

– I kiedy zostaniesz już oberprokuratorem Świętego Synodu<sup>225</sup>, każesz mojemu ojcu, aby zamiast *Czety Mineji*<sup>226</sup> i psalterza czytał stadku *Czto dietat*<sup>227</sup>. Jemu to istotnie żadnej różnicy nie zrobi, zwłaszcza po śniadaniu – roześmiał się Jaszka.

Ale od tego czasu Orłow rzadko już pojawiał się u nas i rozmowa w jego obecności szła opieszale. Tymczasem zapanował nad wszystkimi innymi tematami ten jeden – Czernyszewski. I w końcu wszystkie nasze myśli i gawędy przybrały całkiem określony kierunek: oswobodzić Czernyszewskiego.

<sup>222</sup> *Zimowy Pałac* – petersburska rezydencja carów, zbudowana przez Piotra I. [przypis edytorski]

<sup>223</sup> *Michajłow, Michail Larionowicz* (1829–1865) – rosyjski pisarz, tłumacz, publicysta; w 1861 zesłany na Syberię. [przypis edytorski]

<sup>224</sup> *Arystoteles* (384–322 p.n.e.) – grecki filozof i przyrodnik, najwszechstronniejszy z uczonych starożytności, osobisty nauczyciel Aleksandra Wielkiego. [przypis edytorski]

<sup>225</sup> *Święty Synod*, właśc. *Świątobliwy Synod Rządzący* – kolejalna instytucja zwierzchnia Kościoła prawosławnego w Rosji, istniejąca w czasach Imperium Rosyjskiego zamiast urzędu patriarchy, mająca na celu uzależnienie władz kościelnych od władzy państwowej; z ramienia cara funkcję kontrolną nad Synodem sprawował urzędnik bez święceń, w randze oberprokuratora. [przypis edytorski]

<sup>226</sup> *Czety Mineje* (scs.) – prawosławne zbiory żywotów świętych, hymnów, modlitw i kanonów, ułożone na każdy dzień kalendarza liturgicznego, przeznaczone do domowej lektury. [przypis edytorski]

<sup>227</sup> *Czto dietat'* (ros.) – pol.: *Co robić*, tytuł książki N. Czernyszewskiego. [przypis edytorski]

## 2

Mało znałem tego pisarza.

Teraz długie godziny opowiadał mi o nim Brenneisen.

– To wszystko, co on napisał, jest niczym w porównaniu z nim samym. On wszystko wiedział, co go spotka, wszystko rozumiał. Pojmował, że się za nim nikt nie ujmie. Pojmował, że gubi sam siebie każdym wierszem, jaki pisze. I pisał. Nie było w nim żadnej pozy. On nie stawał na żadnym piedestale, na żadnych szczytach, nie mówił, że jest bohaterstwem myśleć w kraju niewoli i milczenia, tylko to bohaterstwo wykonywał.

I czytał mi ustępy z listów bez adresu, pisanych przez Czernyszewskiego, właściwie pod adresem Aleksandra II<sup>228</sup>.

„Szanowny Panie! – pisał on do cesarza Wszechrosji – jest Pan z nas niezadowolony. To nie ma wielkiego znaczenia. Ważniejsze jest to, co myśli o nas szara, milionowa masa. Pana ona zna z imienia, chociaż postępowania pańskiego nie rozumie i nie jest w stanie go rozumieć... O mnie, o nas, to jest o ludziach takich, jak ja, nie wie ona nic”.

Gdym tego słuchał, przypominały mi się opowiadania ojca o Wielopolskim<sup>229</sup> w Petersburgu. Ojciec mój miał dla margrabiego szczególniejsze uczucie gorzkiego żalu, połączonego z uwielbieniem, którego się mógł się pozbyć.

Rysował mi go dumnym, nieprzystępnym wśród pełzającego petersburskiego dworactwa.

Car nie miał naokoło siebie człowieka, nikt nie śmiał być człowiekiem wobec niego, myśleć, kiedy on mówił.

W Wielopolskim po raz pierwszy spotkał może Aleksander II człowieka, który go się nie bał.

Naokoło wszyscy mówili carowi: będzie to, co zechcesz.

A on nie chciał mocno niczego. Raczej się bał. Więc czuł, że grunt się pod nim chwieje, że opiera się tylko na bezmiarze tchórzostwa i słabości.

Nazbyt gardził bezwiednie wszystkimi, aby mógł na kogokolwiek bądź liczyć. Liczyć na niewolników niepodobna. Więc właściwie był sam. A gdy samego siebie w sobie szukał, nie znajdował nic: pustkę i strach, nudę i jałowość.

Miał odwagę fizyczną i sam na sam chodził na niedźwiedzia, ale nie miał wewnętrznego męstwa. Nie wiedział, kim jest i dokąd idzie. I gdy zaczynał rozmyślać, odurzała go mgła myśli ciężkich i niejasnych, dusznych jak zapach ładanu<sup>230</sup>.

Kiedy w sali obrad korona polska z trzaskiem padła na posadzkę, Aleksander II widział w tym prognostyk<sup>231</sup>, a Mikołaj kazałby ochłostać lokaja, do którego należało pilnować porządku w sali.

Mikołaj czuł się bogiem, a lud uważał za bydło. Czuł się oficerem, który po śmierci pójdzie zdać Przedwiecznemu raport, że wszystko w porządku. Gdy los pomieszał mu szyki, otruł się<sup>232</sup>, tak jakby to uczynił urzędnik po sprzeniewierzeniu pieniędzy skarbowych.

<sup>228</sup> *Aleksander II Romanow* (1818–1881) – cesarz rosyjski; twórca wielu liberalnych reform, m.in. uwłaszczenia chłopów w Rosji i Królestwie Polskim; zginął w zamachu bombowym. [przypis edytorski]

<sup>229</sup> *Wielopolski, Aleksander*, margrabia Gonzaga-Myszkowski (1803–1877) – polski polityk konserwatywny, ziemianin, zwolennik ugody i współpracy z Rosją; podczas powstania listopadowego związany z A. Czartoryskim; w 1861 mianowany dyrektorem Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego; pokłócony z tymczasowym wojskowym namiestnikiem Królestwa Polskiego, złożył dymisję i wyjechał do Petersburga, gdzie zyskał przychylność dworu i wrócił w czerwcu 1862 jako naczelnik rządu cywilnego Królestwa Polskiego; inicjator nadzwyczajnego poboru do wojska (tzw. branki) w styczniu 1863, w celu pozbycia się z kraju radykalnej młodzieży, co stało się bezpośrednią przyczyną wybuchu powstania styczniowego. [przypis edytorski]

<sup>230</sup> *ładan* a. *ladanum* (*labdanum*) – żywica o balsamicznym zapachu otrzymywana z niektórych gatunków roślin należących do rodzaju czystek (*Cistus*), znana od starożytności, używana jako kadzidło. [przypis edytorski]

<sup>231</sup> *prognostyk* – znak, zapowiedź; przepowiednia. [przypis edytorski]

<sup>232</sup> *Gdy los pomieszał mu szyki, otruł się* – zgodnie z oficjalną wersją chory na gripę Mikołaj I dodatkowo przeziębził się i zmarł

W Aleksandrze II nie było stanowczości.

On czasami marzył jak dobry pan, który robotnikom urządza dożynki.

Ale pragnął, aby rzeczywistość była zależna od jego kaprysu – jak marzenie.

On pragnął myśli w swym kraju, ale chciał, aby myśl ta sławiła go dobrowolnie, bez zastrzeżeń.

Dla Aleksandra II człowiek jak Czernyszewski, człowiek nieubłaganej myśli – musiał być wrogiem.

Samo istnienie jego było niebezpieczeństwem.

Zacząłem przecuciem rozumieć straszny dramat rosyjski.

Myśl pojawiła się tu jak gość nieoczekiwany, jak wróg. Na olbrzymim podłożu skutych, uciemiężonych milionów wznosiła się piramida samowładztwa urzędniczego.

Myśl jednostek podkopywała się pod nią; już sam fakt, że nie podlega ona niczemu, żadnej zewnętrznej presji, że sama dla siebie określa prawa, był zbrodnią.

Tu potrzebni są żołnierze, urzędnicy, nie ludzie – mówił ustrój.

I jednocześnie coś na dnie serca cieszyło się, widząc możliwość walki, wielkiej walki o przyszłość człowieka.

Tak mnie wyczerpały już i znużyły walki myślowe z upiorami, że cieszyła mnie perspektywa walki rzeczywistej.

Dotąd, jak Scyt<sup>233</sup> umierający, puszczałem strzały swoje w słońce i widziałem, jak spadają one bezsilne. Teraz rysowała się przede mną mroczna ziemską potęgą. Ty przynajmniej jesteś śmiertelny – myślałem.

Na razie ja najjaśniej widziałem sytuację.

Dla moich przyjaciół ginęły ogólne linie wśród szczegółów i epizodów. Dla Jaszki wszystko po pewnym czasie stawało się anegdotą i przygodą, dla Brenneisena kwestią stoicyzmu<sup>234</sup> moralnego. Każdy musiał dokonać wszystkiego dla siebie. Waria wiedziała tylko jedno, że jej nie wstrzyma ani matka z ogonem od krawca i kwitem na duszę, ani nic, że w każdej chwili jest gotowa się poświęcić bezgranicznie, bez zastrzeżeń dla każdej sprawy, w jaką wierzy. Żemczuznikow był praktykiem, on musiał mieć przed sobą cel określony i względnie osiągalny. Tym celem stał się dla niego teraz Czernyszewski.

Ale tu piętrzyły się od razu tysiączne przeszkody.

Jaszka z nadzwyczajną swobodą układał fantastyczne plany.

– Najlepiej – mówił – porwać kogoś, któregoś z ministrów albo wielkich książąt. To nie jest trudno. Dość będzie zamienić karete, pod jakimkolwiek pozorem oddali się właściwą. Na jej miejsce postawi się naszą. Brenneisen świetnie będzie wyglądał w liberii jako lokaj. Ja siądę za furmana. Zrobię sobie brzuch z poduszek. Jeden z nas zaczai się w karecie, będzie miał w ręku gąbkę z chloroformem. Gdy nasz jegomość wsiądzie, gąbkę mu w usta i w drogę. Zamknie go się w piwnicy, każe napisać list. Uwolnić Czernyszewskiego i odstawić za granicę, wtedy mnie uwolnią. List ten się wywiezie za granicę i nada na pocztę w Paryżu.

Żemczuznikow się złościł, ale jego plany były wygłaszane wprawdzie poważniej, nie były jednak wcale rozsądniejsze ani łatwiejsze do wykonania.

Było nas zbyt mało i zbyt mało mieliśmy doświadczenia.

Pojechać przebranymi za żandarmów z rozkazem wydania Czernyszewskiego. Jak sfalszować rozkaz? Żaden z nas nie widział nawet podobnego dokumentu, nie mieliśmy pojęcia, jak wygląda.

---

na zapalenie płuc, choć od razu zaczęły krążyć pogłoski, że popełnił samobójstwo, zapewne z powodu fatalnego przebiegu wojny krymskiej. [przypis edytorski]

<sup>233</sup> Scyt – dziś popr.: Scyta, członek koczowniczych ludów zamieszkujących w starożytności stepy środkowej Eurazji, na płn. i wsch. od Morza Czarnego. [przypis edytorski]

<sup>234</sup> stoicyzm – kierunek filozoficzny zalecający sumienność w obowiązkach, zachowanie umiaru i spokoju wewnętrznego niezależnie od okoliczności zewnętrznych, zapoczątkowany w III w. p.n.e. w Atenach przez Zenona z Kition. [przypis edytorski]

Jaszka proponował przedostanie się na Sybir, podpalenie więzienia i zbrojny napad podczas pożaru.

Ale Brenneisen zaczął kreślić przed nami kolumny cyfr, oznaczających odległość, i mówić o mrozach.

Trzeba było futer, broni, wielu ludzi i dużej sumy pieniędzy. Przy tym szanse były mniej niż małe.

Pomimo to zaczęliśmy mówić o zorganizowaniu wyprawy na Sybir. Na miejscu się zobaczy. Funduszków brakowało.

Wysłałem telegram do ojca. Bez słowa przysłał pięćset rubli.

– Niech żyje polska szlachta! – krzyknął Jaszka.

Żemczużnikow tymczasem sondował grunt, naokoło nas szukał towarzyszków.

Po raz pierwszy miałem sposobność zapoznać się z uczuciem obawy zdrady.

Nagle wydawać się nam zaczęły ściany przejrzystymi, na każdego naszego znajomego patrzyliśmy śledczym spojrzeniem.

Jednego wieczoru Żemczużnikow wrócił jawnie przejęty czymś.

– Poznałem człowieka – rzekł.

– Toś szczęśliwszy od Diogenesa<sup>235</sup> – zaobserwował Jaszka (nazwa ta przyrosła odtąd do Żemczużnikowa).

Ale nowo narodzony Diogenes mówił:

– Dajcie spokój żartom. Mówię wam, spotkałem człowieka takiego, co wie, dokąd idzie i czego chce.

W parę godzin poznaliśmy i my Wasiljewa, jak przedstawił się nam nowy znajomy Żemczużnikowa. Był to niski blondyn o dziwnie silnym i przenikliwym spojrzeniu. O nim można było mówić, że uderzał oczyma. A czynił to zawsze z ukradka, jakby niechcący. Oczom jego nie uchodziło nic. Myśl jego nie przestawała pracować, nie zatrzymywała się na powierzchni odslanianej przez słowa, lecz na ich podstawie snuła wnioski.

To, co człowiek mówi, to jest to, co się jemu zdaje. Ale ważne jest nie to, co wydaje się nam, ale czym jesteśmy. Nie to więc, co mówisz, mnie obchodzi, ale dlaczego to mówisz. Ty sam możesz nie wiedzieć, dlaczego mówisz to lub owo, ale ja, jeżeli cię chcę znać, wiedzieć muszę.

Na pierwszy rzut oka Wasiljew nie wzbudzał zaufania. Było w nim coś czającego się. Zdawało się, że jest on całkowicie obcy nam, samemu sobie, wszystkiemu, co mówi; że wszystko, co czyni on, jest mu do czegoś potrzebne, że nic nie robi on od niechcenia.

Jaszka bardzo szybko najeżył się:

– Nie lubię ludzi, którzy tak całkiem nie umieją się śmiać.

I istotnie śmiech Wasiljewa był przykry. Był jakimś jadowitym szyderstwem. I trudno było orzec, z czego szydzi on.

Naszych planów o oswobodzeniu Czernyszewskiego wysłuchał w milczeniu.

– O tym już inni myśleli – wreszcie rzekł.

– Więc co? – zapytałem.

– Trzeba dużej siły, z tą siłą można by już coś innego zrobić.

– Co, na przykład? – pyta Żemczużnikow.

Wasiljew zmarszczył się:

– Dużo będziesz wiedzieć, szybko zestarzejesz... A zresztą nie, panowie, z was nikt się nie zestarzeje.

– Także doktor – żartował Jaszka – i na jakąż to pomrzemy chorobę?

– Ja widziałem – powiedział posępnym głosem Wasiljew – Karakozowa; na tę samą...

---

<sup>235</sup> *Diogenes z Synopy* (413–323 p.n.e.) – filozof gr., przedstawiciel cyników; według jednej z legend chodził po mieście w dzień z zapaloną latarnią, a pytającym, co robi, odpowiadał: „szukam człowieka”. [przypis edytorski]

Miałem wrażenie, że człowiek ten próbuje nas. Istotnie widziałem go potem w innych kółkach, widziałem go cedzącego ostrożnie słówka, zadającego zagadkowe pytania. Tu przeczuł, że trzeba uderzyć w silny ton.

Sam mówił później:

– Z wami był Aleksander Brenneisen. To był ważny znak. Dajcie mi tysiąc Brenneisenów, a zmienię Rosję całą.

Po chwili jednak dodał:

– Nie, z Brenneisenami ja nie pójdę, po co ja Brenneisenom? Oni mają stalowe serca, gwiazdziste oczy. Moje oczy są jak rysia w nocy, moje serce to nie stal, to coś twardszego od stali. Brenneisen jest wolny człowiek, a ja jestem Spartakus<sup>236</sup>, księżę niewolników.

I takiego, jakiego widziałem Wasiljewa w ten wieczór, nie widziałem go nigdy chyba potem.

– Czy wy wiecie, co to jest Rosja? Czy wy wiecie, że tu człowiek nie ma żadnego znaczenia, myśl żadnego znaczenia. Że my wszyscy jesteśmy raby, niewolnicy. Słyszycie, słyszycie: nam nie wolno myśleć. Mojego ojca gubernator po twarzy bił, a ojciec go w rękę całował; a matka mówiła: „Tak trzeba, synku”. Niewolnicy nie powinni mieć dzieci. A wy wiecie, ile tysięcy ludzi umiera z głodu? A wy wiecie, ilu zatłuczono pałkami za Mikołaja? A wiecie, ilu zamurowano w Szlisselburgu<sup>237</sup>? A Karakozowowi nie dawano spać przez tydzień. I wy chcecie myśleć, walczyć? Jeżeli to zabawka, rzućcie – krwawa zabawka. Jeżeli wejdziecie na tę drogę, nie ma powrotu. Tu rządzi ślepa siła, strach, ciemnota. Kiedy was będą wieszać, czern<sup>238</sup> będzie wołać, by was ćwiertowano, jak wołała pod szafotem Obruczewa<sup>239</sup>. Wy chcecie walczyć o prawa ludzkie dla zwierząt, a zwierzęta te na was poszczują i rozszarpią one was.

Pytałem się potem Wasiljewa, kiedy słyszałem, jak w innych razach roztaczał przed świeżo spotkanymi ludźmi najpromienniejsze perspektywy, jaki cel miał, mówiąc z nami w takim groźnym tonie.

– Każdy instrument ma swój ton – odpowiedział. – Gdybym wam był mówił<sup>240</sup> o bliskim zwycięstwie, bylibyście nie uwierzyli.

I istotnie nie żałował wtedy mocnych barw.

– Synowie zguby, wy chcecie żyć? Wasza jedna droga: śmierć.

– A to kracze – rzekł Jaszka. – Byłby z was dobry pop na wielki post.

A Brepneisen powiedział spokojnie:

– Żyję, jak chcę, i umieram, jak chcę. Nikt mi nie każe żyć dłużej, niż ja zechcę.

– Nikt mi nie przeszkodzi – odpowiedział Wasiljew – walczyć do ostatniego tchnienia. Póki żyć będę, póki myśleć będę, póki będę miał jedno tchnienie w piersi, to i ono będzie tylko krzykiem: śmierć tyranom, śmierć obłudzie, śmierć wyzyskiwaczom!

Wy się nie patrzcie na mnie zdziwieni. Wy żyjecie w świecie uprzywilejowanym. Wy macie dostęp do nauki, do światła, wasze kobiety są czyste, wasze serca niezatrute pogardą dla samego siebie. Ja przychodzę ze świata potępionych. Tam żyją ci, których rozdeptał wasz świat. Kobiety tam sprzedają swe ciała i są bite. Słyszycie, słyszycie... Bite są kobiety. Przecież to siostra wasza mogłaby być bita w ten sposób. Za liche pół rubla ściągnie ją pijane zwierzę do karczemnego numeru<sup>241</sup> i bije,

<sup>236</sup> *Spartakus* (zm. 71 p.n.e.) – niewolnik rzymski, gladiator, przywódca krwawo stłumionego powstania niewolników. [przypis edytorski]

<sup>237</sup> *Szlisselburg* – tu: *Twierdza Szlisselburska*, położona na wyspie u wypływu rzeki Newy z jeziora Ładoga; od 1730 do 1917 pełniła funkcję carskiego więzienia politycznego. [przypis edytorski]

<sup>238</sup> *czern* (daw., pogardl.) – motłoch, pospólstwo. [przypis edytorski]

<sup>239</sup> *Obruczew*, *Władimir Aleksandrowicz* (1836–1912) – rosyjski wojskowy, publicysta i demokrat; aresztowany jako członek tajnego stowarzyszenia kolportującego w 1861 gazetę „Великорусс” (Wielkorus); reakcja tłumu, o jakiej mowa, nastąpiła podczas publicznego ceremoniału ogłoszenia mu wyroku (4 lata katorgi), na placu Mytnym 31 maja 1862. [przypis edytorski]

<sup>240</sup> *Gdybym wam był mówił* – przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość. [przypis edytorski]

<sup>241</sup> *numer* – tu: pokój opatrzonej numerem. [przypis edytorski]

bije, czym może: kijem, kułakiem, butem. A wy wiecie, że taka obita, opluta, osiniaczona kobieta może mieć gdzieś u siebie w jakimś zgniłym, śmierdzącym kącie dziecko. I wy chcecie żyć, uczyć się, myśleć. Póki choć jeden człowiek ginie w świecie, póki choć jedno życie jest tak wdeptane w błoto, nie warto żyć, nie można żyć – jak tylko walcząc. Krew wszędzie, wszędzie ludzka krew. Purpurową krwią spisane są książki waszych uczonych, wasze prawa pisane są łzami głodnych dzieci. Wasza cnota nie wyprała swoich szat z krwi. Padliną żyje wasz świat. Wy się dziwicie, że ja mówię do was w ten sposób, że ja nie mam wymuskanych, wymytych słów. Nie. Ja nie jestem z waszych kółek. Ja nie chcę uczyć się, doskonalić, ja nie jestem nic poza walką. Tymi oto rękami zadusiłem człowieka: jestem Sergiusz Nieczajew<sup>242</sup>.

Wielki łowca dusz, człowiek, który ujarzmił takiego nawet węża-uwodziciela, jak Bakunin<sup>243</sup>, nie pomylił się i tym razem. Wybaczyliśmy mu wszystko za siłę nienawiści, za elementarne, żywiołowe tchnienie walki i samozatrącenia. Na żadnej innej drodze nie byłby Nieczajew doszedł tak szybko do porozumienia z nami. Teraz gotowi bylibyśmy iść z nim razem. Moje pięćset rubli poszły na fundusz podstawowy rewolucyjnej drukarni.

### 3

Początkujący rewolucjonista znajduje się w specjalnych warunkach psychicznych. Są rzeczy, które on jeden jest w stanie wykonać w pewien sposób. Do rzędu rzeczy tych należy rewolucyjna literatura. Pracom rewolucjonistów początkujących może zbywać na wiedzy, na doświadczeniu, na zwartości w rozumowaniu i argumentacji. Posiadają natomiast pewną im tylko właściwą świeżość wiary. Nienauczony przez doświadczenia młody działacz wierzy w natychmiastowość skutków. Słowa jego mogą zaprzeczać tej młodej wierze, ograniczać ją, uwarunkowywać, ale to jest pozór. Jest to doświadczenie wmówione. Na dnie serca młody rewolucjonista wierzy, że każde słowo przez niego napisane i wydrukowane w potajemnej gazetce stanie się natychmiast ciałem i krwią. Dlatego też w pismach jego pulsuje niezastąpiona przez nic bezpośredniość. On sam drży z niecierpliwego męstwa, gniewu, radości, wyzywającej niebezpieczeństwa, gdy pisze. I przejęcie to udziela się jego słowom, poprzez słowa zaraża czytelnika. Tak pisaliśmy naszą gazetkę i nasze proklamacje w drukarence założonej przez Nieczajewa. Była ona więcej niż prymitywna, składała się z niewielkiej ilości czcionek, z drewnianej ramy i dwóch kawałków marmuru.

Marmur zdobyła Waria z letniego mieszkania matki, gdzie istniał w altance marmurowy stolik ogrodowy. Rozbiliśmy blat na dwie połowy i oddawał on nam wielkie usługi. Dzięki niemu proklamacje nasze i gazetka równiej i czystiej były drukowane niż w innych ówczesnych rosyjskich drukarniach potajemnych. Z czcionkami było istotnie kuso, mieliśmy szczególnie mało niektórych liter: pamiętam, że często brakowało litery „r”, toteż nakazywało się współpracownikom, aby z tą zbyt kłopotliwą literą obchodzili się jak najostrożniej. Wyraz „barbarzyńca” został całkowicie wycofany z obiegu, aż dwie litery „r” w jednym słowie. Zastąpiliśmy go przez „kanibal”.

Drukarnię urządziliśmy w mieszkaniu wynajętym przez Brenneisena. Miało ono wielką zaletę, gdyż stanowiło część wielkiego lokalu najmowanego przez głuchoniemego krawczyne, którego żona upośledzona była również w ten sam sposób. Mieściła się nasza drukarenka w koszu, który stał w mniejszym z dwóch zajmowanych przez Brenneisena pokojów. Wadą było to, że pokój nie

<sup>242</sup> *Nieczajew, Siergiej Giennadijewicz* (1847–1882) – rosyjski rewolucjonista; uczestnik ruchów studenckich, od marca 1869 na emigracji, gdzie zetknął się z Bakuninem; jesienią powrócił do kraju i założył radykalną organizację o nazwie Zemsta Ludu, rozbity po zamordowaniu przez Nieczajewa i kilku jego towarzyszy Iwana Iwanowa, który sprzeciwiał się jego metodom i opuścił grupę (21 XI 1869); uciekł za granicę, gdzie został aresztowany i wydany władzom carskim; zmarł w Twierdzy Pietropawłowskiej; był pierwowzorem postaci Piotra Wierchowieńskiego w powieści Dostojewskiego *Biesy*. [przypis edytorski]

<sup>243</sup> *Bakunin, Michaił Aleksandrowicz* (1814–1876) – ros. rewolucjonista, jeden z twórców koncepcji anarchizmu w jego wersji kolektywistycznej; sprzeciwiał się istnieniu relacji rządzący-rządzony we wszystkich sferach, od religijnej, poprzez państwową, do prywatnej; niezłomny bojownik o wolność, całe życie żarliwie wspierał też dążenia Polaków do odzyskania niepodległości. [przypis edytorski]

miał drugiego wyjścia, ale za to wejść do niego można było tylko przez wielki pokój, służący Brenneisenowi za pracownię i jadalnię. Zresztą okno naszego pokoiku znajdowało się co najwyżej o dwa łokcie ponad daszkiem jakiegoś składu czy stajni. A z daszku tego nietrudno było dostać się już na ziemię.

Nieczajew dostarczył nam rewolwerów, a Brenneisen oświadczył, że żywym go policja nie weźmie. Tymczasem wziął się gorliwie do drukowania, pisanie sprawiło mu mniej przyjemności. Mnóstwo talentów natomiast odkryliśmy w Jaszce. Przede wszystkim zaczął on sypać, jakby z rękawa, artykułami, proklamacjami. Sam on podrwiwał ze swego pisania i gdyśmy go chwalili, gwizdał przez popsute zęby. W istocie jednak obchodziło go bardzo, jakie wrażenie robią jego artykuły. Przy tym on jeden z nas wszystkich najmniej troszczył się o zdanie Nieczajewa. Nazywał go Napoleoniątkiem i pokpiwał z niego, czym wzbudzał wielki gniew Warii Torzeckiej. Waria stała się prawdziwie genialną dostarczycielką pieniędzy. W tym czasie Nieczajew potrzebował ich nieustannie i ciągle narzekał na ich brak. Miałem wrażenie, że bardziej niż pieniędzy jeszcze brakuje mu ludzi. Sam on piętnował nieustannie palącymi wyrazami niewolnicze instynkty i tchórzostwo Rosjan.

– Im by tylko książeczkę czytać:

„– Dzień dobry, Wasyli Iwanowiczu, a co słychać?

– Wszystko dobrze, Iwanie Wasiljewiczu. W kazańskiej guberni do głodnych chłopów kartaczami<sup>244</sup> strzelali. Stu czy dwustu zabito.

– Ot, co? Ja zawsze mówiłem, że my mamy niemożliwy ustrój.

– Wasza racja... głodnemu po co kartacze.

– Oczywiście, głodny potrzebuje chleba.

– Naturalnie: chleb powinien być dla wszystkich...

– Tak oto właśnie: ja teraz o tym piękną książkę czytam.

– A ja czytam o szkodliwości prostytucji...

– Także ważna kwestia. To po przeczytaniu poproszę...

– Z przyjemnością, z przyjemnością, wzajemnie”.

I całkiem to oni, jak te instytucje<sup>245</sup>, książeczkami się mieniają<sup>246</sup>. A nie, to jeszcze lepiej: Ja tobie dam piękną ideę i ty mi dasz piękną ideę, i basta.

Na chłopskiej pracy wszystko to wykarmione: na pańszczyźnie i po pańszczyźnianych haremach porozwijało sobie indywidualność.

Indywidualność.

Z całej rosyjskiej szlachty jeden tylko Bakunin był człowiek. I trzeba widzieć było, jak go Herzen nieboszyk z góry traktował. Żemczużnikow próbował ująć się za Herzenem. Jego „Dzwon”<sup>247</sup> budził całą Rosję.

– To właśnie: a wcale jej budzić nie było potrzeba. Tej jego Rosji: niechby ją był rozbudził czerwony kogucik a topór.

– A potem?... – spytał Żemczużnikow.

– A cóż? Potem ogień i krew, ogień i krew, aźby został sam chłop i sam robotnik, a wtedy ty jego budź, a nie daj mu zasnąć, a nie daj mu stworzyć sobie nowych bogów.

Jaszka zmrużył oczy.

– A jakby – powiada – chłop popalił krzyże, a potem sobie dla odmiany z Dniepru wyciągnął na nowo Peruna<sup>248</sup>.

<sup>244</sup> *kartacz* – pocisk artyleryjski zawierający w lekkiej obudowie odłamki metali lub ołowiane kule rozpryskujące się przy wybuchu; używany do XIX w., zastąpiony szrapnelami i pociskami odłamkowymi. [przypis edytorski]

<sup>245</sup> *instytutka* (rzad.) – wychowanka instytutu dla panien-szlachcianek; pensjonarka. [przypis edytorski]

<sup>246</sup> *mieniać* (daw.) – zamieniać, wymieniać. [przypis edytorski]

<sup>247</sup> „*Dzwon*” – ros. „Колокол” (Kołokoł), pierwsza rosyjska gazeta rewolucyjna, wydawana przez A. Hercena na emigracji w latach 1857–1867; jednym z głównych redaktorów był M. Ogariow, z „Kołokołem” współpracował także M. Bakunin. [przypis edytorski]

<sup>248</sup> *Perun* – słowiański bóg piorunów. [przypis edytorski]

– To już nasza rzecz, aby mu Peruna obrzydzić – rzekł. – Na człowieku ponarastało dużo dzikiego mięsa. Topór będzie miał robotę.

Brenneisen rzekł cicho i spokojnie:

– Ja z wami idę tylko do topora, potem nie.

Nieczajew z Brenneisenem nie spierał się nigdy, nazywał go Szymon Słupnik<sup>249</sup>, ale szanował.

– Do topora – rzekł – ani ty, ani ja nie dożyjemy. – A potem dodał: – Chociaż kto to wie.

Gdyby było więcej krwi w narodzie.

O Herzenie mówił Nieczajew z nienawiścią...

– Plantatorską duszę miał człowiek, który napisał, że loretka<sup>250</sup> w tym podobna jest do cielęcych kotletów, że jedną i drugimi można się rozkoszować, ale mówić o nich nie można.

Loretka to już dla niego nie był człowiek. To już był człowiek inny: upadły.

I wy mi tu jeszcze będziecie mówić, że nie w pańszczyźnianych haremach oni wyrosli. Człowieka do kotletów porównywać. I jedno, i drugie dla mnie. Upadli ludzie! Upadli ludzie. Ludzie, których jedzą i którzy jedzą innych. Kto wie, co jest wstrętniejsze... Loretka jest upadła, jeżeli was nie rujnuje, jeżeli nie jeździ po was jak po mułach. Kokota<sup>251</sup> bijąca bankiera pantoflem po twarzy to też protest.

Dowcip Nieczajewa zniknął, gdy brał on pióro do ręki.

Pisał on w sposób urywkowy, ostry, nieprzekonywający.

– Jak ja mam pisać, kiedy pomiędzy mną a niewolnikami nic wspólnego nie ma.

Stał on istotnie całkowicie z tamtej strony. Dla takich ludzi jak Nieczajew jeden już tylko język: gilotyna. Był on jedynym znanym mi chyba przykładem **terrorysty** w przekonaniowym znaczeniu systematu<sup>252</sup>. Dla niego śmierć była nie środkiem walki, ale jakąś niecofioną koniecznością. Jak Marat mógłby on obliczać ilość głów, które strącić z karków należy.

Pisanie jest odkrywaniem niespodzianek w samym sobie. Nieczajew już niczego nie odkrywał. Wykonywał on. Dawał gotowe wyroki.

Natomiast Jaszka był niewyczerpany.

Dziś układał liturgię żałobną nad Rosją, wyśpiewywaną przez Iwana Groźnego<sup>253</sup>. To znowu pisał straszliwą biografię Mikołaja. To gradem szyderstw zasypywał Aleksandra II, to od imienia matuszki popadii pisał list do Katkowa.

Proklamacje natomiast mniej mu się udawały.

Te pisał znakomicie Żemczużników. Zwarte i logiczne, prowadziły konsekwentnie do wniosku, że rewolucja jest konieczna, zbawienna, nieunikniona.

Na przestrzeni kilkudziesięciu wierszy umiał on wyklądać najzawilsze sprawy w sposób tak jasny, że stawały się one proste.

I proste były one istotnie, gdy się miało odwagę odrzucić cały splot istniejących stosunków.

My zaś z rzeczywistości istniejącej nie pragnęliśmy ocalić nic, nic nie pragnęliśmy przenieść poprzez płomienną rzekę rewolucji. Aksjomatem było dla nas, że nic z tego, co jest związane ze stanem niewoli człowieka, nie zasługuje na szacunek bezwzględny. Człowiek swobodny zdoła chyba stworzyć, gdy zapragnie, wszystko to, co miało jakąś wartość w dziele ludzkości niewolniczej.

<sup>249</sup> *Szymon Słupnik, Szymon Słupnik Starszy* (390–459)– syryjski asceta wczesnochrześcijański, zbudował wysoki kamienny słup z platformą na szczycie, na której spędził resztę życia; święty katolicki i prawosławny; jego styl życia naśladowało wielu innych ascetów. [przypis edytorski]

<sup>250</sup> *loretka* (daw.) – kobieta z półświatka. [przypis edytorski]

<sup>251</sup> *kokota* (daw.) – prostytutka. [przypis edytorski]

<sup>252</sup> *systemat* (przestarz.) – system. [przypis edytorski]

<sup>253</sup> *Iwan IV Groźny* (1530–1584) – wielki książę moskiewski, pierwszy władca Rosji, który koronował się na cara (1547); w latach 1565–1572 wprowadził opryczninę, politykę umacniania swojej autorytarnej władzy przez stosowanie terroru, zastraszanie ogółu ludności oraz pacyfikację wyższych warstw społecznych. [przypis edytorski]

– Człowiek nie powinien zależeć od rzeczy – mówił Brenneisen, ale jednocześnie dodawał: – A nie jest swobodny ten, który kocha, musi kochać jakąś rzecz.

On jeden z nas wszystkich zapatrywał się sceptycznie na chłopskie pojęcia o ziemi. Kto pragnie ziemi, jest niewolnikiem ziemi.

– Na chmurach jęczmień się nie rodzi – żartował Żemczużnikow – a z Marsa transporty zboża nie przychodzą.

– Człowiek musi żyć z ziemi, ale nie powinien jej dostrzegać. On powinien być **ja** i kochać to, co jest **ja** – odpowiadał Brenneisen.

Nie przeszkadzało to jednak mu z najwyższą cierpliwością składać nasze hymny na cześć gminy.

Przewyższając nas wszystkich wyrobieniem moralnym, Brenneisen najmniej z nas znał przeciętne życie.

On nawet uzasadniał tę swoją niewiedzę.

– Ja nie jestem wcale obowiązany znać, co jest rzeczywistością niższego typu. Ja wiem, czego ja chcę. I chcę tak żyć, jak chcę i mogę. Tak kiedyś będą żyli wszyscy ludzie. Ja chcę żyć tak, jak będą żyli kiedyś. Ja nie mogę zrzekać się siebie dlatego, że urodziłem się w tak mało rozwiniętym wieku, jakim jest nasz XIX.

Brenneisen rzadko mówił. Częściej słuchał. Decyzji swojej nie zmieniał prawie nigdy.

– Szymon Słupnik – mówił Nieczajew – jest największy siłacz.

Istotnie czuło się w Brenneisenie obecność skupionej siły. Wzbudzał on szacunek zbliżony do strachu, gdyż czyny jego i słowa nacechowane były znamionami potęgi wyższej i nie zawsze dla nas zrozumiałej.

Waria bladła i mieniła się, ile razy mówił do niej.

Nie dziwiliśmy się temu, gdyż nawet Jaszka milkł w środku nie skończonego żartu, gdy poczuł na sobie jasne i ciężkie spojrzenie Słupnika.

O tę siłę, którą czuliśmy, strzaskało się istnienie naszej drukarni, a stało się to blisko w miesiąc po jej założeniu.

Już w pierwszym tygodniu drukowania zauważyliśmy, że najtrudniejszą bodaj stroną sprawy będzie rozpowszechnianie naszej literatury. Pomiedzy naszym kółkiem a resztą studenckiego świata całkiem spontanicznie powstała próżnia. Odcieśliśmy się od życia i musiało być w nas coś, co mroziło zbliżenie. Być może był to wpływ surowej postaci Brenneisena. Stanowiliśmy pewien rodzaj wysepki, pomiędzy którą a światem płynął nurt lęku i nieufności wzajemnej. My sami nie czuliśmy się dobrze w towarzystwie nastrojonym na inny ton. Być może było to skutkiem pewnego rodzaju instynktu myślowego. Nasz świat idei nie znosił nacisku rzeczywistości. W tym okresie byliśmy jeszcze wierzącymi rewolucji, nie jej świadomymi i trzeźwymi oraczami.

Rewolucja! Sam ten wyraz dziwnie odbija dziś, gdy myślę o tamtym czasie, o naszych ówczesnych działaniach. Myśmy nie czuli się wtedy związani ze światem; nie czuliśmy się zobowiązani do żadnych tłumaczeń wobec niego, lecz po prostu szliśmy mu zwiastować mroczną naukę zniszczenia istniejącej krzywdy. Wszystkie przesłanki, argumentacje przepaliły się już przedtem w naszych głowach. Myśli nasze zahartowały się i zaostrzyły. Nie znaliśmy wtedy akordów pośrednich, za najlżejszym poruszeniem wydawaliśmy pełny i potężny dźwięk spiżu, bijącego na alarm. I to odstręczało. Sonda rozmowy towarzyskiej napotykała nazbyt szybko surowy opór metalu i łamała się. Nie mieliśmy o czym mówić z kolegami naszymi, którzy dopiero zaczynali żyć, którzy dopiero gromadzili materiał dla wniosków, dawno już przez nas wysnutych.

Nie mogę myśleć bez podziwu o atmosferze umysłowej, w której tak szybko poznać się i skupić mogli ludzie stojący na tak abstrakcyjnym cyplu myśli. Byliśmy, gdyśmy się poznali, od razu pewni, że nas nie obowiązują żadne z powszechnie uznawanych mniemań.

Gdyby nasze kółko stało się przedmiotem dochodzeń śledczych, wyobrażam sobie, ile nałamałaby sobie głowy prokuratoria<sup>254</sup>, gdyby chciała znaleźć, kto z nas właściwie spropagował i wprowadził na drogę „występku” pozostałych. Prawdopodobnie rolę tę przypisano by Brenneisenowi. Myślę bowiem, że najbardziej ograniczony sędzia śledczy nie mógłby uwierzyć, aby nad człowiekiem tym i jego sumieniem mógł ktokolwiek bądź zapanować, aby ktokolwiek czy cokolwiek mogło go pozbawić absolutnej swobody wewnętrznej. Ale tu i o odwrotnym stosunku nie mogło być mowy. Ludzie charakteru Brenneisena nie oddziałują nigdy na innych w kierunku określonym i praktycznym. Zresztą w Brenneisenie była jakaś skończoność moralna, zamkniętość, która wykluczała wszelkie oddziaływanie jednostronne. Był on pomiędzy nami raczej jak posąg rzymskiego stoika<sup>255</sup> niż żywy człowiek. I działał też tylko tak: i koło posągów tworzy się przecież surowa atmosfera hartu i wzniosłości. Zналиśmy go nawet mało pod względem zewnętrznym. Nic nie wiedzieliśmy o jego rodzinie. Nie przychodziło nam nawet do głowy myśleć, czy Brenneisen kochał, czy w ogóle mógł kochać kobietę. Zresztą miłość i kobieta zajmowały w naszej myśli wtedy mało miejsca. Jaszka tylko od czasu do czasu rzucał jakiś żart lub anegdotę i Żemczużnikow rumienił się, gdy żartowaliśmy, że się ubiera zbyt elegancko, że musi mieć gdzieś narzeczoną.

Żemczużnikow był dziwnym człowiekiem. Cichy, niemal przesadnie ugrzeczniony, nad wyraz systematyczny i porządny, robił wrażenie młodego człowieka, który musi zrobić karierę, musi podobać się przełożonym. Nie narzucał się nikomu ze swym zdaniem, więcej słuchał, niż mówił. Nagle jednak wybuchał, gdy urażono jego przekonanie. Wybuchy te miały dziwny charakter. Były to jakieś rozplomienienia wewnętrzne. Myśl Żemczużnikowa zaczynała nagle świecić jasnym, równym światłem, wtedy widziało się jego wielkie wyrobienie moralne i umysłowe.

Czy było to słuszną rzeczą mówić, że Nieczajew właściwie był naszym „uwodzicielem” rewolucyjnym? Nie sądzę. Myślowo nie dał nam on nic nowego, ale niewątpliwie podniósł skalę naszego czucia i zaostriżył naszą wolę. Sądzę, że i nie spotkawszy się z nim, bylibyśmy nieuchronnie weszli na tę samą drogę. Niewątpliwie natomiast zaważył on na wzruszeniowym tonie naszej myśli, nadając jej żar świadomej, zdecydowanej nienawiści. Dał nam też odwagę niecofania się przed żadną konsekwencją, stanowczego i niecofnionego potępienia wszystkiego, co jest, co śmie istnieć w tym świecie krwi i krzywdy. Myślę, że na tym właśnie zasadzała się siła Nieczajewa: człowiek ten nigdy nie przestawał nienawidzić. Widziałem go w Szwajcarii i widziałem, że przyroda nie wywiera na niego żadnego wpływu. Jej tchnienie nie łagodziło nigdy ostrego żaru, jakim płonęły w nim wszystkie pierwiastki duszy. Musiało od razu na początku życia coś zabić w nim wszystkie organy cichego odczuwania, poprzecinać wszystkie nici łączące go ze szczęściem i spokojem. Nieczajew był nieubłagany w każdej porze życia, w każdym nastroju.

Dla potomności będzie ten człowiek zagadką psychologiczną. Życie Rosji odbiło się na nim, jak odbiło się na surowym kolorycie tych kótek, z których wyszedł Karakozow. Gdy przemoc jest tak wielka i pewna siebie, że nawet rozpaczliwe męstwo przestaje widzieć przed sobą drogę, protest musi albo zagłuchnąć, albo wzbić się w regiony abstrakcji, albo przybrać formę szaleństwa. I Nieczajew miał w sobie coś z zimnego, systematycznego szału. Był on zamknięty w sobie jak kryształ jakiejś nieznannej i do niczego innego niepodobnej substancji duchowej. Nie liczył się Nieczajew z nikim i z niczym. Nas zaczął on okłamywać bardzo szybko. Zrozumiał, gdzie leży w nas słaby punkt. Przywiązaliśmy się do naszej drukarenki i mimo woli wierzyliśmy wszystkiemu, co uświetniało ją w naszych oczach. Nawet Jaszka przestawał uśmiechać się ironicznie, gdy widział na swoich utworach groźną pieczęć Komitetu Ludowej Rozprawy. Pieczęć tę przechowywał Nieczajew u siebie.

Konspiracyjna tajemniczość była jego manią, od której nie mógł się sam wyzwolić. Pomimo woli zaczynał fantazjować, gdy tylko wchodził na ten grunt. Był zresztą mało wykształcony

<sup>254</sup> *prokuratoria* – urząd powołany w celu zastępstwa prawnego w sprawach dotyczących interesów państwa; tu: prokuratura. [przypis edytorski]

<sup>255</sup> *posąg rzymskiego stoika* – cesarza rzymskiego Marka Aureliusza (121–180), zwolennika stoicyzmu, którego konny posąg z brązu znajduje się w Rzymie. [przypis edytorski]

i o wielu rzeczach pojęcia miał wprost dziecinne. Jestem przekonany, że gdy ukazywał nam Międzynarodówkę<sup>256</sup> – i związek Bakuninowski<sup>257</sup> jako jakieś spiski fantastycznie krwawe i romantycznie tajemnicze, sam ulegał złudzeniu. Nie był po prostu w stanie zrozumieć pewnych stron walki rewolucyjnej na Zachodzie. Gdy przestawał mówić o konieczności zniszczenia istniejącego ustroju, kończyło się dla niego wszystko. Nienawiść i palące poczucie krzywd, wyrządzanych dziś nieustannie uciemiężonym, wypełniały całą jego istotę. Opowiadał więc nam całe historie o swoich stosunkach za granicą. Żaden z nas nie był jeszcze wówczas w Europie zachodniej, a kordon cenzuralny, oddzielający Rosję od całego świata, sprzyjał tworzeniu się najbardziej fantastycznych pojęć. Toteż nie byliśmy w stanie kontrolować nawet myślowo danych, komunikowanych nam przez Nieczajewa. Miał on zresztą pewien rodzaj listu uwierzytelniającego od Bakunina.

Łatwiej już było przekonać się, że jego rzekoma organizacja w Rosji na kruchych musi się opierać podstawach. Przekonywały nas o tym trudności, jakie napotykało rozsyłanie proklamacji i gazetki. Nieczajew mówił nam o kółkach potrójnego systemu, o agentach zwyczajnych i nadzwyczajnych. Najczęściej jednak musieliśmy rozsyłać nasze proklamacje w kopertach pod różnymi, nieraz bardzo dowolnie wybranymi adresami lub też roznosić je i wsuwać ukradkiem do mniej lub więcej znajomych mieszkań. Pomimo to wyrzeczenie się drukowania stanowiłoby dla nas zbyt ciężką ofiarę. Łudziliśmy się więc, że zgłaszający się od czasu do czasu z rozmaitego rodzaju hasłami i znakami konspiracyjnymi studenci reprezentują istotnie jakąś organizację, a nie odosobnione kółka w rodzaju naszego. Któż opisze jednak nasze zdumienie, gdy pewnego popołudnia zjawił się w naszym mieszkaniu konspiracyjnym, to jest w pokoiku Brenneisena, posiadający duszę syn pastora, Karol Schultz. Był tak samo gładko uczesany i mankiety, jak zawsze, akuratnie na pół cala wyglądały spod rękawów. Błądy był jednak nieco i zająkiwał się, mówiąc. I on też zdziwił się, spotkawszy nas. Z uporem powtarzał raz po raz:

– Ja nie widziałem twarzy i nie poznałem, i wy nie widzieliście twarzy i nie poznaliście.

Przyniósł nam blankiety z pieczęcią do zbierania składek oraz zakomunikował, że Wasiljew będzie musiał wyjechać za granicę, że niedawno był aresztowany, siedział w twierdzy, ale udało mu się uciec. Nieczajewa nie widzieliśmy przez dni kilka, ale historia z aresztowaniem wydała się nieprawdopodobna. Schultz odszedł, zostawiwszy adres mieszkania, gdzie miałem spotkać się z Nieczajewem.

Po odejściu Schultz'a zastanawialiśmy się wszyscy, w jaki sposób mógł opanować Nieczajew to niewiniątko.

– Zastraszyl go i zahukał, obiecał mu posadę, emeryturę dla ojca i posag dla sióstr – żartował Jaszka.

Istotnie jednak rzecz była podziwu godna.

#### 4

Mieszkanie wskazane mi przez Nieczajewa było wynajmowane przez samego Schultz'a właśnie. Całe usposobienie moralne właściciela odzwierciedlało się wiernie w urządzeniu tego pokoiku. Nie było tu ani okruszynki kurzu. Książki w powłóczkach z kolorowego papieru leżały systematycznie poukładane na stole. Nad łóżkiem, zasłanym białą, czyściuteńką kapą i poduszkami w poszewkach z

<sup>256</sup> *Międzynarodówka* (Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników, 1864–1876) – międzynarodowa organizacja robotnicza, stawiająca sobie za cel koordynację działalności organizacji robotniczych z różnych krajów świata, wymianę doświadczeń oraz pomoc dla strajkujących i walczących o prawa robotnicze; po przyłączeniu się do Bakunina i jego zwolenników, podzieliła się na dwa obozy: anarchistów i marksistów; ze względu na niedające się pogodzić konflikty została rozwiązana, zaś część działaczy założyła w 1889 II Międzynarodówkę, skupiającą partie i organizacje socjalistyczne. [przypis edytorski]

<sup>257</sup> *związek Bakuninowski* – Międzynarodowy Alians Demokracji Socjalistycznej, anarchistyczna organizacja założona w 1868 w Szwajcarii przez Michaiła Bakunina (1814–1876), rosyjskiego rewolucjonistę, twórcę anarchizmu kolektywistycznego; po odmownej decyzji przyjęcia Aliansu w poczet członków Międzynarodówki, organizacja została rozwiązana, a jej członkowie wstąpili do narodowych sekcji Międzynarodówki. [przypis edytorski]

haftowanym znakiem, wisiała wyszywana dżetami<sup>258</sup> kieszonka na zegarek, a nad nią portret łysego, otyłego mężczyzny oraz damy bardzo chudej, o wystraszonych oczach.

Samego Schultza nie było w pokoju, gdym przyszedł. Na sofce leżał Nieczajew i palił nerwowo papierosy. W ogóle był rozgorączkowany i rozdrażniony.

– Trzeba znikać – rzekł. – Tam w Moskwie wszystko się psuje. Lada dzień powpadamy wszyscy. Trzeba się przycząić na chwilę.

Zapytałem go o Schultza.

– Kurczątko! – rzekł. – Nie wiedziałem, że go znacie. – Uśmiechnął się. – Wrócił całkiem nastraszone: „Poznali mnie”. Teraz jest na wpół przytomny ze strachu.

– Ale w jaki sposób on, Schultz, wdał się w tę sprawę?

Nieczajew nachmurzył się:

– Ludzie mi są potrzebni. Kto się pod rękę nawinie, musi służyć, czasu mało.

– Ależ Schultz przekonaniem nie może sprzyjać naszej sprawie.

– Przekonaniem? – Nieczajew zagwizdał. – Gdzie wyście w Rosji znaleźli przekonania? Strach i frazesy. Strach i puszenie się, kiedy nas nikt nie widzi. Et... co tu gadać długo. Ja wyjeżdżać muszę. Wy musicie jechać do Moskwy. Tam podobno to ciało znaleźli w stawie pod lodem. Trzeba powiedzieć. Niech się nie płaczą. Wykręcić się nie da. Ja zabiłem i ja kazałem brać udział w zabójstwie. Sprawę stawiać dumnie. Głowy i tak już nie ocala. No, i już. Co więcej – tam Popowa trzeba mocno naelektryzować. W ambicję wbić. Uśpiński<sup>259</sup> i sam się utrzyma, ale Popow... I niech wierzą, że sprawa nie ginie. Jadę za granicę i wracam. Organizacja nienaruszona.

– Organizacja Schultzów? – zapytałem.

– Schultzów i nie Schultzów. Wszystko jedno. Głównie, aby był ruch. Czy nie wszystko jedno, czym podpalam stóg, hubką, zapałką, świeczką czy łachmanem umoczoną w nafcie. Byle ogień był. Podniósł się z kanapy; było ciemno. Nieczajew nie chciał zapalać światła.

– Wy myślicie, że mi to nie zbrzydło – rzekł – kłamać i kłamać. Ludzi kłamstwem spoić, strachem trzymać i tak gnać. Ty mi daj człowieka, który zniesie prawdę Sergiusza Nieczajewa, to ja jemu powiem moją prawdę. Nasłuchałem się ja słów. Postęp, postęp. Dobra sprawa zwycięża. A kiedy ta dobra sprawa zwycięży, z nas już dawno ani śladu nie zostanie. No, i dużo ja ludzi znajdę, kiedy ja im prosto w twarz powiem – szubienica. Oni ciągle słówkami się bawią. Nieboszczyk „baryn”<sup>260</sup> – tak nazwał Nieczajew Herzena – zwykle mówił: „My nie Polacy, do nas strzelać nie można”. Skąd mu taka pewność. Od jakiego to czasu skóra rosyjska w takiej cenie? Nie można strzelać – a ty się przekonasz, że można. Rosyjskiego ducha, rosyjskiego rządu wy nie znacie. On postawi ze stu tysięcy, z milionów głów piramidy – i nic. Sto wsi trzeba spalić – spali się. Miasto zbombardować – zbombarduje się. Studentów powywieszać – drzew na szubienice wystarczy. Studentki kozakom oddać dla uciechy. I to można. One inteligentne, a skąd ty wiesz, że inteligentnej kobiety gwałcić nie można. Czy ona ma Bukła w głowie i „prawa człowieka”, czy nic nie ma – wszystko jedno. Zoologia ta sama. Prawo! Prawo! Jakie prawo? Dopóki siedzisz na wozie – dobrze, a jak pod wóz spadniesz – stratuja cię. I jak wy nie słyszycie trzasku kości: po ciele ludzkim my ciągle jeździmy.

Zamyślił się.

– Ja tu raz w Petersburgu – rzekł – umierałem z głodu. Całkiem literalnie: zebrać chodziłem. Nie umiałem zebrać, oczy zuchwałę mam. No i kiedyś osłabłem z głodu, padłem na ulicy, przycisnęło mnie. Do szpitala zawieźli, poleczyli trochę. Później na ulicę. W kieszeni ani grosza. Nogi ledwie stąpają, w głowie kręci się. Dzień cały chodziłem po ulicach. Jesień już była. Siadłem na schodku, siedzę... Trąca mnie ktoś. Patrę, dziewczyna stoi wymalowana cegłą czy burakiem.

<sup>258</sup> dżet – błyszczący czarny kamień ozdobny, czarny paciorek. [przypis edytorski]

<sup>259</sup> Uspiński, Gleb Iwanowicz (1840–1902) – rosyjski pisarz, bliski ruchowi narodników. [przypis edytorski]

<sup>260</sup> baryn (ros. барин) – wielmożny pan, człowiek należący do klasy wyższej, szlachcic. [przypis edytorski]

„Zmarzniesz, lepiej do mnie chodź, ogrzejesz się...”

Pokazuję, że nie mam ani grosza.

Rozśmiała się, zagwizdała i poszła.

Próbowałem wstać, iść – nie mogłem. Gorączka chwyciła mnie, zęby szczękają.

I takem siedział w pustej ulicy i umierał. Wokoło były domy bogatych ludzi. Jedli, pili, spali w czystych posłaniach. Czy ja dla nich byłem człowiekiem? Niech mi nikt nie mówi, że jest społeczeństwo. Nie uwierzę: ja w tę noc nauczyłem się myśleć. Przechodziły koło mnie dziewczęta pijane, głodne, zmarznięte, złe. Śmiały się. Nie mogłem się ruszać. Zebrała się ich koło mnie cała gromadka. Kto taki? Mówię: „student”. Śmiech. Wreszcie uradziły zabrać mnie – weselej będzie. Poszliśmy do pokoiku; mieszkały w nim dwie dziewczyny. Wiem, że coś piłem. Potem zwałem się i takem zostałem. Przez dwa tygodnie tam na sofce przeleżałem w gorączce. Dziewczyna – upadły człowiek, prostytutka, błoto, na które taki piękny pan jak Herzen spojrzeć by nie chciał, jeść i pić mi dawała, ciałem swoim na mnie zarabiając. Tak ja sobie leżę w gorączce, a do niej przez noc pięciu, sześciu gości przychodzi.

Słyszę, jak biją ją, a ona krzyczy, i ruszyć się nie mogę...

Raz pijany wachmistrz ją już zbił i nogami skopał.

„A teraz – mówi – ja twojego seladona<sup>261</sup> – to jest mnie – pomacam”.

Wtedy ona jego rękę się czepiała, w nogi go całowała, aby mnie nie ruszał.

Potem cały dzień siedziała przy mnie: jakąś laską okutą głowę on mi wtedy nadwerężył – i płakała nade mną. Piosenki mi śpiewała, bajki opowiadać chciała. A najniższego rzędu prostytutka była. Od gościa i pół rubla nieraz nie dostała.

I za cóż ja teraz was oszczędzać mam? Czy wyście nas oszczędzali?

– My? – chciałem protestować.

I nagle przypomniałem sobie Bejlę, przypomniałem sobie całe moje dzieciństwo. Zaciążyło na mnie wspomnienie wygód. Zamilkłem.

– Uczciwości w was jeszcze wystarczyło – rzekł Nieczajew.

– Zginiecie, zginiemy wszyscy. A nas mało ginie każdej godziny? Czym wy dla mnie świętsi od tych wszystkich pijanych, głodnych? Każdy złodziej i każdy przestępca jest mi tak samo brat, jak wy. Nie! Jaki wy mi tam brat. Ja stamtąd idę. Z tamtych zgniłych piwnic, gdzie chore matki rodzą dzieci na mokrych, cuchnących rogożach<sup>262</sup>. Co mnie wasz świat, co mnie wy? Wy chcecie, abym ja wam prawdę mówił. A czy my mamy jednakowe słowa? Wasz ojciec to dumny pan, a mój – pijany diak, który chłopów okrada i w pysk od urzędników bierze. Ja widziałem, jak jemu sędzia brodę do stołu lakiem przykapał, później nad uchem strzelił. Brodę wyrwał sobie i rubla srebrem dostał. A moją siostrę matka za dziesięciorublowkę porucznikowi sprzedała. Nietanio przecież! Jedna tylko noc. Dziewicza. Po dziesięć rubli za panieństwo diakonowej córki. A kiedy porucznik odjeżdżał, mnie czterdzieści groszy dał: dwanaście lat wtedy miałem. Cukru lodowatego<sup>263</sup> sobie kupiłem.

Zamilkł.

Wy słuchacie sobie i myślicie: znowu kłamie. Rozczulające historie opowiada. A może i kłamie. Może nie ze mną to się przytrafiło. A czy mi nie wszystko jedno? Czy mało nas biją, czy ciała naszych sióstr nie sprzedają?

O mnie Herzen mówił, że ja mogę pannę uwieść, aby ją zrewolucjonizować. Uważacie: młodą pannę z dobrego domu. Nie jakąś tam pierwszą lepszą. A mnie co? Póki są prostytutki, każda kobieta jest towar i rzecz. Czystość tylko dla bogatych. A ja nie znam się na tych przywilejach, różnicach. Nie

---

<sup>261</sup> *Seladon* – uosobienie sentymentalnego kochanka; bohater popularnej sielankowej powieści-rzeki *Astrea* (1607–1627) Honoriusza d'Urfé. [przypis edytorski]

<sup>262</sup> *rogoża* (daw.) – mata upleciona z łyka lub z sitowia. [przypis edytorski]

<sup>263</sup> *cukier lodowaty* – cukier trzcinowy w postaci dużych kryształów, dawny smakołyk. [przypis edytorski]

patrzcie się tak na mnie. Szczerze wam mówię: z nikim i niczym ja się nie liczę. Podpalacz jestem i nie mam czasu przebierać.

– Czy Iwanow był szpiegiem? – zapytałem.

Iwanow był to student zabity w Moskwie przez Nieczajewa.

Nieczajew podniósł głowę.

– Nie! – rzekł.

– Więc dlaczego? – zapytałem.

– Było trzeba. Będzie trzeba: was zabiję albo kurczątko.

Roześmiał się.

– Organizację zniszczyć mi chciał. Mądry był, delikatny. Nie czas jeszcze. Będzie nas więcej, robota pójdzie łatwiej. Dożyć potrzeba. Ot, i nie dożył.

– Nasze drogi się rozchodzą, Nieczajew – rzekłem.

Nieczajew położył mi rękę na ramieniu.

– Mnie wy możecie i w oczy napluć. Mną możecie gardzić, możecie mnie przeklinać, byle tylko robota szła. Kiedyś zrozumiecie. To jest walka na zęby i pazury. Kto kogo wytepić zdoła: my ich czy oni nas. A najlepiej: i oni nas, i my ich. Wtedy zostaną oni sami: ci z dołu.

– A potem?

– Nas nie będzie. Naszego śmierzącego świata nie będzie. Kultura zginie. Niech ona ginie, ta wasza kultura. Ja w pokoiku dziewczki ulicznej, bity przez sutenerów, dowiedziałem się, co to jest kultura. Ludzkość? Wy obliczcie, ile tej ludzkości na gnój idzie.

– Do Moskwy pojedę – powiedziałem – iść pora.

Nieczajew nagle schwycił mnie za rękę.

– Lubiłem was – powiedział. – Wy nie patrzcie, że na moich rękach krew. To nie była niewinna krew. Nie wolno mieć ambicji, mieć rozumu, kiedy idzie o walkę. On stał na mojej drodze. Cóż ja? Prędzej czy później i mnie koniec ten. Ja widziałem, jak wieźli na śmierć Karakozowa. Ręce i nogi wisały jak gumowe łachmany, jakby w nich kości nie było. Jego sam Murawjew badał. Czy wy wiecie, jak nam przyjdzie umierać? Jemu było łatwiej.

Było mi go żal.

Czuło się, że on, człowiek, nie ma na świecie nikogo i nic.

– Bądźcie zdrowi – powiedziałem mięcej. – Może spotkamy się jeszcze.

– Popowa pilnujcie w Moskwie – raz jeszcze wołał Nieczajew, kiedy wychodził.

Byłem w sieni<sup>264</sup>, kiedy zatrzymał mnie Schultz.

Kurczątko było czymś wzruszone.

– Proszę, niech pan jeszcze wróci.

Wróciłem do pokoiku.

– Ja niechcący słyszałem – rzekł trzęsącym się głosem – co wyście tu mówili o mnie – zwrócił się do Wasiljewa. – To nieprawda, ja nie z powodu tego baszłyka<sup>265</sup>. Ja byłbym się trzymał z daleka, bo mi ojca żal. Ale teraz już nie. Ja nie chcę, aby ludzie umierali z głodu w nędzy. Jeżeli to można zmienić, to mój obowiązek jest zmienić to. Moja rodzina jest w gruncie indywidualizm – przypadek. Nie mam powodu dla indywidualizmu poświęcać ogółu. To nie przez ten baszłyk.

Nieczajew pochylił się nagle nad Schulzem i pocałował go w głowę.

– Wybacz, bracie – rzekł jakby przez łzy.

Okazało się, że początkiem wpływu Nieczajewa na Schultza było to, że pożyczonym od niego baszłykiem był zaduszony Iwanow.

---

<sup>264</sup> *sień* – przedpokój, korytarz, zwłaszcza w domach wiejskich. [przypis edytorski]

<sup>265</sup> *baszłyk* – kaptur z filcu lub grubej tkaniny, z długimi końcami do wiązania wokół szyi lub pasa, noszony dawniej w Rosji. [przypis edytorski]

Opowiedziałem o wszystkim Brenneisenowi. Było postanowione, żebym natychmiast jechał. Brenneisen mocno sposepniał i był małomówny.

## 5

Jechałem w ciężkim usposobieniu. Niejednokrotnie przeżywałem chwile jak gdyby zacierania się i znikania tego, co stanowiło treść moich myśli i wysiłków przez czas dłuższy. Zdarzało mi się to najczęściej w podróży lub przy zmianie miejsca. W styczności z innymi ludźmi, z którymi nas nic nie łączy, występuje dobitnie cała nasza przypadkowość. Wydaje mi się, że wyrażenie „zgubić się w tłumie” oznacza coś więcej niż zwykłą przenośnię. Nowe, a zwłaszcza chaotycznie zmienne, niezaklasyfikowane przez nas środowisko działa na nas zawsze jak gdyby chemicznie. Wytwarza w naszej duszy nowe grupy i kombinacje zainteresowań, zmusza patrzeć na świat innymi, cudzymi oczami, a przynajmniej liczyć się z faktem, że istnieją obok nas niezliczone i nieskończenie różne sposoby odczuwania i pojmowania życia i świata. Niedostrzegalnie wytwarza się w nas jakaś nowa, powierzchowna, migotliwa, ale na razie silnie przemawiająca świadomość, stanowiąca wynik i sumę tych nowych, zmiennych oddziaływań, świadomość ta zaczyna działać i w ten sposób przekonywamy się, że to, co wydawało się nam jedynym możliwym życiem, jest przypadkiem. Trzeba mieć już mocno skryształizowany własny świat moralny, aby nie podlegać takiego rodzaju oddziaływaniom.

Dziwię się zawsze, dlaczego dotychczas nikt nie próbował powiązać systematycznie teorii poznania i psychologii ze statystyką. Każda forma istniejącego naokoło nas życia, a więc i myślenia, wprowadza do naszego wnętrza swoje pierwiastki. Jestem przekonany, że można by niemal matematycznie wykazać, jak dalece myśli przez nas cała społeczna masa. Długi czas męczyła mnie ta żywiołowa plastyczność mojej natury. Każde otoczenie, najbardziej chociażby chwilowe, zabarwiało moje życie psychiczne. Wydawało mi się to zawsze brakiem mojego charakteru i być może, nie myliłem się zupełnie pod tym względem. W każdym zaś razie nigdy nie odczuwałem tak straszliwie i boleśnie samotności i zatracenia samego siebie, jak właśnie w tłumie. Myśli i uczucia, które niedawno jeszcze przejmowały mnie do żywego, zaczynały w takich razach blednąć i tracić rzeczywistość: wydawać się udaniem i pozą. I to też nie było złudzeniem całkowitym. Musi istnieć w człowieku jakiś utajony pierwiastek niezadowolenia z samego siebie, aby mogły się w nim dokonywać tego rodzaju dezagregacje<sup>266</sup> moralne. Dusza nasza przeżywa często całe rewolucje molekularne, kiedy cała myśl, z wszystkimi budowami jej rozkłada się nagle na atomy, na jakąś bezkształtną i nieoporną miazgę.

Głowa bolała mnie mocno, gdym wyjeżdżał. Jechałem w trzeciej klasie. Rozmowa pasażerów drażniła mnie. Było gorąco. Z żelaznego pieca, rozpalonego do czerwoności, wydobywał się czad. Wszedłem na platformę: pociąg pędził wśród szarych pól. Coś niezdrowego wychylało się z dna duszy. Nie mogłem myśleć o niczym z tego, co mam właściwie zrobić w Moskwie. Nie mogłem myśleć o niczym. Z przerażeniem spostrzegłem, że nie obchodzi mnie właściwie nic. Nie miałem ochoty do niczego. Wszystko wydawało mi się jednakowo bezbarwne i czerne. Oszukać swoją nudę chcesz i nic więcej. Zblazowane<sup>267</sup> nerwy żądają zatrudnienia, więc wynalazły sobie rewolucję. Przypomniałem sobie twarze widziane przed chwilą w wagonie. Nie mogłem uwierzyć, aby naprawdę wiązało mnie coś z tymi ludźmi. Z tymi lub jakimikolwiek. Czy warto się zajmować człowiekiem. Czy warto się zajmować czymkolwiek? Gdybym był szczerzy, rzuciłbym się pod koła tego wagonu. Myślałem, czy się boję śmierci. Z gniewem spostrzegłem, jak bardzo bym żałował siebie, umierając. Usiłowałem zanalizować, skąd płynie ten żal? Do czego jestem właściwie przywiązany? Nauka? Myśl? Praca dla rewolucji? Nie! To wszystko było już konsekwencją przyjętego życia. Ale samo życie? Więc nic prócz miłości do swojego istnienia, przywiązanie do samego trwania. Buduje się całe systematy myślowe, całe gmachy działania, tworzy się całe poematy

<sup>266</sup> dezagregacja (z łac.) – rozpad. [przypis edytorski]

<sup>267</sup> zblazowany – znudzony za sprawą nadmiaru wrażeń. [przypis edytorski]

poświęceń i miłości, a w gruncie rzeczy istnieje naprawdę ten tylko kawał mięsa, setkami odnóg wszczepiony w istnienie. Usiłowałem myśleć o świecie, jaki będzie po mojej śmierci, i nie byłem w stanie przemóc żalu, że mnie już nie będzie. I nie tylko dlatego żałowałem, że świat stanie się ciekawszy, szczęśliwszy, lepszy, a ja już nie będę tego widział. Nie, po prostu krwawił się we mnie ból, że **ja** nie będę widział, mniejsza już o to, czego. Więc czy nie miał słuszności Nieczajew? Czy my sami siebie nie zmuszamy do spełnienia czegoś, co właściwie **nas** nie obchodzi, czy nie kłujemy samych siebie ostrogami, byśmy szli, byśmy nie przestawali iść ciągle naprzód? I co mnie naprawdę łączy z tą całą sprawą? Jakiej natury są te węzły?

Nie mogłem rozplątać tego splotu. Ze zdumieniem tylko spostrzegłem, że powrotu już wewnętrznie dla mnie nie ma, że jest coś we mnie, co buntuje się przeciw wszelkiej innej formie życia. Można nie żyć, ale jeżeli żyć – to inaczej już nie będziesz mógł, innego życia ja już nie zniosę. Kto jest to ja, które zbudziło się nagle i przemówiło w kurczątku Schultzu?

Wróciłem do wagonu. Patrzyłem na ludzi tak, jak chory przypatruje się majakom gorączkowym. Była to codzienna przeciętna publiczność wagonowa trzeciej klasy. Otaczała mnie zewsząd beznadziejnością dnia powszedniego. Oto było naokoło mnie życie doskonale przystosowane do form niewoli. Spokojnie i bez przypuszczenia nawet, że tkwi w tym coś nienormalnego, opowiadano tu sobie rzeczy, z których każda była pomimo powszedniości swej proklamacją rewolucyjną.

Człowiek potrzebuje tylko dać sobie pozwolenie wewnętrzne na bunt, a w tejże chwili zrozumie, że w życiu obecnym wszystko jest godne zniszczenia. Zrozumie, że otacza go olbrzymie i potężne mrowisko wzajemnie zagryzających się istot. Społeczeństwo jest czymś w rodzaju potwornych mechanicznych jatek, w które wprowadza się żywe zwierzę, przerabiane już później automatycznie na setki różnych produktów. My zaś jesteśmy jak młynarz, który nie słyszy hałasu sprawianego przez ten młyn piekielny. I my też żyjemy w tym kotle, jak wśród harmonii sfer<sup>268</sup>. Na straży naszych umysłów stoi mocno wszczepione i ugruntowane przez nałóg przeświadczenie, że tu nie ma się czemu dziwić, przeciwko czemu protestować. Przeciętny, oswojony obywatel skłonny jest oskarżać rewolucjonistę o przesadę, nie rozumie, że rewolucjonistą staje się właśnie człowiek dzięki odzyskanej zdolności widzenia.

Miałem sam dla siebie całą ławkę i wyciągnąłem się na niej. Pociąg śpiewał, mruczał coś swym monotonnym żelaznym językiem, ja zaś widziałem i czułem, jak daremne było nasze przedsięwzięcie poruszenia wielowiekowej i wielomilionowej obojętności drukowanym papierem.

Myślałem o Nieczajewie.

Zdawało mi się, że męką tego człowieka musi być zwątpienie, przeświadczenie o tym, że nic nie dąży w pożądanym przez niego kierunku prócz jego woli i być może coś cięższego jeszcze, jakiegoś straszliwego na dnie tej woli rozdwojenie.

Myślałem, że w człowieku tym nie istnieje chyba zdolność szczęścia, że nie jest on zrośnięty z niczym.

Przypomniały mi się słowa:

Pieśń ma była już w grobie, już chłodna.<sup>269</sup>

Człowiek przywiązuje się nieustannie i pomimo woli, ale jeżeli jeden za drugim w jego oczach rozsypują się w błoto i próchno przedmioty przywiązania, to co dzieje się z człowiekiem? Z sercem jego? Gdy wyczerpie się cała zdolność kochania i nie utrwali się w niczym.

<sup>268</sup> *harmonia sfer* – przepelniająca kosmos, niesłyszalna dla ludzi muzyka; wg dawnej koncepcji pitagorejczyków, popularnej aż do XVII w., orbity (sfery) ciał niebieskich pozostają ze sobą w takich samych prostych stosunkach liczbowych jak dźwięki muzyki, zatem wszechświat rozbrzmiewa nieustającą harmonią, której ludzie nie słyszą, gdyż żyją wśród niej od urodzenia. [przypis edytorski]

<sup>269</sup> *Pieśń ma była już w grobie, już chłodna* – cytat z tzw. pieśni zemsty Konrada z *Dziadów części III* Mickiewicza. [przypis edytorski]

Czy może dziecko kochać rodziców, gdy widzi, jak znęcają się oni nad sobą wzajemnie?  
Przypomniała mi się matka Wrońskiego.

I dziwnym skojarzeniem przypomniał mi się mój ojciec.

Ujrzałem go przed sobą, jak siedzi ze swym pańskim, mądrym uśmiechem na ustach.

Ciotka Emilia opowiada, jak zawsze, coś nieskończenie nudnego. Stryj Florian brawuruje.

Och, jakże on tym wszystkim na dnie duszy musi gardzić.

O kim myśli?

I wiedziałem, że wszystkie jego myśli są przy mnie. I raz jeszcze powróciło pytanie: Czy warte jest to wszystko jego bólu?

Serce moje ważyło krótką chwilę i straszliwie, o cały ciężar tęsknoty przeważył ból ojcowski. A jednocześnie nie łudziłem się, że może być inaczej.

Prosiłem jego jasnego czoła, jego pięknych oczu, jego mądrych ust o przebaczenie, modliłem się do nich i w głębi duszy płakałem, jak płacze skarcone, zrozpaczone dziecko.

Więc po co bez wiary i bez zapału, bez właściwego przekonania, takiego, jakie je sobie wyobrażałem wtedy, krwawić i ranić to najdroższe, ojcowskie serce?

Nie wiedziałem jeszcze, że przekonanie to jest właściwie to: nieprzemierzony mus, górujący nad wszystkim. Nie zawsze zlewamy się z nim i stapiamy w wielkim, entuzjastycznym podniesieniu istoty. Często ukazuje się on nam jako własna samowola, jako wina, jako nudny nałóg, nawet jako poza i wmówienie. Istotą jednak jego jest to, że nie możemy się spod niego wyłamać. Bo pomimo wszystko ono – to jesteśmy my. Przekonanie, to jest sam człowiek, nie żaden czar. I odczuwamy je nie jako jakieś źródło absolutnej czystości, nie jako jakąś uskrzydlającą moc nadludzką – lecz właśnie jak naturę własną. Wtedy nie wiedziałem o tym i męczyłem się, uważając siebie za chłodnego i nędznego komedianta. Nie żył samoistnym życiem ten, kto nie przeżywał tych mąk.

Bieg pociągu kołysał mnie.

Zasypiałem z mętnymi marzeniami w głowie.

Sniło mi się coś ciężkiego, straszego. Wydawało mi się, że naprzeciwko mnie siedzi jakaś potworna starucha o wyżartej przez straszną chorobę wardze. Ogołoczone zęby wyglądają jak potworne kły. Starucha mówi o czymś, co jest jeszcze od niej samej straszliwsze. Nie mogę zrozumieć, o co idzie. Na jedną chwilę wydaje mi się, że to jest matka Wrońskiego, szukająca w kufrze umierającego syna spodni, czarnych, nowych spodni w paski. Szuka i wyjmuje z kufierka żółty, chudy trupek dziecięcy, potem drugi, trzeci...

Budzę się...

Naprzeciw mnie siedzi staruszka w białym, czystym czepeczku, o pomarszczonej, sympatycznej twarzy. Na kolanach trzyma worek.

– Chować teraz muszę, od lekarza to jest, świadectwo dał. Więc wiozę je tu przy sobie w woreczku – inaczej, jaki koszt!

Roztwieram szerzej oczy. Jeszcze sen musi być.

Ale staruszka uśmiecha się i mówi:

– Wypaliście się, panicyku, mocno, trzecią godzinę już tak śpicie.

I zwraca się do sąsiada:

— Mrą one u nas w tym roku. Jak jaki rok. Wiadomo, nieurodzaj, kto miał dwie krowy, jedną sprzedał. Która baba brała dwoje dzieci na odkarmienie, bierze trzy. Trzeba przecież jakoś w gospodarce pomóc. No, i jasna rzecz. Czy może wystarczyć mleka, kiedy i bydłę najczęściej zreć nie bardzo co ma? Jedno tylko, czy na ten przykład, zechcą oni za drugie dzieci nową zapłatę dawać. Jakby, powiedzmy, tak, można by i na siew ziarna kupić. A jak nie, nie wiem, czym my i siał będziemy.

– I całkiem to one nie chorują – zaczęła po chwili. – Na rano zdrowe, pod wieczór chwyci coś, krzyczeć zaczną, gorąco od niego bije, przez noc jeszcze popiszczy trochę – i skończone. Babka u

nas jedna jest, wytrząsać każe. Ale i to nie pomaga. I tak ja myślę, sam Pan Bóg najlepiej wie: głodny rok idzie, to i usta zabiera...

– A wy byście, baby, dzieci nie brały na wykarm, kiedy jeść co nie ma – odezwał się z kąta basem ktoś.

– Jakże nie brać, kochani moi wy, jakże nie brać! Sami osądźcie: podatek zapłacić trzeba, popa też, jeść też trzeba, a jak jeszcze i na siew ziarna nie starczy, to skąd wziąć, jakże nie brać? Mizerna zapłata, ale zawsze grosz jakiś, drugi, trzeci, zostanie. A jak ono, niebożátko, ma umrzeć, to już je Pan Bóg miłosiwy wszędzie znajdzie.

– Na takie dzieci – rzekła chuda jejmość – nie ma wcale u Boga rachunku. Topić by je powinni, a nie karmić na rządowy koszt, innym chleb odbierać. Podatek to kto płaci? My płacimy, aby jedna z drugą mogła sobie z kawalirami przyjemności swojej używać.

Nie słyszałem, co odpowiedziała staruszka.

Człowiek na próżno obawia się snów, najstraszniejszy sen jest niczym wobec życia. Literatura usiłuje nas przerazić i wstrząsnąć nami. I czymże są twoje bajeczki niewinne wobec życia.

Ziarna na siew nie ma, jakże więc nie brać dzieci, które z głodu mrą potem.

I sympatyczna taka staruszka, jestem przekonany, że gołębiego w gruncie rzeczy serca.

## 6

W Moskwie, po przyjeździe, odszukałem adres Popowa.

Po długich certowaniach<sup>270</sup> się wpuściła mnie stara kucharka do pokoju, po którym biegał nerwowo człowiek o żółtej cerze i mętnych, na wpół przytomnych oczach.

Kiedym go poprosił o chwilę rozmowy sam na sam, zbladł i zaczął wymawiać jakieś niezrozumiałe sylaby.

Ledwo z trudem mogłem się z nim porozumieć na tyle, aby go przekonać, że przybywam istotnie od Nieczajewa.

Popow wpadł w gniew.

– Czegóż jeszcze on chce ode mnie? Czego chce od nas? Nasza sprawa jest jasna. Wezmą nas lada chwila. O ucieczce nie ma już co myśleć. Czy pan nie zauważył nikogo przed domem?

– Przed domem nie działo się nic nadzwyczajnego.

– Znikąd paszportu nie można dostać? Tak chwalił się konspiracjami. O paszportach przynajmniej mógłby pomyśleć. Tu jest słaba nadzieja za dwa dni. Ale czy my przetrwamy te dwa dni?

– Czy istotnie znaleziono trupa?

Popow zbladł.

– I to panu powiedział? Jak mógł panu powiedzieć o tym?

Zaczął mi się bacznie przyglądać.

– Pan nie myśli, że Nieczajew jest agent?

Roześmiałem się.

– Nic nie można wiedzieć. Wszystko jest możliwe w takim kraju. Wszystko. Skąd pan wie, że ja na przykład nie jestem na żołdzie policji? Co tu można wiedzieć?

Czy pan wie, że Nieczajew chciał mnie zabić? Tak jest, mówię panu. Tego samego wieczora, kiedyśmy Iwanowa... pan wie. Próbował niby rewolweru i prosto nad moją głową: bac!... Kula utkwiała w ścianie. Ja czasami myślę, że on jest obłąkany. Pan wie, to tak nagle zerwie się coś w człowieku. Jakaś jedna maleńka sprężynka. Nieczajew sam zresztą wie: on sam w sobie to przeciął. On sam sobie pozwolił na wszystko. A teraz próbuje jak dziecko w ciemnościach. Co będzie, kiedy się tak poruszę, a co, kiedy tak. On sobie pomyśli coś, a potem zrobi. Ja mówię panu, że w gruncie rzeczy on jest obłąkany.

---

<sup>270</sup> certowanie się – grzecznościowe wymawianie się od czegoś przed skorzystaniem z propozycji. [przypis edytorski]

– Więc nie uważasz już go pan za agenta.

– Bo ja wiem, panie, żadną miarą zdecydować się na nic nie mogę.

Z Popowem mówić było trudno. Znajdował się on w stanie całkowitego rozstroju. Rozpytałem się go więc o adres Uśpieńskiego, okazało się, że trzeba go szukać w księgarni. Umówiłem się z Popowem, że spotkamy się w traktierni<sup>271</sup>.

Idąc do Uśpieńskiego, usiłowałem uporządkować wrażenia. Było rzeczą całkowicie jasną, że tutaj „praca” rewolucyjna wyglądała mniej jeszcze poważnie niż u nas. Inaczej taki Popow nie dałby się wprost pomyśleć.

Uśpieński zrobił na mnie od razu potężne wrażenie. Był to człowiek skupiony i poważny.

Kiedym mu zakomunikował to, co mi polecił powiedzieć Nieczajew, rzekł:

– To wszystko my już dobrze wiemy. Trupa nie znaleźli, ale niewątpliwie znajdują. Za dużo się o tym gada. Zresztą wszyscy wiedzą, że między Nieczajewem a Iwanowem coś było. Poza tym na naszym tropie są i tak, są inne symptomy.

– I cóż pan myśli? – zapytałem.

– Nic – powiedział spokojnie – czekam.

– Na co? – zapytałem zdziwiony.

Uśpieński popatrzył na mnie jasnymi oczami.

– Tak, jak sprawy stoją, nie może być mowy o ukrywaniu się. Trzeba ratować, co się da. Tę sprawę rząd będzie się starał rozdać i rozdmuchać. Jeżeli jej się nie ocali przez nasze zachowanie wobec sądu, energia rewolucyjna w Rosji znacznie ucierpieć może. Nie mamy prawa zapominać o tym.

– Pan jest sam? – zapytałem.

– Nie, mam żonę, ona też będzie aresztowana. To jedyna rzecz, którą możemy zrobić. Nie trzeba było zaczynać nic. Gdy się jednak coś zaczęło, nie można zrzekać się odpowiedzialności. Dotąd nie zrobiliśmy nic. Właściwie zaszкодiliśmy nawet. Jeżeli wytrwamy i przed sądem potrafimy zachować się jak trzeba, wszystko nabierze innego znaczenia. To jest jasne. Rząd będzie usiłował ogłosić nas za szaleńców, zbrodniarzy i smarkaczy. Trzeba, by świat, gdy mu rząd na naszą ławę oskarżonych ukaże – ujrzał rewolucjonistów. Ława oskarżonych to jedyna w Rosji trybuna. Teraz uciekać to jakby poprosić o głos, a potem przestraszyć się.

Słuchając Uśpieńskiego, myślałem, jak mógł Nieczajew nie zrozumieć, nie poznać hartu duszy takiego człowieka.

Powiedziałem coś w tym rodzaju.

– Mnie – rzekł Uśpieński – Nieczajew w gruncie rzeczy ufał. Ale on ma zbyt głęboką pogardę dla ludzi. On sam nawet nie wie, jak głęboko ludźmi gardzi. U nas w Rosji dziwni wyrastają ludzie. Niech pan przyjrzy się procesowi karakozowców, jaka tu mieszanina dzieciństwa, naiwności i dzikiej, szaleńczej odwagi. Rosję trudno będzie dźwignąć – rzekł.

– Czy żona pańska jest tak samo na wszystko przygotowana?

Uśpieński uśmiechnął się dziwnie:

– Inaczej nie mogłoby być. My teraz marzymy sobie o tym, kiedy nam znów na Syberii pozwolą połączyć się. Wtedy już i nam wolno być szczęśliwymi. My to nazywamy swoją podróżą do Włoch. Wiosna w Syberii bywa bardzo piękna. Roślinność na kilka tygodni całkiem tropikalna. No – dodał – tu panu nie należy się zasiadywać. Lada chwila może się co stać. Jeżeli będę mógł, przyjdę się z panem zobaczyć u Popowa.

Zacząłem tułać się po ulicach tego całkiem obcego, nieznanego mi miasta.

Uśpieński zapanował całkowicie nad moimi myślami. Jego spokój i niedostrzegająca samej siebie siła miały w sobie coś bardziej zdumiewającego jeszcze niż przepojony myślą hart Brenneisena.

---

<sup>271</sup> *traktiernia* (daw.) – podrzędna restauracja; jadłodajnia. [przypis edytorski]

Tamto był kryształ z jakiejś huty myślowej o nadmiernym żarze i ucisku atmosfery. Tu – jakby samorodny kamień gdzieś w głębi gór zrodzony i walający się na bruku pośród pospolitych gładów.

Teraz dopiero ukazała mi się w pełni oczywistość prawdy, że szacując świat na podstawie własnych podmiotowych stanów – musimy popełniać błędy. Kto odgadnie, ilu Uśpieńskich tai się w spokojnej, nieporuszonej glebie.

W ciągu rozmowy powiedział mi Uśpieński:

– Ja dzisiaj wiem, że Nieczajew błędził i mylił się, ale gdyby nie on, ja nie wiedziałbym o sobie nic z tego, co wiem dziś. Nie myślałbym o tym, nie byłbym tym, czym jestem.

I zdaje się, to określało stosunek.

Gdym wszedł do restauracji i spytał się o Popowa, wskazano mi ostatni, w głębi lokalu znajdujący się pokoik. Tu siedział Popow bez surduta<sup>272</sup> na obitej ceratą kanapie, z której wylażył włosień i sterczały sprężyny. Koło Popowa siedziała dziewczyna o zniszczonej twarzy i ochrypłym głosem śpiewała coś. Popow był silnie podniecony.

– Jak stary Rzymianin – wołał – z wieńcem róż na głowie, z czarą falerna<sup>273</sup> wyczekuję losu. „I nie tknie się dumnego czoła bladego strachu chłodny cień” – zanucił fałszywym głosem. – Tak to ono, młody człowieku. Są utajone siły wszędzie, w piersi Popowa żył zawsze republikanizm i pośród snu wołał na mnie głos: Brutusie<sup>274</sup>, śpisz? Piękna Lesbio<sup>275</sup> – rzekł do swej towarzyszki – ty zapoznana zwiastunko nie skępowanego Erosa<sup>276</sup>, odejdz teraz, różane palce zorzy<sup>277</sup> z piany morskiej zrodzonej<sup>278</sup> przestają brzękać na cytrze<sup>279</sup>, gdy szcęk mieczów słychać, bijących w pancerze. Dobrze mówię. Rzymianko, odejdz, mogłabyś powiedzieć, z tarczą albo na tarczy<sup>280</sup>, ale i tak wspominaj zawsze, żeś ty ostatnia z żywych widziała Ewarysta Popowa.

– Oni zawsze tak – rzekła dama – mówią byle co, że aż zrozumieć trudno.

– Za jedną noc życie moje! Tak, czarująca sylfido<sup>281</sup>. Za jedną noc życie – weź głowę Popowa, który śmiał tu, w śnieżnych Hiperborejów<sup>282</sup> ojczyźnie kochankiem być bogini swobody. Jak pisał Puszkina<sup>283</sup>: w Rzymie byłby Brutusem, w Grecji Peryklosem, a u nas nie oficerem huzarskim<sup>284</sup>, lecz koleskim registratorem<sup>285</sup>, człowiekiem nikczemnego wyglądu we fraku, jak wyrazić się raczył Mikołaj Pawłowicz<sup>286</sup> o innym rosyjskim Rzymianinie. Idź już teraz, Kornelio<sup>287</sup>, matko Gracchów<sup>288</sup>,

<sup>272</sup> *surdut* – długa dwurzędowa marynarka popularna na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>273</sup> *falern* – ulubione wino starożytnych Rzymian. [przypis edytorski]

<sup>274</sup> *Brutus, Marek Juniusz* (85–42 p.n.e.) – republikanin, uczestnik zamachu na życie Juliusza Cezara. [przypis edytorski]

<sup>275</sup> *Lesbia* – pseudonim literacki, pod jakim występuje ukochana rzymskiego poety Katullusa (I w. p.n.e.) jego w licznych wierszach. [przypis edytorski]

<sup>276</sup> *Erosa* (mit. gr.) – bóg miłości. [przypis edytorski]

<sup>277</sup> *różane palce zorzy* – „różanopalca” to przydomek Eos, greckiej bogini jutrzeńki, zorzy porannej. [przypis edytorski]

<sup>278</sup> *z piany morskiej zrodzonej* – w mit. gr. bogini miłości i piękna Afrodyta zrodziła się z piany morskiej. [przypis edytorski]

<sup>279</sup> *cytra* (z gr. gitara) – instrument muzyczny strunowy szarpany. [przypis edytorski]

<sup>280</sup> *z tarczą albo na tarczy* – sentencja pożegnania wojownika wyruszającego na wojnę w Sparcie oznaczająca życzenie powrotu zwyciężcą albo poległym, ponieważ uciekając, żołnierze porzucali tarcze, aby lżej im było biec, natomiast poległych znoszono z pola bitwy, używając tarczy jako noszy. [przypis edytorski]

<sup>281</sup> *sylfida* – żeńska postać sylfa, tj. duszka uosabiającego żywiołu powietrza; przen. kobieta smukła, delikatna, pełna wdzięku. [przypis edytorski]

<sup>282</sup> *Hiperborejczycy* (mit. gr.) – mieszkańcy legendarnej Hyperborei, krainy daleko na północy, położonej za siedzibą Boreasa, boga wiatru północnego. [przypis edytorski]

<sup>283</sup> *Puszkina, Aleksandr Siergiejewicz* (1799–1837) – rosyjski poeta, dramaturg i prozaik, najwybitniejszy przedstawiciel romantyzmu rosyjskiego. [przypis edytorski]

<sup>284</sup> *w Rzymie byłby Brutusem, w Grecji Peryklosem, a u nas nie oficerem huzarskim* – dwa końcowe wersy z czterowiersza Puszkina pt. *Na portret Czaadajewa*, ze zmienioną końcówką (w oryginale: a tutaj on [jest] oficerem huzarskim). [przypis edytorski]

<sup>285</sup> *koleski registrator* (ros.) – najniższa ranga w hierarchii urzędniczej w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

<sup>286</sup> *Mikołaj Pawłowicz* – car Mikołaj I. [przypis edytorski]

<sup>287</sup> *Kornelia Afrykańska Młodsza* (190–100 p.n.e.) matka Gracchów, wzór matrony rzymskiej, łączącej cnoty żony i matki. [przypis edytorski]

a obnażywszy swoje łono, powiedz: Cezar tu spał i jego losy<sup>289</sup>. Być kochanką Cezara, a potem umrzeć.

– Pan też byle co przy obcych – mruknęła dziewczyna. – Ten młody pan jeszcze Bóg wie co pomyśli.

Popow wreszcie uspokoił się i dziewczyna wyszła.

– Tak to, młody przyjacielu, słuchasz i dziwisz się. Hamlet filozofował na cmentarzu, a rosyjski człowiek najgłębiej myśli za szklaneczką piwa. Ty nie patrz się, że Popow pijaczyna, że niby uczucia ma nie po formie. Człowiek na katorgę pójdzie, a teraz po pijanemu językiem miele. Na formę, bracie, napluj, aby tylko treść była. Wisarion Grigorjewicz Bieliński<sup>290</sup> wielki człowiek był i ognistego gniewu miał serce, a w preferans grał. Chłopiec z drukarni przychodzi, „siedem pik” słyszy, drugi raz: „bez jednej”, trzeci raz – „do kotła”, a numer wyjdzie i artykuł jest. I jaki artykuł: zdrzy cała Rosja. Życie, braciszku, niżej łojowej świeczki stawiać – wielka mądrość jest. No, i weź ty mnie choć i przestrasz teraz, Ewarysta Popowa. Czym przestraszysz? Ja sam życia na złamany grosz nie cenię. Choć dziś zginąć. Powagi nam i koturnów<sup>291</sup> nie trzeba. Zawinąć się można tak samo w szlafrok, jak i w rzymską togę – byle tylko było w piersi republikańskie serce. Wszystko miał Nieczajew, a tej naszej wesołości nie miał. „Stracony człowiek” – mówił. No, i cóż, że stracony? Po cóż zaraz chodzić po mieście z opalonymi skrzydłami, niby Abadonna<sup>292</sup> jaki. Na dzień powszedni – to nawet nudne. I wszystko to on uroczyście tak urządził właśnie. I was, tu, młody człowieku, z poleceniami osobliwej wagi przysłać musiał. Co polecenia? Jakie tu mogą być polecenia? Uśpiński, jedno słowo, lodowiec jest, jego choć w ogień piekielny – nie roztaje, a w Ewaryście Popowie żyła zawsze rzymska dusza. Pozorów nie było... W serce trzeba patrzeć, nie na pozory.

Do drzwi pokoju naszego zastukano.

Lokaj wprowadził chłopaka bez czapki.

– Aleksander Iwanowicz kazał się kłaniać i powiedzieć jedno słowo: gotowe. „Oni już będą wiedzieć”, mówił.

Popow lekko zbladł.

– Masz, mały – rzekł, szukając czegoś po kieszeniach, wreszcie wyciągnął garść miedziaków i chciał podać, ale z drżącej ręki wysypały się na podłogę i na dywan.

– Gotowe, młody człowieku – mówił Popow. – Teraz jest czas okazać losowi męstwo.

I przyodziawszy wieniec róż, z czarą pieniącego się wina...

Wieńca róż zaoszczędzić sobie można, a fałerno zastąpić butelką szampana, aby nie powiedziano było, że błąd strach zmroził bicie wesołego serca.

– Ty skąd jesteś, obywatelu? – zwrócił się do chłopca, który pozbierał tymczasem miedziaki.

---

<sup>288</sup> *Grakhowie* – rzym. bracia Tyberiusz Semproniusz Grakchus (ok. 162–133 p.n.e.) i Gajusz Semproniusz Grakchus (ok. 152–121 p.n.e.), trybuni ludowi, którzy przeprowadzili reformy prawa rolnego na rzecz ubogich obywateli; prześladowani przez przeciwników polit., obaj zginęli tragicznie podczas zamieszek. [przypis edytorski]

<sup>289</sup> *Cezar tu spał i jego losy* – parafraza słów Juliusza Cezara (100–44 p.n.e.) skierowanych do sternika, który obawiał się płynąć przez wzburzone morze: „Wiesz Cezara i jego losy”. [przypis edytorski]

<sup>290</sup> *Bielinski, Wissarion Grigorjewicz* (1811–1848) – rosyjski pisarz, myśliciel, krytyk literacki, przedstawiciel rewolucyjnych demokratów. [przypis edytorski]

<sup>291</sup> *koturny* – obuwie o podwyższonej podeszwie; koturny w staroż. Grecji noszone były przez aktorów, stąd przen.: podniosłość, patos. [przypis edytorski]

<sup>292</sup> *Abadonna* – imię zbuntowanego anioła w wierszu Wasilija Żukowskiego (1783–1852); dowodzi upadłymi aniołami w wojnie przeciwko Bogu, zostaje wygnany na ziemię i pragnie popełnić samobójstwo, jednak jest nieśmiertelny; również imię tytułowego bohatera powieści Nikołaja Polewoja (1796–1846) z roku 1834. [przypis edytorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.